

BEST
SELLER
W UK

LEKARKA WIEZIENNA

Feeria

Kiedy przemoc, narkotyki i samobójstwa
to twoja codzienność

dr AMANDA BROWN

LEKARKA WIĘZIENNA

Kiedy przemoc, narkotyki i samobójstwa
to twoja codzienność

dr AMANDA BROWN

RUTH KELLY

Przekład:
Jarosław Irzykowski

Feeria
WYDAWNICTWO

Spis treści

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA. Od tego wszystko się zaczęło

CZĘŚĆ DRUGA. Scrubs

CZĘŚĆ TRZECIA. HMP Bronzefield

Podziękowania

Tytuł oryginału: *The Prison Doctor*

Przekład: Jarosław Irzykowski
Opieka redakcyjna: Katarzyna Nawrocka
Redakcja: Karolina Pawlik
Korekta: Anna Strożek, Maria Zalas

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Norbert Młyńczak

Copyright © 2019 by Dr. Amanda Brown and Ruth Kelly
All rights reserved
Copyright for the Polish edition and translation
© JK Wydawnictwo sp. z o.o. sp. k., 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-66380-70-7
Wydanie I, Łódź 2020

JK Wydawnictwo sp. z o.o. s.k.

ul. Krokusowa 3,
92-101 Łódź
tel. 42 676 49 69

www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

Ukochanym rodzicom, którzy dawno temu nauczyli mnie prawdziwego
znaczenia miłości i współczucia

Bo duch sam sobie jest miejscem – i w sobie sam z nieba piekło, niebo czyni
z piekła.

John Milton, Raj utracony ¹

1. Przekład: Antoni Lange [\[wróć\]](#)

PROLOG

HMP Bronzefield

Gdy się pojawiłam, dookoła rozlegały się krzyki i wrzaski. Strażnicy więzienni gnali przez korytarz na metalowe schody.

– Co się dzieje? – zawołałam, sądząc, że gdzieś się biją.

Przez piętnaście lat praktyki więziennej wiele widziałam i słyszałam, ale odpowiedź na to pytanie mnie zaszokowała.

– Któraś rodzi! – odkrzyknął jeden ze strażników i powtórzył tę nowinę przez radio. Wezwał na blok pierwszy wsparcie, karetkę, pielęgniarki, cały personel medyczny.

Cholera jasna!

Włączyłam się w ich tabun. Na metalowych schodach dudniliśmy jak niewielka armia.

W powietrzu wisiał smród rozgotowanych warzyw z obiadu, stęchły i ostry, słodkawa woń zgnilizny zmieszana z zapachem potu i taniego mydła.

Nasz tupot sprawiał, że więźniarki bębniły pięściami w drzwi cel. Słyszać było tylko łoskot metalu.

Grupka strażników tłoczyła się już pod małą celą na samym końcu.

– Przejście! – zażądałam, przeciskając się przez nich.

Przez zakratowane okienko sączyło się światło dnia. W zacienionym kącie kryła się drobniutka, roztrzęsiona dziewczyna. Stała, a koszulę nocną

miała od pasa w dół skąpaną we krwi. Na ścianach też widniały plamy – wściekłe czerwone bryzgi, jak buntownicze graffiti.

Więźniarka wyglądała na kompletnie ogłupiałą. Nie wiedziała, gdzie się znajduje ani jak się nazywa. Sztywne czarne włosy, teraz przepocone, kleiły się jej do twarzy.

Ale gdzie to dziecko?

Zachowując pozory spokoju, podeszłam bliżej i spróbowałam dodać jej otuchy.

– Cześć, kochana. Będzie dobrze.

Ale kto mógł to wiedzieć? Podejrzewałam, że ta osadzona była heroinistką, aktualnie na metadonie. Większość więźniarek z bloku pierwszego nadużywała w przeszłości narkotyków.

Walenie w drzwi przybrało na sile. Wrzaski i bluzgi, gorączka, zgiełk i presja. W więzieniu w takich chwilach odnosi się wrażenie, że byle iskra rozsądzi wszystko w diabły.

Dziewczyna zaczęła krzyczeć.

– Wyjmij to ze mnie! Wyjmij!

Musiałoby jej chodzić o łóżko, bo w kałuży krwi, częściowo przysłonięta pryczą, leżała na zimnej więziennej podłodze małe dziewczynka.

Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym ją owinąć. Pępowina była zerwana, prawdopodobnie przez matkę. Dziecko wydawało się tak małe, że według mnie przyszło na świat o dobre kilka tygodni za wcześnie. *Czy żyje? Czy ta biedulka ży...?*

Ulżyło mi niewymownie, gdy zaczęła płakać.

– Ktoś ma czyste ręczniki? – zapytałam.

– Proszę. – Becky, jedna ze strażniczek, wręczyła mi jedyną czystą rzecz, jaką znalazła: niebieskie prześcieradło.

Wzięłam maleństwo na rękę, otuliłam więzienną pościelą i przygarnęłam do siebie, desperacko pragnąc rozgrzać to kruche ciało. Co za pierwsze spotkanie z tym światem! Dziewczynka wtuliła się w moją pierś i jej płacz trochę przycichł. Wyjrzałam w stronę schodów – nie mogłam się doczekać przyjazdu karetki. Matkę i dziecko należało jak najszybciej przewieźć do szpitala. Kobieta straciła mnóstwo krwi, a jako że łożysko jeszcze nie zostało wydalone, groził jej krwotok poporodowy, jedna z głównych przyczyn zgonów młodych matek.

Gdy czekałyśmy, sprawdziłam, czy nie krwawi. Na szczęście nic na to nie wskazywało. Ja czułam ulgę, dla niej jednak nie była to żadna pociecha.

– Wyjmij to ze mnie! Wyjmij! – krzyczała raz po raz, kompletnie niezainteresowana dzieckiem. Obawiałam się, że go nie chce, i chodziło mi po głowie, że może została zgwałcona. Tak wiele spotkałam w swoim życiu kobiet, które padły ofiarą ohydnych napaści seksualnych.

Istniała też obawa, że w okresie ciąży dziecko było narażone na wpływ narkotyków. Substancje uzależniające przyjmowane przez matkę mogły uzależnić także płód. Po porodzie zapotrzebowanie dziecka na narkotyk nadal się utrzymuje i jego brak może powodować symptomy odstawienia. Jest to tak zwany płodowy zespół abstynencyjny. Objawy występują w ciągu dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin po porodzie i wymagają bardzo ostrożnego działania.

– Miejsce dla ratowników! – dobiegło z korytarza, a ja odetchnęłam, słysząc tupot butów.

Weszli do celi i jeden ze strażników podał mi biały ręcznik dla dziecka. W tak okropnej sytuacji może wyda się to trywialne, ale ogromnie ucieszyła mnie świadomość, że to piękne stworzenie – o lepiących się do głowy ciemnych włosach, dokładnie takich jak u matki – będzie owinięte miękkim ciepłym ręcznikiem, a nie więzienną pościelą.

Ratownicy medyczni okryli ramiona dziewczyny kocem i delikatnie podprowadzili ją do wózka inwalidzkiego. Gdy zaczynali ruszali z nią w drogę, jeszcze krzyczała: „Wyjmijcie to ze mnie!”. Dziecko obrzuciła pełnym niedowierzania spojrzeniem i zniknęła poza zasięgiem mojego wzroku.

Odwiezienie jej do szpitala wymagało obecności dwóch strażników więziennych, w tym jednego skutego z nią kajdankami, na wypadek gdyby próbowała ucieczki. Nie sądzę, bym kiedykolwiek miała się oswoić z tym widokiem, choć wiem, że to konieczność. Nauczyłam się, że nie ma więźniów zbyt chorych na to, by próbować wyrwać się na wolność. Ciągle opowiadamy sobie historię świeżo upieczonej mamy, która wyskoczyła przez okno mieszczącego się na pierwszym piętrze oddziału położniczego.

Ratowniczką odwróciła się do mnie z wyciągniętymi rękami: nadeszła pora, bym przekazała jej dziecko. Przytuliłam maleństwo po raz ostatni, delikatnie gładząc palcem jej policzek. Objęła całą rączką mój mały palec, a ja w duchu zmówiłam krótką modlitwę, prosząc o jak najlepszy los dla niej.

Jeżeli pozwolą jej zostać z mamą, po powrocie ze szpitala zostaną obie umieszczone na oddziale dla matek z dziećmi na nie więcej niż półtora roku. Gdyby odsiadka matki miała trwać dłużej, dziecko trafi do rodziny zastępczej. Jeśli natomiast uznają, że dziewczyna nie kwalifikuje się do opieki nad małą, rozdzielą je jak najszybciej.

Jako matka nie potrafię sobie wyobrazić, co się czuje, gdy odbierają ci dziecko. Jak to jest w dzień i w noc wyobrażać sobie w więzieniu, jak ono rośnie, jak już wygląda i kto się o nie zatroszczy w razie płaczu.

Co czekało akurat to dziecko? Mogłabym się tym oczywiście zainteresować. Popytać. Mogłabym śledzić tę sprawę. Tylko czy zniósłabym taką wiedzę?

Mój wkład w życie więźniów jest ograniczony. Nie napiszę nowych kart ich historii, ale mogę ulżyć im w cierpieniu. Mogę pomóc im wyjść z uzależnienia. Być tą, która ich wysłucha. Nie mam ich osądzać, a jedynie zapewnić im opiekę, a pomaganie ludziom, niezależnie od tego, kim są i co zrobili, to sedno mojego życia.

Wszyscy już wyszli i zostałam sama, wpatrzona w poplamione ściany i krwawe ślady butów. W klaustrofobiczną beznadzieję tej celi.

– Wszystko w porządku? – zapytała Becky.

– Tak, kochana – westchnęłam. Poszłam za nią na dół, odbudowując mur dookoła siebie. Przetrwanie tutaj wymaga siły nie tylko od więźniarek. Gdybym brała sobie do serca wszystko, co widzę, zmieniłabym się we wrak człowieka.

A miałam co robić – kolejne osoby już na mnie czekały.

CZĘŚĆ PIERWSZA

OD TEGO WSZYSTKO

SIĘ ZACZEŁO

2004–2009

ROZDZIAŁ PIERWSZY

HMP Bronzefield 2019

– Pani zaczeka, pani doktor! – Zauważyłam, że biegnie do mnie Gary, jeden ze strażników więziennych.

Wiele bram w więzieniu zabezpiecza alarm, a personel ma około pół minuty na ich zamknięcie, bo inaczej zawyją syreny. Przytrzymałam bramę. Gary przemknął się w ostatniej chwili.

Zasunęłam ciężkie wrota, a ich szczęk zadźwięczał mi w uszach. Zamknęłam je jednym z pięciu kluczy, przypiętych do mojego regulaminowego pasa z czarnej skóry. Bez patrzenia wiedziałam którym; tyle już razy zamykałam i otwierałam tę bramę.

Znaleźliśmy się na środkowym dziedzińcu zakładu karnego Bronzefield – największego w Europie więzienia dla kobiet. Miejsca pobytu siedemnastu z dwudziestu najniebezpieczniejszych mieszkanek Wielkiej Brytanii. To tutaj przebywała niejedna ze znanych zbrodniarek. Seryjna morderczyni Joanna Dennehy; Shauna Hoare – zabójczyni Becky Watts; Mairead Philpott, współsprawczyni pożaru, który przyniósł śmierć jej sześciorgu dzieciom. Pensjonariuszką tego zakładu – czy też jego „rezydentką”, bo tak przyjęło się mówić w Bronzefield – oczywiście była też w swoim czasie Rosemary West.

Dach dziedzińca otaczają okna, a wspaniałe dzienne światło wpada do środka dwadzieścia metrów nad twoją głową. Na środku sali próbuje go dosięgnąć pięć bardzo wysokich sztucznych drzew. Chociaż plastikowe, i one usiłują się stąd wyrwać. Jest tutaj jasno i przestronnie, zgoła inaczej niż w ciasnych celach, w których osadzone spędzają większość czasu.

– Ale się pan opalił! – zagałam do Gary’ego.

Gary szeroko się uśmiechnął na wspomnienie wolnego tygodnia.

– Siedem dni i sześć nocy w Hiszpanii. *All inclusive*, żonka była zachwycona. Nie chciało się wracać!

Wiedziałam, że to nie do końca prawda. Dyżury tutaj dłużą się i wyczerpują, fizycznie i emocjonalnie, ale z jakichś powodów nie palimy się do rzucenia tej pracy. I nie chodzi tylko o to, że tak zarabiamy na życie.

Wchodzi nam to w krew. Te dramaty, poczucie więzi, blaski i cienie. Szczerze powiem, że piątkowe wieczory wolę spędzać w strefie przyjęć – poznając więźniarki doprowadzone z sądu, przedstawicielki różnych środowisk, różnych kultur – niż gdzieś wyskoczyć.

Może i dlatego, że po tylu latach gadanie o niczym kiepsko mi już wychodzi.

Po historiach, jakich od lat wysłuchuję, trudno mi się włączać w towarzyskie gadki szmatki. Rozmawiać o sprawach, które są banalne. Wydawałoby się, że powinna mnie cieszyć chwila odprężenia, oderwania się od powagi pracy, ale ja widzę to inaczej. Dzień w dzień wpisuję się w coś ważnego. Uznaję za zaszczyt, za przywilej to, że ludzie, często ze światów całkiem odmiennych od mojego, decydują się mi zaufać i coś o sobie opowiedzieć.

Nie wiem, czy to przez spędzenie tygodnia z dala od tego miejsca, ale Gary popadł w filozoficzny nastrój. Gdy szliśmy do bramy prowadzącej na

oddział opieki zdrowotnej, z kluczami pobrzękującymi przy każdym kroku, odwrócił się do mnie i oznajmił:

– Wie pani co, pani doktor, trochę sobie myślałem.

– Oho! – podpuściłam go.

Błysnął uśmiechem, a potem nagle spoważniał.

– Rozmyślałem o życiu. O tym miejscu i o tym, dlaczego ludzie tu kończą.

Zaintrygował mnie.

– Słucham.

Gary pracował w zakładzie karnym Bronzefield od czternastu lat i był jednym z tych dobrych. Lubił wyzwanie, jakie stawiały potrzeby emocjonalne osadzonych; pragnął, by się resocjalizowały.

Zafrasował się, na chwilę zadumał.

– Sądzę, że większość pensjonariuszek miała w swoim życiu moment z filmu *Przypadkowa dziewczyna* – powiedział. – Wie pani, ten, który naprawdę decyduje, jaką drogą się pójdzie.

Gdy otwierał kolejną furtę, trzymałam się z tyłu. Tak jak ja, nie musiał patrzeć, by znaleźć właściwy klucz.

Doszliśmy na blok medyczny, na który składał się głównie ciąg pomieszczeń przylegających do wąskiego korytarza. Pomachałam Soheilii urzędującej w aptece.

– To mogłoby przytrafić się każdemu, nie? – kontynuował Gary. –

Chwila, przypadkowa chwila, od której zależy całe twoje życie. Jak... –

Szukał w myślach przykładu. – Wpadasz do pubu się napić, wybucha bójka, przywalasz komuś, ten leci w tył i trzaska o coś głową. Umiera. Następna rzecz, jaka do ciebie dociera, to, że puszkują cię za zabójstwo. Twoje życie może się zmienić w mgnieniu oka. Rozumie pani, o co mi chodzi, pani doktor?

Oczywiście, że rozumiałam. Właśnie taka chwila doprowadziła mnie tu, gdzie jestem.

Hrabstwo Buckingham

2004

Ledwie przekroczyłam próg przychodni, w twarz buchnęło mi ciepło centralnego ogrzewania.

Powitał mnie uśmiech Kirsty z rejestracji.

– Dzieńdoberek, Amando!

Nie pojmowałam, skąd u niej tyle radości o tak wczesnej porze.

Mnie jak zwykle dołowała myśl, ilu pacjentów zapewne trafi mi się tego dnia, ale i tak kochałam pracę w opiece zdrowotnej – chociaż dawała w kość.

Ściągnęłam zębami rękawiczki i podniosłam stosik listów i notatek, odłożonych dla mnie przez Kirsty. Mnóstwo papierologii.

– Jak dzisiaj stoimy? – zapytałam.

– Lista zapełniona. Herbatnika? – Kirsty machnęła mi paczką przed nosem.

Pokręciłam głową.

– Nie zapomnij o zebraniu w porze obiadowej.

– Wszystko zaplanowane – oświadczyła, stukając herbatnikiem w kalendarz na ekranie swojego komputera.

Na myśl o zebraniu i zmianach, jakie może ono wniesć w moją pocziwą praktykę medyczną, żołądek mi się ścisnął. Za niecały miesiąc, 1 kwietnia 2004 roku, miały wejść w życie nowe kontrakty dla opieki zdrowotnej, zmieniające całą strukturę płac lekarzy rodzinnych. Pensja podstawowa

zostanie obniżona, za to będzie można uzyskać premie za określone pytania i badania podczas konsultacji.

W założeniu miało to pewnie usprawnić pracę lekarzy rodzinnych, ja jednak wiedziałam, że będę się z tym męczyć. Wydobywanie tyłu informacji od pacjenta pogrążonego w głębokiej depresji lub takiego, u którego niedawno zdiagnozowano raka, wydawało mi się nie na miejscu.

Po dwudziestu latach moi pacjenci znali mnie aż za dobrze. Potrafiliby domyślić się, czemu zadaję te pytania, więc choćby z tego względu nie powinnam czegoś takiego robić.

Zamyśliłam się nad tym, ile się zmieniło przez dwie dekady, gdy od zera zaczynałam karierę medyczną. Praktykę prowadziłam rzut beretem od Londynu i udało mi się dojść do około czterech tysięcy pacjentów.

Dotąd płynęłam z nurtem, zawsze dostosowując się do zmian w służbie zdrowia i praktyce lekarskiej, ale ten ostatni plan godził w sam rdzeń moich przekonań i zasad dotyczących opieki nad pacjentem. Gnębiło mnie to, że nie będę w stanie zmienić stylu moich konsultacji i gromadzić informacji, jakich wymagałoby zapracowanie na premie. Gryzło mnie też przeczucie, że tego właśnie będą ode mnie oczekiwać współnicy z przychodni.

O pierwszej po południu, gotowa już na wszystko, złapałam za notatnik i pióro i poszłam korytarzem do sali zebrań. Po drodze mijałam piękne pejzaże, także morskie, oraz obrazy z kwiatami. Latami ciężko pracowałam nad wykorzenieniem sterylności właściwej nowo wybudowanym obiektom, bo chciałam stworzyć przyjazne otoczenie, w którym ludzie czuliby się odprężeni. Przywiązywałam wagę do takich drobnych szlifów.

Przyszłam pierwsza.

Usiadłam, czekając na kierownika przychodni i dwoje moich współników, obecnie współudziałowców. Oboje byli świetnymi lekarzami, młodymi i ambitnymi, a że nigdy nie radziłam sobie specjalnie dobrze

z kwestiami finansowymi czy też z biznesową stroną prowadzenia praktyki, cieszyło mnie, że w tych sprawach mogłam się zdać na nich.

Drzwi otwały się raptownie. Wszedł przez nie Rohid, jeden z moich wspólników, zacierając ręce. Pozostała dwójka szła tuż za nim. Zajęli miejsca.

Wyczuwało się napięcie. Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami, a niepokój we mnie narastał. Serce mi waliło i dopadły mnie mdłości.

Rohid wbił we mnie wzrok.

– No i jak widzisz te zmiany, Amando? – zapytał.

Oboje mieliśmy silne osobowości i nie zawsze się ze sobą zgadzaliśmy.

Nachyliłam się, krzyżując ręce na blacie. Bluzka tak opięła mi plecy, że, choć to niedorzeczne, poczułam się jeszcze bardziej usidlona.

Rohid za to wyprostował się, zaciskając usta w uśmiechu.

– Cóż... – zaczęłam, a skończyłam dopiero po dobitnym wyrażeniu, jak bardzo unieszczęśliwiają mnie te nowe plany. Szczerze i otwarcie poinformowałam ich, na co jestem gotowa (a przede wszystkim na co nie) się zgodzić. Popatrzyli po sobie.

Dłuższą chwilę wszyscy milczeliśmy.

Rohid odchrząknął.

– No jeśli nie będziesz się przykładać do zwiększenia dochodów, będziemy mieli do ciebie żal – oznajmił lodowato.

Poczułam się tak, jakby pozbawił mnie tchu.

Będą mieć do mnie żal? To ja wybudowałam tę przychodnię!

Wezbrała we mnie furia. Poczucie niedoceny. A przede wszystkim uraza.

Będą mieć do mnie żal? Poczułam się zupełnie bezwartościowa. Będę musiała to znosić przez resztę życia lub stawać na uszach, by zarobić więcej...?

Nie mogłam tak pracować. I nie zamierzałam.

Nadeszła moja chwila z *Przypadkowej dziewczyny*. Moje życie w mgnieniu oka przybrało nieoczekiwany obrót.

– W takim razie odchodzę – stwierdziłam.

Cała trójka gapiała się z niedowierzaniem, jak niespiesznie wstaję z krzesła i wychodzę z sali. Musiałam być biała jak ściana, bo Kirsty w rejestracji zapytała, czy nic mi nie jest.

– Jest. Odchodzę. – Zdusiłam w sobie łzy. Usłyszałam jeszcze jej westchnienie, ale słowa, które pewnie po nim padły, już do mnie nie dotarły, bo wychodziłam przez główne drzwi, na ziąb. Lodowate powietrze wdarło mi się w płuca, jeszcze bardziej utrudniając oddychanie.

Co teraz? Miałam czterdzieści dziewięć lat i właśnie się wypięłam na swoją karierę, na dochody, na wszystko.

Obróciłam się i popatrzyłam na przychodnię, którą tyle lat temu stworzyłam z niczego. Z tym ślicznym rododendronowym żywopłotem, który zasadziłam, by człowiek czuł się tu przyjaźniej, bardziej swojsko. Na budynek, który postawił dla mnie David, mój mąż i deweloper. Myślałam o tysiącach pacjentów z mojej kartoteki, wśród których wielu stało się niemal przyjaciółmi. Ich dzieci dorastały na moich oczach, słuchałam, gdy dzielili się ze mną troskami, śledziłam, jak w życiu części z nich zachodzą wielkie zmiany. Trzymałam za ręce załamanych pacjentów starszych wiekiem, wypłakujących mi swoją samotność. Byłam nie tylko lekarzem; czasem czułam się jednocześnie powiernikiem, pracownikiem socjalnym, kapłanem i przyjaciółką. Uwielbiałam swoje życie podmiejskiej lekarki i przez te lata poznałam i polubiłam tak wiele osób spośród tych, którymi się zajmowałam, że żartowałam, iż o wielu z nich mogłabym napisać książkę. Praktyka lekarska stała się drugą po rodzinie najważniejszą rzeczą w moim życiu.

I teraz, ot tak, wszystko się skończyło.

Nie mogłam spać.

Kolejne godziny wpatrywałam się w ten sam punkt na suficie. David trzymał mnie za rękę, a ja leżałam, wciąż przeżuważając swoją decyzję. Mój mąż i synowie – Rob i Charlie – byli dla mnie wszystkim. Nie potrafiłam się pogodzić ze zrobieniem czegoś, co naraził nas wszystkich na ryzyko finansowe.

David zapewniał mnie, że będzie dobrze. Na szczęście miał porządną pracę i byłby zdolny się o nas zatroszczyć. Tyle że ja nie przywykłam do życia na czymś garnuszku. Od dziecka chciałam móc liczyć na siebie. Kochałam pracę, nadawała mojemu życiu sens, którego nie chciałam się wyrzec. Uwielbiałam też pomagać ludziom – właśnie dlatego wybrałam medycynę. Wróciłam myślami do pacjentów. Bolesnie zakłuło mnie poczucie winy, że od nich odeszłam.

Wyrzuty sumienia, lęk, smutek, złość – w głowie kotłowały mi się i kipiały emocje, tak zgiełkliwie i natrętnie wdzierając się w ciszę nocy, że w końcu pękłam.

Wydostałam się spod kołdry, przedreptałam przez pokój i narzuciłam na siebie gruby szlafrok, zdjęty z wieszaka na drzwiach. Zimowe powietrze tak go wychłodziło, że przeszedł mnie dreszcz.

David się poruszył.

– Nic ci nie jest?

– Wszystko gra, śpij dalej.

Na parterze podgrzałam sobie kubek mleka. Usiadłam przy naszym masywnym drewnianym stole i zagapiłam się w noc za oknami kuchni. Ten bezmiar czerni wydał mi się tak mroczny jak moja przyszłość.

Nie zawarłam ze współnikami formalnej umowy dotyczącej okresu wypowiedzenia. Uzgodniliśmy tylko, że opuszczę przychodnię w ciągu trzech tygodni.

Opuszczę moją przychodnię – te słowa znów podsyciły we mnie gniew. Czułam, że coś tu jest nie tak! Lekarzom za wykonywanie ich obowiązków nie powinno się płacić premiami!

Z wściekłością ponownie sięgnęłam po mleko. Wspólnicy bardzo nalegali, bym ograniczała konsultacje do dziesięciu minut i jednego problemu naraz. Tyle tylko, że moi pacjenci często tygodniami czekali na wizytę u mnie i jeśli przychodzili z kilkoma sprawami, nie miałam serca pouczać ich, że muszą się zapisać na kolejne spotkanie i przez następne trzy tygodnie czekać, aż będą mogli wyjawić mi do końca, co ich dręczy. Co ważniejsze, dolegliwości mogły być ze sobą powiązane, istotne wydawało mi się więc wysłuchanie całej historii.

W życiu nie czułam takiego wzburzenia. Znów wbiłam wzrok w kuchenne okno. Tym razem jednak szukałam nie ciemności, a swojego odbicia.

Włosom, choć były krótkie, udało się przybrać całkiem absurdalne kształty, sterczeć dęba. Na tyle, na ile się dało, przygładziłam je dłonią i odgarnęłam z oczu grzywkę.

Wyglądałam na skrajnie wyczerpaną, ale wiedziałam, że nie uda mi się zasnąć, dopóki nie zrzucę z piersi całego ciężaru.

Przeszłam do swojego gabinetu. Nie musiałam zapalać światła, zagracony pokój rozjaśniał blask księżyca wpadający przez wielkie przesuwne okna.

Półki były tak wypełnione magazynami medycznymi, że pod ich ciężarem ugięły się niemal jak hamaki. Biurko, ustawione przodem do

ogrodu, wyglądało niewiele lepiej. Po obu stronach komputera wznosiły się góry teczek. Sterty papieru na wagę życia, a ja to wszystko odrzucałam.

Obok klawiatury stały w srebrnych ramkach zdjęcia moich synów w szkolnych mundurkach. Uśmiechali się z dumą. Czy ze mnie też byli dumni?

Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat troski o pacjentów, i nagle się skończyło.

Włączyłam komputer i sięgnęłam do elektrycznego grzejnika koło nóg. Zagrzechotał i zabręczał, dziwnie dodając mi tym otuchy.

Zaczęłam pisać. Było wpół do czwartej nad ranem, a ja wylewałam z siebie wszystko, co leżało mi na sercu, i przenosiłam na pustą stronę całość moich odczuć.

Znalazło się tu wszystko, czego nie udało mi się wyartykułować na zebraniu, wszelkie argumenty przeciwko nowym kontraktom i nowej polityce. Dokładnie wyjaśniłam, czemu zmusiły mnie one do porzucenia pracy, którą uwielbiałam. Pisałam prawie godzinę, a potem odchyliłam się na miękkie skórzane oparcie obrotowego fotela i głęboko odetchnęłam z ulgą.

Teraz, gdy to z siebie wyrzuciłam, pozostawało wcisnąć „Zapisz”, ponownie wsunąć się pod kołdrę i przytulić do Davida.

Zamiast tego wcisnęłam „Wyślij”.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie przypuszczałam, że trafię na okładkę!

Siedząc w swoim gabinecie w przychodni, złapałam się na tym, że patrzę na moje słowa, wydrukowane na *Pulse*, ogólnokrajowego magazynu internistycznego.

„Oto odjeżdżam w siną dal, a nikogo to nie rusza”.

Dokładnie to napisałam, ale nie przypuszczałam, że zacytują mnie słowo w słowo.

Przeklinałam siebie za to, że tak bez umiaru dałam upust emocjom. Chodziło mi o to, że prawie dwadzieścia lat usilnie starałam się wykonywać dobrą robotę, a nagle okazało się, że to się wcale nie liczy i nikogo to nie obchodzi. Wszyscy chcieli tylko odfajkowania rubryk.

Żałowałam, że nie zabrałam okularów słonecznych, za którymi mogłabym się schować.

Ale nic już nie mogłam z tym zrobić. Moje opinie ukazały się czarno na białym, do wglądu dla wszystkich zainteresowanych. Pozostawało mi jedynie wyprężyć pierś i przez trzy ostatnie tygodnie mojej praktyki zabrać się do pracy.

Znowu miotałam się między złością a poczuciem żalu. Nie służyło mi teraz bycie tutaj, ale na szczęście w rozkład dnia miałam wpisaną

półgodzinną przerwę. Chwyciłam torebkę i wybiegłam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Gdzie bym nie skierowała wzroku, wszystko przypominało mi, co tracę. Przechodząc przez poczekalnię, czułam na sobie dziesiątki par oczu, szeroko rozwartych z niedowierzania – list pożegnalny, który napisałam do pacjentów, wisiał przypięty na tablicy ogłoszeń.

Przebiełam obsadzoną drzewami ulicę, chroniąc się w kawiarni naprzeciwko przychodni, ale panowała tam niewiele lepsza atmosfera. Przede mną w kolejce stała Sandra, farmaceutka z pobliskiej apteki. Kiedy obejmowałam posadę lekarza rodzinnego w tym rejonie, ona już sprzedawała leki. Spodziewałam się, że napomknie coś o artykule, ale miała dla mnie inną nowinę.

– Przez ciebie całe miasteczko prawie pogrzyżyło się w żałobie – palnęła.

Przez te lata blisko zaprzyjaźniłam się z Sandrą. Jej twarz, tchnącą samą dobrocią, okalała burza kasztanowych włosów. Liczyła sobie niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, więc żeby na mnie spojrzeć, musiała podnieść swoje ciemne oczy.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Nic nie przychodziło mi do głowy. Ona mówiła dalej, każdym słowem trafiając mnie w serce.

– Tak bardzo zasmuciłaś pacjentów. Nie wiedzą, co bez ciebie zrobią. Amando, naprawdę musisz odejść...?

Delikatnie ścisnęłam Sandrę za ramię, choć tak naprawdę wolałabym ją objąć i serdecznie uściskać.

– Podjęłam decyzję. Teraz muszę tę sprawę doprowadzić do końca. Chociaż mi z tym okropnie – przyznałam. Zbierało mi się na płacz. Tylko tego by brakowało: żeby mi zalała się łzami w kolejce po kawę.

Potem nadeszło kluczowe pytanie.

– A co będziesz teraz robić?

No właśnie – co?

– Sądzę, że z twoim doświadczeniem bez trudu dostaniesz pracę w innej przychodni – dodała.

Akurat tego nie chciałam. Mierzyłabym się z tymi samymi problemami, tyle że w innej scenerii. Ale co miałabym robić? Sama czułam się jak w żałobie. Ogarnął mnie smutek, czułam się osamotniona, nie widziałam przed sobą drogi, a gęsta i ciemna mgła zwątpienia oraz poczucia winy zaćmiewała wizję przyszłości.

Zapach palonej kawy nagle wydał mi się kwaśny, przyprawiający o mdłości, wręcz nie do wytrzymania. Te kawiarniane odgłosy, biały szum pogaduszek, syk spieniacza do mleka... Nie byłam w stanie znieść tego wszystkiego. Czułam fale gorąca uderzające mi do głowy i desperacko zapragnęłam powrotu w uliczny ziąb. Istne męczarnie. Co ja narobiłam?

– Muszę wracać do pracy – powiedziałam Sandrze.

– Ale nawet nie doczekałaś się kawy. Musimy się napić, zanim odejdziesz z... – urwała, gdy pokazałam jej uniesione w górę kciuki i rzuciłam się do drzwi.

Na zewnątrz zaczerpnęłam kilka głębokich oddechów, racząc się rześkim powietrzem zamiast kawy. Chciało mi się płakać. Tego wszystkiego było za wiele. Widzieć swoje wynurzenia na kartach magazynu, wysłuchiwać, co czują moi pacjenci... Ale w popłoch wpędziło mnie uświadomienie sobie, że nie mam cienia pomysłu na to, co zrobić z resztą mojego życia. Po powrocie do gabinetu sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy do drzwi zapukał pan Collins. Gdybym mogła, przez resztę dnia chowałabym się za biurkiem, ale nie miałam wyboru.

– Proszę – powiedziałam, kryjąc się za udawaną radością.

Briana Collinsa – zawsze ogolonego wysokiego pięćdziesięciolatka o siwych włosach i powiększających się zakolach – leczyłam od bardzo

dawna. Miał długie, cienkie palce, przez co łąpałam się na myśli, że powinien grać na fortepianie.

Zajrzał teraz przez drzwi i ostrożnie zbliżył się po cętkowanej wykładzinie do biurka. Kroki stawiał niepewnie, jak człowiek, któremu pewności siebie starczyło tylko na to, by zastukać.

Odkąd pamiętam, okresowo brał antydepresanty. Gdy łągodziły jego stan, odstawiał je, przekonany, że czuje się lepiej, ale natychmiast popadał w dołujące przygnębienie.

W trakcie swojej praktyki widywałam mnóstwo pacjentów takich jak Brian – dobrze sytuowany i elokwentny przedstawiciel klasy średniej, któremu się w życiu powiodło. Klasyczny przykład pana w nieśmiertelnym garniturze w prążki, dzień w dzień goszczącego w centrum. Muszę przyznać, że kiedy zaczynałam pracę w tej okolicy, taki typ trochę mnie onieśmielał, gdyż obawiałam się, że ludzie tego rodzaju raczej nie obdarzą zaufaniem młodej lekarki. Ku memu zaskoczeniu udało mi się go do siebie przekonać, podobnie jak wielu innych pacjentów. Sądzę, że udało mi się, ponieważ im pokazałam, iż naprawdę mi na nich zależy. Zawsze wierzyłam, że głównej przyczyny wielu chorób można się doszukać w kipiących w człowieku problemach emocjonalnych. Kłopot z tym był taki, że wielu z moich pacjentów z czasem zaczęło widzieć we mnie bardziej doradcę niż lekarza... Pan Collins nie stanowił tu wyjątku.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Brianie? – zapytałam łągodnie i ciepło, starając się, by poczuł się swobodnie.

Spuścił wzrok i opadł na krzesło naprzeciw mnie.

– To rzeczywiście prawda, że pani odchodzi? – zaczął z niepokojem w oczach. Oto pierwszy raz spotykałam się twarzą w twarz z reakcją na moje rozstanie z pracą. Okazało się to nie do zniesienia. Napięcie w moim maleńkim gabinecie dałoby się kroić nożem.

– Obawiam się, że tak.

Na chwilę całkiem zamilkł, wpatrując się intensywnie w jakiś punkt na wykładzinie, a potem spojrzał mi w oczy. Zobaczyłam łzy. Serce mi się krajało.

Z pudełka na moim biurku wyciągnął chusteczkę i otarł kąciaki oczu.

Głos mu drżał.

– Ale co ja bez pani zrobię? Pani jedna rozumie, przez co przechodzę, a tak trudno mi się otworzyć przed drugim człowiekiem.

Jego lęk był całkowicie naturalny; dzieliło go zresztą mnóstwo ludzi, którzy przeszli przez zmianę lekarza prowadzącego.

– Przenosi się pani do jakiejś pobliskiej przychodni?

Otworzyłam usta i na tym poprzestałam. Zamierzałam odpowiedzieć mu, że nie, ale to pytanie powaliło mnie na samo dno znanej mi już otchłani niepewności. Przełknęłam gulę i szepnęłam:

– Raczej nie.

Ponownie spuścił wzrok, przybity, a potem nagle się zerwał. Raptownie wyciągnął rękę, zapewne tak, jak robił to setki razy na oficjalnych posiedzeniach, maskując formalnym gestem swoje przygnębienie.

– No to życzę pani wszystkiego najlepszego na przyszłość, pani doktor.

Gdy ścisnęłam mu dłoń, dusiło mnie w gardle.

– Była pani cudowna i naprawdę doceniam wszystko, co pani dla mnie zrobiła przez te lata – wyrzucał z siebie sztywno i jednostajnie. – A każdy, komu trafi się pani jako lekarz, będzie szczęściarzem.

Zagryzłam wargi – byłam o włos od zalania się łzami. Chowając się za wiedzą medyczną, poleciłam panu Collinsowi kontynuowanie leczenia taką samą dawką antydepresantów i kontrolę za trzy miesiące.

Odprowadziłam go do drzwi i tam oboje mieliśmy swoją chwilę ciszy, wzajemnie świadomi swego smutku.

– Wszystko się ułoży – powiedziałam, żeby dodać mu otuchy.

Zabrał te słowa za drzwi, a ja pękłam, przytłoczona lawiną wszystkich dzisiejszych emocji.

Źle to wyglądało. Życie lekarza stanowi nieustanny przepływ trudnych sytuacji, przejętych pacjentów, bólu, smutku i śmierci. Potrzebowałam więcej siły – bo przecież byłam silniejsza, zawsze byłam – po prostu nie miałam pojęcia, jak przetrwać następne parę tygodni.

Zadzwoił telefon.

Kusiło mnie, żeby poczekać, aż umilknie, i pewnie tak bym zrobiła, ale potrzebowałam też czegoś – czegokolwiek – co mogłoby wyrwać mnie z dołka, w który się osuwałam.

– Pani doktor Brown? – zapytał głos na drugim końcu linii.

– Tak. Z kim rozmawiam?

– Tutaj doktor Phil Burn. Widziałem pani artykuł w *Pulse*.

Ścisnęło mnie w żołądku.

– Prowadzę nabór lekarzy do pracy w zakładach karnych w południowo-wschodniej Anglii.

– Słucham? – Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

– Szukam lekarza do pracy w więzieniu – powtórzył.

Całkiem mnie to ogłuszyło. Tak się zafiksowałam na małomiasteczkowej praktyce, że inne perspektywy, jak ta, którą sugerował, nawet nie przyszły mi do głowy.

Doktor Burn kontynuował opis pracy. Chodziło o część etatu w zakładzie karnym dla młodocianych, od piętnastu do osiemnastu lat, HMP Huntercombe, w hrabstwie Oxford, nieopodal Henley-On-Thames.

– Czy byłaby pani zainteresowana? – zapytał.

Myśl o więzieniu przywołała obrazy bójek, ran kłutych, powieszon – grozę dobrze znaną z filmów. Czy umiałabym się odnaleźć w pracy

w takim świecie?

W głębi siebie, rzecz jasna, wiedziałam, że moje pierwsze skojarzenia z życiem więziennym zapewne nie oddają prawdy, no i potrzebowałam czegoś, do czego mogłabym się zabrać... Czegoś nowego, co będzie stanowić dla mnie wyzwanie i dzięki czemu odzyskam poczucie sensu życia. Czegoś, co mogłoby pomóc innym.

– Tak! – oznajmiłam, czym samą siebie zszokowałam. Nie dałam sobie czasu na przemyślenie decyzji, polegałam jedynie na przeczuciach, nie miałam pojęcia o wysokości wynagrodzenia, nie zadałam też wielu innych pytań...

Ale jak straszni mogli być piętnasto- czy osiemnastolatki? Moi chłopcy, Rob i Charlie, byli w tym wieku, mogłam więc liczyć na to, że jakoś dotrę do ich rówieśników, a oni zobaczą we mnie nie tyle zagrożenie, co kogoś w rodzaju matki.

Czy rzeczywiście byłam aż tak naiwna? Owszem. Ale o tym miałam dowiedzieć się wkrótce.

On tymczasem opowiadał, jak to niewielu lekarzy kwapi się do pracy w więzieniach, która jest postrzegana jako zbyt obciążająca i w niesprzyjającym środowisku, wymagająca kontaktu z trudnymi, opornymi, nieprzewidywalnymi i nierzadko agresywnymi ludźmi.

– Ale – powiedział ze śmiechem – ktoś tak szczery do bólu jak pani powinien podołać temu wyzwaniu!

Wierzyć mi się nie chciało, ale moje zuchwałe słowa na łamach magazynu otworzyły przede mną świat nowych możliwości. Doktor Burn dostrzegł we mnie ducha walki.

Miałabym nie spróbować czegoś nowego tylko dlatego, że zbliżam się do pięćdziesiątki? Na nowy początek nigdy nie jest za późno. Niezależnie od tego, czy mowa o karierze zawodowej, o małżeństwie, czy o stylu życia.

Przez całe lata wkładałam to do głowy moim pacjentom i oto nadeszła pora, bym sama zmierzyła się z nieznanym. Może nawet uda mi się odmienić życie tych chłopaków.

Dobry Boże, w co się wpakowałam?

Po powrocie do domu już podawałam w wątpliwość swoją decyzję. Czy nie postąpiłam zbyt pochopnie, akceptując posadę, o której praktycznie nic nie wiedziałam?

Siedząc przy stole w kuchni, robiłam *research* na temat więzienia Huntercombe.

Oficjalnie figurowało jako zakład karny dla młodocianych przestępców, przekwalifikowany na użytek nastolatków w roku 2000. Wybudowany został podczas drugiej wojny światowej jako obóz dla internowanych, a w 1946 roku zamieniono go w więzienie.

Inaczej niż w więzieniach dla dorosłych, gdzie pensjonariuszy klasyfikuje się pod literami od A do D w zależności od powagi występku, w instytucjach dla młodocianych nie stosuje się żadnej gradacji. Ale nie dodawało mi to otuchy.

Chociaż niełatwo mnie przerazić, nabierałam wątpliwości, czytając o czynach, jakich dopuścili się niektórzy z tych nastolatków. W grę wchodziły nie tylko kradzieże i włamania, ale też morderstwa i gwałty.

Poszukałam rady u Davida.

– Myślisz, że dam sobie radę? – zapytałam.

Obierał ziemniaki na kolację i się roześmiał.

– Bez żartów. Oczywiście, że dasz, nadajesz się jak mało kto. – Uśmiechnął się. – Jak zawsze.

Uwielbiałam to, że tak wspierał mnie i moją karierę. Jeden Bóg wiedział, ile wieczorów spędził sam, zajmując się chłopcami, bo mnie przedłużyła się praca lub otrzymałam nagłe wezwanie. Rozumiał moją potrzebę pomagania innym i mój zapał. Wiedział, że zbyt ciężko zapracowałam na swoją karierę, by ją porzucić.

– Będę się zajmowała nastolatkami, którzy popełnili najgorsze zbrodnie!

Ciężko mi było pojąć, że chłopcy w wieku moich synów byli w stanie kogoś zabić czy zgwałcić, a nawet wykorzystać seksualnie małe dziecko.

– Oni też potrzebują lekarza. I nie wydaje mi się, by ktoś lepiej od ciebie sprawdził się na tej posadzie – stwierdził David.

Dobrze powiedziane. Nie do mnie należało osądzanie; moja robota to starać się, żeby ludziom było lepiej.

– Ale to więzienie. Czy jestem dostatecznie twarda, by temu sprostać?

Usłyszałam chlupnięcie, gdy kolejny obrany ziemniak wpadł do garnka z wodą, potem David odwrócił się i spojrzał mi w oczy.

– Mam ci przypomnieć choć część przypadków, gdy wykazałaś się odwagą? Pamiętasz tamtego gościa, co trzymał nóż przy swoim gardle...?

ROZDZIAŁ TRZECI

Cztery lata wcześniej...

Hrabstwo Buckingham

Lipiec 2000 r.

Był upalny letni dzień, a ja sączyłam lodowaty napój i pospiesznie wrzucałam coś na ząb, spędzając przerwę na lunch przy swoim biurku.

Łagodny, unoszący firanki wietrzyk wpadał do gabinetu i łaskotał mnie w kark.

Walczyłam z opadaniem powiek; w takim skwarze kuśiło mnie, by się zdrzemnąć kilka minut. Nagle w ten spokój wdarły się krzyk i tupot kroków na korytarzu.

Drzwi z impetem otwały się na oścież. Stanęła w nich jedna z moich pacjentek, Jenny Scott, bez tchu i spanikowana.

– Amando, musisz natychmiast iść ze mną – wychrypiąa.

Jej zwykle idealnie ułożone włosy były w nieładzie, zmierzwione przez wiatr. Pryśło typowe dla niej opanowanie.

– Chodzi o Jonathana... Ma nóż i mówi, że się zabije. Nie wiem, co robić. Jest w domu... Proszę, chodź.

Jonathan, mąż Jenny, był alkoholikiem cierpiącym na gwałtowne huśtawki nastroju. Od lat leczyłam ich oboje. Bez namysłu złapałam za

torebkę, zapakowałam do niej cały sprzęt i leki, jakie zabierałam na wizyty domowe, i wybiegłam za nią na parking przychodni.

Zdążyła już odjechać, ale wiedziałam, gdzie się udać. Odwiedzałam ich dom wiele razy.

Mieścił się niespełna pięć minut od przychodni, przy urokliwej, pięknie zabudowanej uliczce. Stały tam duże domy o okazałych ogrodach, a na podjazdach parkowały drogie samochody. Niejeden człowiek, oglądając tę okolicę, myślał, jacy szczęśliwi muszą być jej mieszkańcy. Moje doświadczenie mówiło, że w wielu z tych wspaniałych domostw, za pozornie nienagannymi fasadami, kryło się mnóstwo udręki i niedoli. Dużą część problemów, z którymi jako lekarz miałam tu do czynienia, powodowały stres i presja finansowa. W moim zawodzie szybko się nauczyłam, że pieniądze nieczęsto dają szczęście.

Gdy skręciłam w uliczkę, plamy słońca prześwitującego między gałęziami zastąpiło niebieskie i białe miganie lamp kilku radiowozów. Stały pod domem Scottów. Budynek otaczało z pół tuzina uzbrojonych policjantów w kuloodpornych kamizelkach. Zaparkowałam i wysiadłam z samochodu. W co się pakowałam? Przypominało to filmową scenę negocjacji w sprawie zakładników.

Za jednym z radiowozów stała Jenny. Zamachała do mnie. Drogę zastąpił mi policjant, wyciągając rękę, gotów mnie zatrzymać.

– Wszystko w porządku, jestem jego lekarką – wyjaśniłam.

Funkcjonariusz odsunął się na bok, a do mnie podbiegła Jenny, z ulgą wymalowaną na twarzy.

– Bogu dzięki, że jesteś, Amando.

Nie płakała, chociaż cała dygotała. Jenny była silną, wytrzymałą kobietą, zdolną wiele znieść. Kto wie, z czym musiała sobie radzić przez te

wszystkie lata. To, że Jonathana ponosiły nerwy, nie było niczym nowym, ale nie przypuszczałam, że zobaczę pod ich domem radiowozy.

– No to co się stało? – zapytałam.

– Sama nie wiem. Nic nie rozumiem. Wszystko było dobrze, a chwilę później... – Jenny umilkła, żeby pozbierać myśli. – Jedliśmy razem lunch. Wstałam, żeby wyjąć z lodówki sos majonezowy, i zauważyłam, że ubyłły trzy butelki wina. Trzy! Wiem, że lubi sobie popić, Amando, ale trzy butelki przed lunchem to dużo nawet jak na jego standardy. Zmęczyło mnie to już, byłam zła i zapytałam go, gdzie one się podziały.

Głos zaczął jej drżeć, wiedziałam więc, znając Jenny, że to siebie obwinia o to, co się stało potem.

– Rozkrzyczał się, że nie należało go pytać, a następnie do mnie dotarło, że wyciągnął z szuflady nóż do krojenia mięsa i przyłożył go sobie do szyi. Mówił, że na mnie nie zasługuje i że się zabije. – Wzrokiem szukała u mnie wsparcia. – To moja wina, prawda?

Ścisnęłam ją za ramię.

– Nie, Jenny – powiedziałam z naciskiem, nie po raz pierwszy. – To nie jest twoja wina.

Ogromnie było mi jej żal. Nie mieściło mi się w głowie, co przecierpiała przez te lata. A że była kobietą silną i niezależną, czułam, że mnóstwo tego bólu zamyka w sobie. Gorąco współczułam też Jonathanowi, który borykał się ze stanami lękowymi i depresją, a dla stępienia tych udreń uciekał w alkohol.

– Próbowałam go nakłonić, by odłożył nóż – kontynuowała Jenny – ale on tylko przybliżył go jeszcze do szyi. Tak się przeraziłam, że wybiegłam. Ciebie posłucha, Amando. Proszę, porozmawiasz z nim?

Czułam coraz większą presję.

Zawróciłam do jednego z policjantów i zapytałam, czy nawiązali już kontakt z Jonathanem.

– Jeszcze nie. Musimy czekać na zgodę na wejście. Nie potrwa to długo, ale teraz... – Wzruszył ramionami. – No, stoimy.

– A ja? – spytałam. – Ja mogę wejść?

– Według prawa? Tak, jest pani jego lekarzem i ma powody przypuszczać, że może się zranić. – Przyjrzał mi się, a strach o moje bezpieczeństwo, który pojawił się w jego oczach, niemal skłonił mnie do zmiany zdania. – Ale nie powinna pani. Lepiej poczekać, aż dostaniemy pozwolenie. Wtedy wejdziemy wszyscy razem.

Tylko czy to by coś dało? Jonathan mnie potrzebował. Zależało też na tym Jenny. Moją powinnością było nieść pomoc i miałam obowiązek ją spełnić.

Weszłam na podjazd.

Dom Scottów był przepiękny, z dużą wierzwą płaczącą na środku trawnika i rabatami pełnymi olśniewających róż i różnobarwnych letnich kwiatów. Wzdłuż ściany frontowej wisały podłużne skrzynki z kwiatami, a wzdłuż podjazdu ciągnęły się rzędy donic z bratkami i lawendą.

Im bardziej się zbliżałam do ganku, tym mocniej waliło mi serce. Niepokoilo mnie, co zastanę po drugiej stronie drzwi. Istniała obawa, że Jonathan skieruje nóż przeciwko mnie. Miałam wrażenie, że idę wyjątkowo długo. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że wszystkie oczy utkwione są we mnie. Jenny przyciskała dłoń do ust, a policjanci zamarli w bezruchu z rękoma przy kaburach, gotowi w każdej chwili wkroczyć do akcji.

Ostatni raz ogarnęłam ich spojrzeniem, a potem wzięłam się do roboty.

Drzwi frontowe były uchylone. Pchnęłam je szerzej końcami palców, by wejść do przedpokoju. W domu panowała niesamowita cisza. Moje buty stukały o drewnianą podłogę aż za głośno.

– Jonathan? – zawołałam.

Cisza.

– Jonathan, tu doktor Brown.

Odpowiedzi nadal nie było, ale i tak szłam w kierunku kuchni, przygotowując się w duchu na to, co zobaczę.

Ale jego już w kuchni nie było.

Ponownie podniosłam głos.

– Jonathan? Tutaj doktor Brown. Przyszłam zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku.

Usłyszałam hałas dobiegający z salonu.

Roztrzęsienie, które odczuwałam, nagle mnie opuściło. Musiałam dotrzeć do niego najszybciej, jak to możliwe. Weszłam do salonu.

– Och, Jonathan! – jęknęłam, ledwie tam skręciłam.

Stał przed skórzaną sofą. Wlewające się przez okna dachowe słońce podkreślało szczupłość jego sylwetki. Nóż, mocno przyciśnięty do krtani, lśnił. Jonathan lekko się chwiały, pijany, na czole perlił mu się pot, a wargi miał wilgotne.

Wpatrywał się we mnie, bez słowa.

Byłam w szoku. Znałam go dobrze, jako że od lat zwierzał mi się ze swoich problemów i doszło do tego, że widziałam w nim bardziej dobrego znajomego niż pacjenta. Serce łamało mi się na myśl, że rozpacz doprowadza go na skraj samobójstwa.

Usta mu pobladły, cały kolor odpłynął z twarzy. Wzrok miał niespokojny, całe ciało napięte. Nadal nic nie mówił, a jedynie przyciskał do gardła nóż.

Nie pozostawało mi nic innego, jak spróbować mu go odebrać.

Ruszyłam ostrożnie w jego stronę. Łagodnym głosem powiedziałam:

– Jonathan, proszę, daj mi ten nóż.

Całkiem znieruchomiał.

– Pozwól, że wezmę nóż. Wszystko będzie dobrze.

Nie widząc żadnej reakcji, powoli przesuwałam się do przodu. Co chodzi mu po głowie? Czy jest bliski poderżnięcia sobie gardła? A może skieruje nóż przeciwko mnie?

Zza okna dobiegał szum policyjnych krótkofalówek i szmer rozmów.

Na jego szyi nie widziałam żadnych obrażeń, ale koniec noża mocno napierał na skórę. Niewiele było trzeba, aby posunął się dalej.

– Jonathan... – zaczęłam, ale nie dane było mi dokończyć. Niespodziewanie bowiem rzucił się na mnie, z nożem w prawej ręce.

To wszystko stało się tak szybko. Zamarłam, nagle przeświadczona o tym, że popełniłam straszliwy błąd i zaraz umrę, tu, w tym kosztownie urządzonym salonie. Krew bryźnie na dywan, na który mało kto mógłby sobie pozwolić. Przyszłam pomóc, ale Jonathan odleciał już za daleko, za bardzo się pogubił, by to dostrzec. Wyciągał do mnie ręce, a nóż lśnił i wyglądał na tak ostry, że dałoby się nim ciąć powietrze.

Tak właśnie. Czekala mnie śmierć.

Oplótł rękoma moją szyję i zawisł mi na ramionach, puszcżając wreszcie to wielkie rzeźnickie ostrze. Ciche szcęknięcie świadczyło o tym, że spadło za mną na podłogę salonu. Część mojej świadomości zarejestrowała ten upadek i to, że niebezpieczeństwo minęło. Reszta była zajęta łkającym Jonathanem. Stałam, podtrzymując go, a on szlochał i szlochał.

– Już dobrze. – Gładziłam go po plecach jak dziecko, które desperacko potrzebuje przytulenia i dodania otuchy.

Kiedy jego oddech nieco się uspokoił, powiedziałam, że musimy wyjść przed dom i że Jenny na niego czeka.

Od płaczu zachrypł.

– Czy ona kiedyś mi wybaczy?

– Ona cię kocha, wszystkim nam na tobie zależy. Byłaby zrozpaczona, gdyby coś ci się stało – odpowiedziałam.

Wyprowadziłam go z salonu, w stronę drzwi frontowych.

Zataczał się, pijany i zdezorientowany, podtrzymywałam go więc, gdy wychodziliśmy na słońce.

Z ulgą zobaczyłam migoczące światła karetki pogotowia.

– Poproszę cię teraz, żebyś pojechał do szpitala – powiedziałam. – Tam ci pomogą. Zrobisz to dla mnie?

Przytaknął.

Jenny podbiegła do nas i wzięła w ramiona zapłakanego męża. Przepeliła mnie wdzięczność, że jest już bezpieczny. Patrzyłam na nich oboje, nie mogąc uwolnić się od myśli, że gdyby sprawy przybrały dziś inny obrót, jedno z nich – a może i drugie – mogło postradać życie. Ostatecznie, gdy może pomogłam Jonathanowi się uspokoić, on znalazł w sobie dość siły – wystarczająco wiele – by powstrzymać się od dokonania czegoś, co złamałoby im życie.

Stałam na uboczu, gdy ratownicy medyczni pomagali mu wejść do karetki, żeby zawieźć go na oddział psychiatryczny miejscowego szpitala. Jenny pojechała za nimi swoim samochodem. Potrzebował fachowej pomocy, lepszej od tej, którą ja mogłam mu zapewnić.

Odprowadzałam ich wzrokiem, a potem wsiadłam do swojego auta i powoli wróciłam do pracy. Czekali na mnie inni pacjenci.

Listopad 2004 r.

HMP Huntercombe

Przypomniałam sobie stresujące podejście pod dom Jenny i Jonathana, gdy się zbliżałam do bramy zakładu karnego Huntercombe. Na myśl o tym, co czeka za rogiem, tak samo waliło mi serce, a dłonie się pociły.

A potem nagle, zupełnie jak przed laty, dała o sobie znać odwaga.

Wyprostowałam się i z przekonaniem ruszyłam dalej pewnym krokiem.

Czułam treść, ale i podniecenie. Stwarzałam nową wersję siebie.

Rozmyślenia przerwał mi warkot wielkiej białej furgonetki podjeżdżającej do więziennej bramy. Na całej długości boków miała charakterystyczne zaciemnione okienka, takie, do których paparazzi próbują dosięgnąć aparatami, gdy wywozi się z sądu co słynniejszych więźniów. Zaciekawilo mnie, kto w niej siedzi.

Kiedy otworzyły się wielkie metalowe wrota, przez ułamek chwili widziałam, co znajdowało się za nimi. Wybetonowany dziedziniec, dalsze ogrodzenia, z pół tuzina strażników... a potem to wszystko znikło mi z oczu, bo brama się zatrzasnęła.

Przytłaczająca ściana więziennego muru o szczytach okręconych drutem kolczastym przypominała przybyłym bez osłonek, jakie życie czeka tych, których tu przywożą.

Doszłam do wartowni, w której oddzieleni ode mnie grubą szybą strażnicy bacznie śledzili na monitorach osoby przyjeżdżające i opuszczające przybytek.

I mnie niespiesznie się przyjrano, zupełnie jak w punkcie kontroli paszportowej na lotnisku.

– Pani nazwisko? – zapytał z silnym akcentem z hrabstwa Essex niski i krępy mężczyzna.

– Doktor Amanda Brown – odpowiedziałam głośno, na wypadek gdyby mnie niewyraźnie słyszał przez to grube szkło.

– Ma pani dowód tożsamości?

Wyjęłam z torebki paszport oraz prawo jazdy i podałam przez okienko, które uchylił.

Potem nastąpiła dłuższa chwila przerwy, gdyż sprawdzał moje dokumenty, a następnie usłyszałam rumor towarzyszący rozsuwaniu się wielkich metalowych wrót.

Zrobiłam krok do przodu, a potem jeszcze pół, żeby mieć pewność, iż monstrualne drzwi nie przytrzasną mnie, kiedy będą się zamykać.

Znalazłam się po tamtej stronie, w wąskim korytarzu. Strażnik przemówił teraz zza kolejnej szyby, informując mnie, że zaraz spotka się ze mną ktoś z zakładowej służby zdrowia. Przeszłam korytarzem nieco dalej, do niewielkiego pomieszczenia od podłogi po sufit obudowanego szafkami, prawdopodobnie przechowalni, ponieważ ze względów bezpieczeństwa to, co można wnieść na teren zakładu karnego, podlega ograniczeniom. I tak już na samym początku wystrój wnętrza przypominał mi, z czym przyszło mi się mierzyć: że o ile nie będę uważna, na tej posadzce zawartość moich kieszeni może przyczynić się do czyjejś śmierci.

Pojawiła się szefowa bloku medycznego. Przywitała mnie przyjaznym uśmiechem i uściskiem dłoni. Nie widziałam Dawn Kendall od rozmowy kwalifikacyjnej, czyli od pół roku – tak długo trwał proces uzyskania certyfikatu bezpieczeństwa i zawarcia umowy o pracę.

W jednej ręce miała podkładkę z klipsem, w drugiej okazały komplet kluczy, które pobrzękiwały, gdy przesuwała je między palcami. Ubrana była formalnie, w czarny damski garnitur i białą bluzkę.

Dostałam szafkę, w której miałam przechowywać telefon, torebkę i płaszcz, potem otworzyła kolejne solidne metalowe drzwi, a ja przeszłam za nią. Zamknęły się za nami z donośnym szczękiem, niosącym w sobie coś nieodwołalnego. Potem czekała na nas wielka metalowa brama, znowu brzęk kluczy, zgrzyt zamków. I w końcu – wreszcie – dotarliśmy na teren więzienia.

– Jak cię przeszkolą z korzystania z kluczy, będziesz mogła robić to sama. – Odwróciła się do mnie z uśmiechem. – A tymczasem jesteś skazana na mnie. Będę twoją eskortą.

Polubiłam Dawn od pierwszego spotkania. Była postawną damą o równie wielkim sercu. Odnosiłam wrażenie, że pragnie matkować siedzącym tu chłopcom, gdyż gdzieś w głębi siebie bez wątpienia czuje, że jest ich jej żal.

Wierzyłam, że większość personelu autentycznie chce poprawić ich los, i miałam nadzieję, że ja też zdołam się do tego przyczynić.

Przeszliśmy przez dziedziniec, przez kolejne metalowe drzwi i bramę, a potem rzeczywiście znaleźliśmy się na bloku medycznym więzienia.

Ściany były tu pomalowane na jasne kolory i obwieszane przeróżnymi rysunkami i malunkami.

– To wszystko dzieła chłopców – obwieściła z dumą Dawn.

Szła żwawo przodem, wprowadzając mnie w fakty kłócące się z niewinnym wystrojem tych wnętrz.

– W Huntercombe przebywa trzystu sześćdziesięciu najbardziej uciążliwych nastolatków, jakich zna ten kraj. Co smutne, wielu tych chłopaków pochodzi z rodzin z problemami. Nie zaznali niczego poza agresją.

Skreśliśmy za róg, a ja przyspieszyłam, by dotrzymać jej kroku.

– Zjednoczone Królestwo wyróżnia się w Europie największą liczbą młodocianych za kratkami. W tej grupie wiekowej, od piętnastu do osiemnastu lat, skala recydywy jest najwyższa: osiemdziesiąt dwa procent z nich popełnia kolejne przestępstwo przed upływem dwóch lat od opuszczenia zakładu. – Otworzyła drzwi do gabinetu.

– Amando, łatwo cię zaszokować? – zapytała.

Potrząsnęłam głową.

– To dobrze, bo chłopcy bywają chamscy, czasem też agresywni, zwłaszcza jeśli nie dostają lekarstw, które im się marzą.

Niektórzy z nich są za bardzo uzależnieni od narkotyków, by przepisywać im silne środki przeciwbólowe lub nasenne. Tego należy unikać za wszelką cenę; nie dość, że mocno uzależniają, to jeszcze czasem są wykorzystywane jako waluta, wymieniane na papierosy lub ubrania. Niektórzy chłopcy są też z ich powodu gnębieni, napadani. Leki to tutaj zwykły towar. Musimy być uważne.

Przez dwadzieścia lat praktyki jako lekarz pierwszego kontaktu tylko raz miałam do czynienia z pacjentem uzależnionym od leku. Moje doświadczenie więc prawie nic tu nie znaczyło. Wiele się będę musiała nauczyć.

Tu, na bloku medycznym, mieli swoje gabinety więzienni interniści, a obok nich inni lekarze specjaliści, w tym stomatolog, psychiatra, okulista i urolog, zajmujący się też schorzeniami układu płciowego.

Dawn poinformowała mnie, że w Huntercombe odnotowuje się wiele przypadków samookaleczeń i lepiej będzie, jeśli się przygotuję na widok okropnych blizn i przeraźliwie wyglądających ran. – Westchnęła. – Bardzo to smutne, ale dla tych chłopców to często rozładowanie napięcia. Są samotni, w depresji, niektórzy po prostu chcą umrzeć. Traktują kaleczenie siebie jak sposób na zrównoważenie bólu i stresu, które siedzą im

w głowach. Wielu z tych młodych ludzi nie chce, by ktoś widział ich rany, blizny po przypaleniu papierosem czy oparzenia wrzątkiem.

Mocno zakłuło mnie z żalu. Okropna była sama myśl, że rówieśnicy moich synów doznają takiej desperacji i poczucia bezsilności, że posuwają się do kaleczenia siebie. Nikt nie powinien tak cierpieć.

Ale znowu – pacjentów zadających sobie takie rany dotąd raczej nie widywałam. Kolejna lekcja.

Zaburzeniami psychicznymi jako takimi nie miałam się zajmować, z nimi będzie sobie radził psychiatra. Możliwe jednak, że przyjdzie mi opatrywać rany, zwłaszcza jeśli wda się infekcja i będzie potrzebny antybiotyk. Może będę musiała też pod nieobecność psychiatry przepisywać antydepresanty.

Spodziewałam się mieć do czynienia z typowymi dla nastolatków dolegliwościami, takimi jak trądzik, astma, infekcje skórne, wysypki itp. Te stany oglądałam setki razy przez lata praktyki. Przewidziano dla mnie jednak całkiem inny typ pacjenta.

Po korytarzu kręciły się dwie pielęgniarki, które wchodziły do przylegających pomieszczeń i szybko z nich wychodziły. Dawn przywołała je, byśmy się zapoznały. Obie powitały mnie bardzo serdecznie.

– W więzieniach rotacja lekarzy jest ogromna – wyjaśniła Dawn – dlatego wszystkim nam się marzy, byś z nami została. Potrzebujemy tutaj pewnej stabilności.

Największym wyzwaniem może się okazać praca z grupą od osiemnastu do dwudziestu jeden lat. Słyną z tego, że są trudni. Zbyt wiele testosteronu jak na tak małą przestrzeń. Stale walczą, przeważnie ze sobą nawzajem, czasem też ze strażnikami. – Zatrzymała się przed drzwiami w kolorze bladej zieleni.

– Dlatego lubię tu pracować. Pomimo rządowych statystyk dotyczących recydywy, czuję, że chłopcom w tym wieku mamy jeszcze szansę pomóc dokonać właściwego wyboru drogi życiowej.

Dawn przekręciła klucz w drzwiach i je pchnęła.

– A oto twoje miejsce pracy. – Odsunęła się, by mnie przepuścić.

Widok dalece odbiegał od tego, do którego przywykłam, ale nie było tak źle, jak się spodziewałam. Nieduży, czysty gabinet wyposażono w podstawowe rzeczy. Zobaczyłam biurko i półki, niewielkie i zmyślnie zaprojektowane, jakby przywiezione prosto z Ikei. Po drugiej stronie pokoiku stała kozetka, przykryta podkładem z niebieskiej bibuły i gotowa na mojego pierwszego pacjenta.

Urocze w tej klitce było to, że miała okno – mniejsza, że za solidną metalową kratą. Nie liczyłam na dostęp do światła słonecznego, toteż choć widok z okna nie był budujący, ucieszyłam się. Zaraz wyjrzałam na wyasfaltowany dziedziniec.

– Gdy chłopcy wychodzą na spacerki, bywa trochę głośno – uprzedziła mnie Dawn. – Cisza to w tym przybytku luksus!

Stojąc po przeciwległej stronie gabinetu, gładziła palcem wskazującym górną wargę, jakby się zastanawiała, czy o czymś nie zapomniała. Ja miałam mnóstwo pytań, ale uznałam, że lepiej będzie odłożyć je na później i wziąć się do roboty. Odnosiłam wrażenie, że tutaj człowiek uczy się, skacząc na głęboką wodę; albo sobie poradzi, albo utonie.

– Gabinet poprowadzi z tobą pielęgniarka, ona będzie wpuszczać i odsyłać chłopców, zajmie się też wszystkimi drobiazgami. – Dawn wskazała drzwi łączące nas z sąsiednim pokojem.

– O wilku mowa. – Odsunęła się o krok, robiąc miejsce dla drobnej, ładnej sześćdziesięcioparolatki ubranej w niebieskie spodnie i długą, też niebieską bluzę. Z kieszeni na jej piersi wyglądał długopis.

Może i miała niewiele ponad półtora metra wzrostu, ale za nic nie chciałabym jej podpaść. Nikt by nie chciał. Biła od niej władczość.

Dawn przedstawiła nas sobie.

– Amando, poznaj Wendy... inaczej Matronę, jak nazywają ją chłopcy.

Wendy przyjrzała mi się spod gęstej ciemnej grzywki. Włosy przetykane siwizną miała obcięte na krótkiego boba. Mimo surowej twarzy z jej oczu emanowało ciepło.

– Wendy zalicza się u nas do osób z najdłuższym stażem pracy. Na tę chwilę trzydzieści lat.

– W maju będą trzydzieści dwa – sprostowała Wendy, nie przerywając swoich spraw. To wpadała do gabinetu, to z niego wypadała.

– Jeśli będziesz miała jakieś pytania, zawsze ci pomoże.

Przed wyjściem Dawn nagle się odwróciła i spojrzała mi w oczy. Jej głos stwardniał.

– Ostatnia sprawa. Pamiętaj, żeby chłopcom nie ujawniać niczego na twój temat. To gdzie mieszkasz, co u twojej rodziny... Takie sprawy zachowuj dla siebie.

Zmroziły mnie te słowa.

Kiwnęłam głową na znak posłuszeństwa.

– Nikomu ze służby więziennej i personelu medycznego nie wolno też utrzymywać jakichkolwiek kontaktów z osadzonymi, którzy opuścili zakład.

Ponownie przytaknęłam. Sytuacja wydała mi się nagle znacznie poważniejsza. Za czasów przychodni przywykłam do angażowania się w życie moich pacjentów. Całymi latami śledziłam ich podróże, odwiedzałam w domach, obserwowałam, jak zmienia się ich życie. Tutaj zapowiadało się całkiem inne podejście do zawodu lekarza. Miałam

w swoim gabinecie przyjmować więźniów, których być może nigdy więcej nie ujrzę.

Widząc cień niepokoju na mojej twarzy, Dawn złagodniała.

– Poradzisz sobie. To wyzwanie.

Po tych słowach znikła w korytarzu.

Rozmyślenia przerwało mi łupnięcie w biurko. Gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że Wendy obdarowała mnie okazałym plastikowym pudłem pełnym kart. Znajdowały się w nim pomarańczowe teczki formatu A4, różnej grubości, każda oznaczona numerem, nadanym przez zakład karny chłopcom, z którymi zobaczę się tego ranka. Błędem byłoby zakładać, że grubsze teczki zapowiadają bardziej wymagających pacjentów, ale po wszystkim, co dzisiaj usłyszałam, taki wniosek sam się nasuwał.

– Nie jest to przyjemna lektura. – Wendy się skrzywiła. – A oto lista chłopców, których obejrzysz. – Położyła na blacie arkusz papieru.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się, wdzięczna za jej pomoc. Wiedziałam, że z Wendy u boku dam sobie radę.

Wróciła do śmigania między pokojami w ramach końcowych przygotowań. Zerknęłam na zegarek.

– Co się teraz dzieje? – zapytałam, gdy Wendy znów się pojawiła.

Wyjaśniła mi, że strażnicy z poszczególnych bloków zbierają chłopców, którzy zgłosili potrzebę wizyty u mnie, oraz tych, za których zdecydowała o tym jedna z pielęgniarek.

– Będą czekać w strefie wspólnej, aż ich wywołam – dodała.

Wyjrzałam przez drzwi na poczekalnię mieszczącą z dwadzieścia plastikowych krzeseł, ustawionych w równych rzędach.

– Tutaj wszystko jest z plastiku – oświadczyła Wendy. – Od krzesel po sztuce.

– Tak?

– To zapobiega samookaleczeniom – odparła.

Ponownie więc byłam zmuszona zderzyć się z faktem, że część tych młodych ludzi popada w taką desperację, iż jedyną ucieczką wydaje im się zadawanie sobie samemu bólu.

– Lepiej się przygotuj, lada moment zaczną się schodzić. – Wendy machnęła głową i kolejny raz opuściła gabinet.

Ja wróciłam do biurka i przyjrzałam się nazwiskom chłopców, których miałam zbadać. Co takiego zrobili? Nie miałam pojęcia o ich przestępstwach, tego szczegółu kartoteki medyczne nie uwzględniały. Miałam jednak nadzieję, że świadomość powagi ich czynów nie wpłynęłaby na moją zdolność do niesienia pomocy. Na to liczyłam... ale i czułam ulgę, że nie muszę tego dowodzić. Jacy to ludzie? Co ich do mnie sprowadza? Ale to samo dotyczyłoby przecież wszystkich nowych pacjentów, więc...

Kiedy kończyłam czytanie listy, dochodzący z poczekalni szum przeszedł w głośne gadanie i chrapliwy śmiech.

Czyjś stanowczy głos zagrział:

– Hej, ciszej tam! – Musiał należeć do strażnika dyżurującego w poczekalni.

Efekt był taki, że rechotanie jeszcze się wzmogło.

Strażnik zaś rozzłościł się jeszcze bardziej.

– Ciszej tam, powiedziałem! – wrzasnął, waląc pięścią w drzwi.

– Weź się odpierdol! – usłyszał w odpowiedzi.

Nastąpiła błyskawiczna reakcja. Krzesła zaskrzypiały na podłodze, słyhać było więcej krzyku, dalsze bluzgi, szamotaninę, groźby, wreszcie

zapanowała cisza.

Kiedy Wendy zastukała w drzwi, ścierpła mi skóra.

– Tak to jest, gdy pakuje się zgraję rozwydrzonych nastolatków do jednej klitki – stwierdziła, zaglądając do mnie i przewracając oczami. – Mam tu Jerome’a Scotta.

Wyjęłam z plastikowego pudła teczkę Jerome’a. Gruba jak książka.

– Proszę! – zawołałam.

Przygotowałam się na przyjęcie pierwszego więziennego pacjenta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jerome okazał się wysokim chudzielcem, któremu spodnie od więziennego dresu wisały tak nisko, że wystawały spod nich bokserki. Był blady i pryszczaty, a w uszach nosił sztyfty z brylancikami. Włosy, po bokach wygolone, u góry układały się w naželowany czub. Wyglądał jak cała masa nastolatków, spędzających zbyt wiele czasu w domu przy grach wideo.

Jedynie jego oczy mówiły coś innego. Były przekrwione, opuchnięte, podkrążone na sino. Wydawało się, że nie sypia od miesiący, nastawiłam się więc na to, że zażąda tabletek nasennych.

– Wejdz, usiądź. – Powitałam tego nastolatka równie przyjaźnie, jak pacjentów w moim dawnym gabinecie.

Jerome dumnie przemierzył pokój i opadł na krzesło naprzeciwko mnie. Z miejsca przyjął niedbałą postawę, lewą nogę wyciągając do przodu, a prawy łokieć przewieszając przez oparcie.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytałam, wczytując się w najnowsze adnotacje w jego kartotece, by poznać go bliżej. Antydepresanty, leki na uspokojenie. Sińce na żebrach i lewym policzku oraz obrażenia na czole (skutek bójki ze współwięźniem). Podniosłam wzrok, by sprawdzić, na ile te rany się zagoiły.

– Chodzi o stopy, proszę pani.

Trochę mnie zamurowało. Po dzisiejszym wprowadzeniu i biorąc pod uwagę historię tej placówki, nie spodziewałam się uskarżania na taki, rzecz można, drobiazg.

– Ojej. I co z tymi stopami?

– Bola, kiedy chodzę. To chyba przez buty.

Jerome podniósł do góry jedną ze swoich czarnych tenisówek, stanowiącą, jak uznałam, element ubioru więziennego. Potem na nowo się rozparł na krześle i zaczął obgryzać paznokcie, a raczej ich resztki. Na jego lewym nadgarstku zauważyłam tatuaż, węża owiniętego wokół miecza, którego koniec ostrza wyglądał spod mankietu bluzy dresowej.

– Jakiego rodzaju ból czujesz i w którym miejscu stopy? – Byłam w stanie uwierzyć, że te buty nie zaliczają się do najwygodniejszych.

– Wszędzie mam pęcherze, proszę pani. Boli tak, że ledwo chodzę. Nie wyrobię z tymi tenisówkami.

Dziwnie mi się słuchało tego „proszę pani”, ale odniosłam wrażenie, że Jerome widzi we mnie autorytet w rodzaj nauczyciela – inaczej niż moi dotychczasowi pacjenci, generalnie widzący we mnie dobrą znajomą. Czy marzyła mi się taka odpowiedzialność? Czy dam radę ją na siebie wziąć?

Obeszłam biurko i żeby zbadać rzecz z bliska, poprosiłam Jerome’a o zdjęcie butów i skarpet. Zamachał w powietrzu lekko woniejącą bosą stopą, prezentując maleńkie pęcherze na prawej pięcie.

Z zakłopotaniem wpatrywał się w podłogę.

– To mnie dobija. Ledwo łączę!

Jakoś bez problemu wmaszerował przed chwilą do mojego gabinetu, pomyślałam sobie. Zastanowiło mnie, czy w jego narzekaniu nie chodzi o coś więcej.

– Może zajrzysz obok, a pielęgniarka wyda ci parę plastrów na pęcherze?

Ledwie to powiedziałam, Jerome wyjechał ze swoją własną diagnozą i zaleceniami.

– Może mi pani po prostu napisze, że mogę chodzić we własnym obuwii? Wtedy na pewno nie będę miał pęcherzy.

Nagle złapałam, w czym rzecz. Musiała istnieć jakaś luka w przepisach, pozwalająca więźniom na używanie własnego obuwia z przyczyn medycznych. Nie wiedziałam, czy Jerome otrzymałby tenisówki od rodziny, ale byłam przekonana, że właśnie o to mu chodziło.

To był mój pierwszy dzień w tej pracy, musiałam więc się pilnować, by nie złamać żadnych przepisów.

Nieco bardziej surowym tonem zasugerowałam:

– Najpierw spróbujemy z plastrami, a potem zobaczymy.

Jerome głośno prychnął.

– Ale proszę pani – zaskomlał.

Siedział jeszcze przez chwilę, naburmuszony, czekając, czy nie kupię jego sposobu myślenia. Skubał paznokcie.

Zastanowiłam się, co powiedziałabym swoim chłopcom, gdyby próbowali postawić na swoim.

Uśmiechnęłam się i wyjaśniłam, że to mój pierwszy dzień w tym zakładzie karnym i że powinien zacząć od plastrów, ale też obiecałam, że poszukam w przepisach i regulaminach czegoś, co umożliwi noszenie własnych tenisówek zamiast tych przydziałowych.

Jerome jeszcze się boczył i droczył, ale niechętnie przystał na plastry, a gdy przechodził do sąsiedniego pokoju na spotkanie z Wendy, odwrócił się jeszcze i posłał mi cwaniacki uśmiezek.

– W takim razie widzimy się za tydzień, proszę pani.

Reszta porannych wizyt okazała się ciągiem pomniejszych dolegliwości, w tym co najmniej jeszcze trzech apeli o tenisówki, wyłącznie z równie niepoważnych przyczyn.

Dwaj z tych chłopców uskarżali się na obolałe stopy, trzeci, że dokuczają mu paznokcie. Wydało mi się śmieszne, że lekarz marnuje czas na zajmowanie się chłopcami pragnącymi własnego obuwia. Postanowiłam, że poruszę to w rozmowie z Dawn, najpierw jednak musiałam opowiedzieć Wendy o strasznej wtopie, jaką zaliczyłam w przypadku innego chłopca.

– Powiedziałam mu, że podoba mi się jego pomarańczowy dres. Że jest radośniejszy i bardziej żywy od tych szarych. A on na to: „Dzięki, proszę pani, ale pomarańczowy noszę, bo próbowałem uciec!”.

– Sądzę, że w tym dresie nie będzie już próbował zwać. Rzucalby się w oczy! – Wendy pękała ze śmiechu.

Też się śmiałam. Przyjrzałam się jej, zwykle tak poważnej – a ona spojrzała na mnie – i nabrałam pewności: świetnie się dogadamy.

Nawet jeśli było to zabawne, to dziwnie mi się robiło na myśl, że ktoś, kim zajmowałam się z powodu tak rutynowego jak lekkie zapalenie ucha, mógł zaledwie parę godzin wcześniej próbować ucieczki ze strzeżonego więzienia. Zajmowałam się zwyczajnymi sprawami w świecie ze wszech miar mi obcym.

Odwróciłam się do Wendy i zapytałam:

– Czemu ci chłopcy tak chcą tenisówek?

Jeśli ktoś wiedział, co chodzi im po głowie, to na pewno Wendy.

Zachichotała.

– Noszenie więziennego obuwia jest obciachowe więc robią wszystko, żeby dostać swoje. To pozwala im tutaj bardziej być sobą. – Spojrzała mi

w oczy.

– Musisz być z nimi stanowcza, inaczej owiną sobie ciebie wokół palca.

Sama też do tego doszłam bardzo szybko. Gdybym jednemu przyznała tenisówki, ustawiłaby się do mnie kolejka – te dzieciaki dzień w dzień by się ich domagały.

– Ci chłopcy są cwani. Jeśli zauważą u ciebie słaby punkt, natychmiast to wykorzystają – ostrzegła. – Nieustannie człowieka testują, sprawdzają jego wytrzymałość. Jak większość nastolatków. A nie zapominaj, że niektórzy z nich mają wielką wprawę w kłamaniu i manipulowaniu. Łatwo zapomnieć, że siedzą tu za popełnione przestępstwa.

Wendy miała rację. Kiedy zajmowało się tymi pacjentami z powodów czysto medycznych, łatwo było wymazać z pamięci fakt, że to kryminaliści. Buzie mieli niewyparzone, generalnie jednak zachowywali się całkiem przykładnie.

Po trzech tygodniach w Huntercombe zorientowałam się, że niezależnie od tego, jak nieziemsko irytowały mnie apele o obuwie, mój nowy świat działa na mnie ożywczo. Był tak inny i przynosił tyle wyzwania, że czułam się, jakbym rozpoczęła nowe życie. Chmura, która zawisała nade mną, gdy rozstawałam się z poprzednią praktyką, gdzieś pierzchła. Zaczynałam czuć się akceptowana i znów cieszyć się poczuciem własnej wartości. Może nawet udawało mi się coś zmienić?

Na bloku medycznym żyłam trochę jak pod kloszem. Niewiele wiedziałam o innych częściach więzienia, o tym, co działo się na innych blokach, a nawet jak wyglądają cele. O chłopcach miałam tylko takie pojęcie, jakie dawały mi ich piętnastominutowe wizyty w moim gabinecie. Z naczelnikiem miałam styczność tylko raz czy dwa. Odwiedzałam to miejsce dwa razy w tygodniu, już z własnym zestawem kluczy, by się zajmować zwykłymi problemami zdrowotnymi pozornie zwyczajnych

pryszczatych nastolatków. Podobało mi się nawet to, jak się do mnie zwracają: „Proszę pani”.

Tyle że klosz, jak to klosz, musiał kiedyś pęknąć. A ostrzeżenia Wendy potwierdziły się prędzej, niż się spodziewałam.

Winę za to przypisywałam sposobowi zorganizowania poczekalni. To, że zebranie wielu nastolatków w ciasnej, zamkniętej przestrzeni wywoła kiedyś problemy, było przecież bardzo prawdopodobne.

Mój środowy poranny dyżur zaczął się jak wszystkie dotychczasowe. Od dużej sterty teczek na biurku i listy chłopców, których miałam przyjąć w ciągu kilku najbliższych godzin. Jak zwykle nie miałam pojęcia, z czym przyjdą.

Wiedziałam już, jak bywają hałaśliwi, tym razem jednak z poczekalni dobiegało znacznie więcej śmiechów i krzyku niż zwykle. Strażnik kilkakrotnie wrzeszczał, by ich uciszyć, ale znajdowałam się zbyt daleko, by słyszeć jakąś inną reakcję poza rzucaniem mięsem.

Kiedy Wendy zastukała do mnie, minę miała aż nadto wymowną. Usta wykrzywiła w niewesołym uśmiechu, jakby życzyła mi szczęścia.

– Dzięki, Wen – powiedziałam, po czym pociągnęłam solidny łyk kawy z kubka. Kofeinowy strzał przed rozpoczęciem badań. Tego dnia miałam na liście tylko dziewięciu chłopców, a pierwszy z nich, Danny Farr, poprzednio odwiedził lekarza trzy tygodnie wcześniej w sprawie stóp.

Stawiam, że wiem, po co wrócił, pomyślałam sobie, gdy ten siedemnastolatek wchodził do gabinetu.

Danny, niski, krępy i we własnych ciuchach, usadowił się na krześle naprzeciwko. Rysy miał wyraziste, jak spod dłuta rzeźbiarza, wysokie kości policzkowe, a głowę całkiem ogoloną. Pozę przyjął mocno zrelaksowaną: nogi szeroko rozstawione, ręce luźno opuszczone.

Przeszłam do rzeczy.

– Dzień dobry, Danny. Jak się dziś czujesz?

– W porządku, proszę pani. – Głośno chrząknął. – Poza tym, że mam taki problem.

– Śmiało – zachęciłam go.

– To trochę krępujące, proszę pani.

Uśmiechnęłam się, próbując dodać mu otuchy. Wiedziałam, że chłopcy mogą czuć się niezręcznie, zwierając się kobiecie.

– Bez obaw, ja już wszystko widziałam i słyszałam.

– Chodzi o mojego... – Spuścił wzrok na krocze. – Wydaje mi się, że mam... jakąś plamę na moim...

– Penisie? – dokończyłam, żeby przyspieszyć tę zgadywanke.

Zajmowanie się zdrowiem seksualnym zasadniczo nie należało do mnie, to była dziedzina „fiutologa” – jak nazywali go chłopcy – czyli lekarza prowadzącego gabinet urologiczny. Ale oczywiście w razie potrzeby ja też się tym zajmowałam.

Sprawił wrażenie zawstydzonego.

– Tak, proszę pani.

– W takim razie może bym się jej przyjrzała? – powiedziałam, żeby oszczędzić mu tego zawstydzenia.

Opuścił bokserki. Na pierwszy rzut oka nie widziałam żadnej plamy, dokładnie więc wszystko obejrzelśmy, żeby chłopak miał pewność, ale niczego takiego nie było. Zapinając dżinsy, Danny wyszczerzył się w uśmiechu prezentującym krzywe zęby.

– A przysięgłbym, że ją widziałem. Już myślałem, że podłapałem jakąś chorobę albo co.

– Nie, wszystko jest w porządku. A jeśli znajdziesz jeszcze jakieś plamy lub pęcherze, zapisz się do urologa – powiedziałam, zanim zniknął za drzwiami.

Dwie minuty później zasiadł w moim gabinecie Dave Samuel z zaskakująco podobnym problemem.

– Mam guza na jajach i boję się, że to rak – wyznał nastolatek.

W tej samej chwili z poczekalni dobiegła salwa śmiechu, niknąca w głębi korytarza. Miałam wrażenie, że przez twarz Dave'a przemknął grymas drwiny, ale jeśli tak, zaraz zniknął.

– A więc obejrzymy sobie problem – oznajmiłam zdecydowanie.

Wyprostowany Dave nade mną górował. Miał taką samą ciastowatą i plamistą cerę jak większość nastolatków, których widywałam, i niechlujną szczecinkę na brodzie. Kazałam mu położyć się na kozetce, żebym mogła go zbadać. Wendy była zajęta w sąsiednim pokoiku i tego dnia nie mogła asystować mi w badaniach. Zasłoniłam kozetkę parawanem i za zgodą chłopaka zbadałam jego mosznę, ale nie znalazłam żadnych guzów ani niczego odbiegającego od normy.

Za drzwiami ponownie eksplodował śmiech, co wywołało u Dave'a atak chichotu.

– Przepraszam, pani doktor. Zawsze się śmieję, kiedy się wstydzę. – Zdusił rechot pięścią.

– Nic ci nie jest, możesz się ubrać.

– Co za ulga. Dzięki, proszę pani – powiedział Dave i czym prędzej zmył się z mojego pokoju.

Westchnęłam. Co za ranek. Wzięłam kolejny łyk teraz już letniej kawy. Przez drzwi zajrzała Wendy, żeby chociaż jęknąć, jacy hałaśliwi są dziś chłopcy.

– Pojęcia nie mam, czemu tak jazgoczą – syknęła. – Na służbie jest nowy strażnik i jeszcze nie wziął ich do galopu. Jak nie da rady, sama to zrobię.

Z Wendy była taka zadziorna, że ani przez chwilę w to nie wątpiałam.

– Podeślę ci następnego małolata – oznajmiła.

I ten pacjent uskarżał się dokładnie na to samo – na guza na mosznie. Zbadałam go, nie znalazłam niczego niezwykłego, a dalej było to samo. Każdy z chłopaków, którzy odwiedzili dziś mój gabinet, skarżył się, że z jego genitaliami jest coś nie tak.

Co do tego, że szykują coś, rzecz można, grubego, pozbyłam się oczywiście wątpliwości, gdy do gabinetu wkroczył piąty młodzian, ze wzwodem rozpychającym dresowe portki niczym maszt namiotu.

Był wysoki i dobrze zbudowany, biła od niego pewność siebie. Spodnie wisiały mu na tyłku, a usta wykrzywiał wredny uśmiezek. Śmiało ruszył ku mnie, opuścił portki oraz bokserki i praktycznie plasnął wzwiedzionym przyrodzeniem o blat mojego biurka.

– Odpowiednio duży, pszepani? – zadrwił.

Ogarnęła mnie złość. Byłam wściekła na tę jego próbę upokorzenia mnie. Mają śmiałość przychodzić do mojego gabinetu, żeby mnie obrażać? Czy nie robiłam wszystkiego, co w mojej mocy, żeby im pomóc? Zależało mi na nich! Ja tu chcę poprawić im los, a wszystko, na co ich stać, to coś takiego? Mężczyzna w roli lekarza nie miałby takich problemów.

Nie dałam – bo nie mogłam dać – po sobie poznać, jaka jestem zmieszana, bo dostarczyłabym mu satysfakcji, na którą liczył. Przez lata praktyki jako lekarz pierwszego kontaktu opanowałam do perfekcji przybieranie pokerowej twarzy, a więc umiejętność ukrywania zaszokowania – użyteczną głównie przy dodawaniu ludziom otuchy. W tym przypadku przydała się, by dać komuś po nosie.

Wzruszyłam ramionami.

– Według mnie całkiem normalny – stwierdziłam z lekceważeniem, a potem chłopaka błyskawicznie spławiłam. Starał się mnie po prostu wkręcić, a ja na to nie miałam czasu.

Kiedy wrócił do poczekalni, podniosła się kolejna fala śmiechu, a wszyscy tam zgromadzeni niewątpliwe przybili z nim piątkę. W miarę jak strażnicy odprowadzali ich na bloki, zgiełk stopniowo cichł, ja jednak siedziałam wkurzona. Nie mogłam się doczekać chwili, gdy wyleję z siebie tę złość przed Wendy.

– O co w tym wszystkim chodziło? – zagrzałam. Gdy opowiedziałam jej o chłopaku ze wzvodem, była zbulwersowana i wstrząśnięta.

Pokręciła głową, skonsternowana.

– Takie coś nie miało prawa się stać, Amando.

– Oglądanie ich członków to dla mnie nic wielkiego. Przez lata widziałam setki takich, ale nie godzę się, by ktoś mnie upokarzał – oświadczyłam, wciąż jeszcze rozeźlona.

Strach było myśleć, że rówieśnicy moich synów potrafią zachowywać się tak natarczywie. A jednak w jakiś sposób mi też ulżyło: ich zachowanie odarło mnie ze złudzeń. To nie byli zwyczajni nastolatki ani też zwyczajni pacjenci.

– Absolutnie się z tobą zgadzam. I nie przejmuj się, zgłoszę to Dawn – obiecała Wendy, biorąc się pod boki. – Tak sobie myślałam, że coś dzisiaj dużo szeptów i śmiechów w poczekalni. Na pewno uzgodnili ten plan zaraz po przyjsciu. Tak się kończy zbieranie ich w kupie. Nudzi im się, to szukają okazji do wygłupów.

– Do sprawdzenia, czy się nie załamie – doprecyzowałam. – Otóż nie.

Wieczorem cieszyłam się, że mogę się wyzalic Davidowi. Był jak zawsze niewzruszony i racjonalny. Wysłuchał mojej tyrady na temat chłopaków, a potem przypomniał mi, że nie muszę ciągnąć pracy, która mnie nie cieszy.

Wyciszył dźwięk na kanale sportowym, a ja zzułam pantofle i rzuciłam się na sofę.

– Nie mogę rzucić roboty tylko dlatego, że jednego dnia ktoś próbuje dać mi do wiwatu. Takie jest życie, że czasem trzeba się mierzyć ze zniewagami i upokorzeniami.

– Mnie nie musisz przekonywać – odparł David.

– Chcę powiedzieć, że to niesamowity przywilej móc oglądać świat, o którym większość ludzi nie ma pojęcia.

– Jak powiedziałem, mnie nie musisz przekonywać.

Zapadłam nieco głębiej w fałdy sfatygowanej skóry na sofie i podniosłam stopy na podnózek. Zamknęłam oczy. David miał rację. Usiłowałam przekonać inną osobę: siebie.

Nowa praca sprawiała mi radość. Byłam pewna, że właściwie wybrałam dalszą drogę kariery, ale mimo wszystko coś mnie gryzło. Nie bardzo widziałam sens w tym, co robię. Czy wprowadzałam w życie tych chłopców jakąś zmianę, poza doraźną łataniną dolegliwości? Czy w ogóle można było coś zmienić w ich życiu, czy zanadto się odgradzali murami oporu, równie wysokimi i tak samo nie do pokonania jak te więzienne?

Ręce i nogi coraz bardziej mi ciążyły i szybko zapadłam w sen. Nawet dobiegające z telewizora okrzyki radości i śpiewy kibiców rugby nie były w stanie mnie obudzić.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jared Keane w niczym nie przypominał reszty chłopców, których widywałam w Huntercombe.

Od dawna liczyłam na coś, co bardziej wynagrodzi mi tę pracę, i oto przełom przyniósł mi osiemnastolatek, którego miesiące dzieliły od przeniesienia do zakładu karnego dla chłopców w wieku od osiemnastu do dwudziestu jeden lat.

Jak tylko wszedł do mojego gabinetu, pojęłam, że w jego przypadku kryje się coś więcej niż na pozór pospolite uskarżanie się na ból w plecach.

Przed tamtym dniem niezliczoną ilość razy zajmowałam się problemami z plecami. Przeważnie powodowały je cienkie jak papier materace na pryczach twardych niczym kamień lub przeforsowanie się przy podnoszeniu ciężarów w siłowni.

Jared był nieśmiały i wyciszony, unikał kontaktu wzrokowego – a szkoda, bo miał piękne ciemne oczy i nadzwyczaj uroczy uśmiech. Fryzura typowa, krótki jeź, cera w kiepskim stanie. Na kostkach palców widniały tatuaże, a oba nadgarstki przekreślał z tuzin śladów płytkich cięć. Były

rozłożone równomiernie, co wymagało czasu i precyzji. Z karty pacjenta wiedziałam, że do pocięcia się wykorzystał plastikowy kubeczek po jogurcie.

Przyłapał mnie na tym, że patrzę na jego samookaleczenia, i nerwowym szarpnięciem obciągnął rękawy szarej bluzy.

Rany były świeże, ale nie wdała się w nie infekcja, tego samego dnia miał też odwiedzić psychiatrę i poddać się ocenie stanu psychicznego.

Każdemu, kto dokonał w więzieniu samookaleczenia, zakłada się rejestr ACCT (zapis oceny kurateli penitencjarnej i pracy w grupie). Dokument ten ułatwia dbanie o bezpieczeństwo takich osób, zawiera notatki z cyklicznych obserwacji i dotyczące ich zachowań oraz nastrojów komentarze znajdujących je członków personelu. Ktoś, kogo podejrzewa się o silne tendencje samobójcze, zostaje objęty całodobową obserwacją w monitorowanej celi.

Usiłowałam rozluźnić Jareda, pytając go o problemy z plecami, w nadziei, że to otworzy mi drogę do dowiedzenia się o nim czegoś więcej.

Zawsze byłam zdania, że aby w pełni pojąć, co naprawdę komuś dolega, należy spróbować pojąć go jako człowieka. W przypadku Jareda wyraźnie było widać, że wiele się w nim dzieje.

Ludzie uciekają się do samookaleczeń z różnych powodów, przeważnie jednak po to, by stłumić tym ból psychiczny. Objawia się to różnie, od cięcia na nadgarstku po próby samobójcze. Kiedy pojawiłam się w Huntercombe, skala takich zachowań wśród chłopców mnie zaszokowała, z czasem jednak pojęłam, skąd się bierze: z osamotnienia, dojmującego poczucia bezkresnej beznadziei, a także z dokuczliwej klaustrofobii wskutek pozbawienia wolności.

Ogromny wkład w problem wносиło też poczucie winy. Niejeden z tych chłopców popełnił straszną zbrodnię i męczył się z samym sobą. Inni zarzucali sobie, że zawiedli ukochane osoby lub członków rodziny.

Jak w przypadku wszystkich innych chłopców, których badałam, nie miałam pojęcia, co kryje w sobie Jared, ani nie czułam się upoważniona, by o to pytać. Jeśli chciał mi powiedzieć, powinno to wyjść od niego.

Roztarł sobie okolice krzyża, po lewej.

– Odkąd tu jestem, boli mnie u dołu pleców – powiedział.

– Czyli jak długo, Jared?

– Za długo, proszę pani – westchnął głęboko, wydmuchując powietrze przez niemal zaciśnięte wargi. – Od dwóch i pół roku. A zostały mi jeszcze trzy.

– Przenoszą cię?

– Zgadza się, proszę pani.

Przestępstwo musiało być dość poważne, skoro skazano go na pięć i pół roku. Możliwe, że napad z bronią w rękę. Trudno powiedzieć.

Chciałam obejrzeć jego plecy, gdy stoi, zażądałam więc, żeby podwinął bluzę. Miał opory i wkrótce zrozumiałam ich powód.

Dół jego pleców był usiany śladami po oparzeniach papierosem. Małe kraterki niemal pokrywały całą skórę. Ciężko byłoby przyjąć, że sam sobie to zrobił. Momentalnie założyłam, że papierosy gasił na nim ktoś inny.

Tak obnażony, wyraźnie czuł się nieswojo, toteż opuściłam jego bluzę i badania dokonałam przez materiał.

– Aua! – zawył, gdy dotknęłam jego lewego boku.

Przeprosiłam, obmacując wszystko wokół, by się upewnić, czy ból skupia się w tym jednym miejscu. Okazało się, że tak, i nabrałam pewności, że chodzi o mięśnioból, najpewniej spowodowany przez jakość materaca, a raczej jego namiastki.

Poprosiłam, by położył się na kozetce, żebym mogła kontynuować badania.

– Próbowałem leżeć w nocy na drugim boku, ale nie bardzo pomagało mi to zasnąć. Nie dość, że nie śpię, to jeszcze czuję się teraz jak w kaftanie bezpieczeństwa, bo ruszać się też nie mogę.

– Na takich pryczach na pewno niedobrze się śpi – przyznałam ze współczuciem.

Zauważył, że przyglądam się jego nadgarstkom, i ubiegł moje pytanie.

– Nic mi się nie stało, nie musi pani na nie patrzeć – warknął. Tak się przejął, że aż chrypiał.

Złagodziłam ton i spojrzenie.

– W porządku, Jared, nie zrobię niczego, co ci nie pasuje. Może byś znów tutaj usiadł?

Kiedy opadł na krzesło naprzeciw mnie, przepisałam mu na karcie lek przeciwbólowy, nie za silny i nieuzależniający.

Wypisując go, spróbowałam podrażnić nieco głębiej.

– Jared, masz jakąś rodzinę?

Trafiłam w czuły punkt.

Zawahał się przez chwilę, zanim odparł: – Nie, proszę pani. Nie mam rodziny.

Milczeniem zachęcałam go, by powiedział coś więcej.

– O ile wiem, nie mam braci ani sióstr. – Wziął kolejny głęboki oddech. – Dorastałem w domu dziecka.

Jego słowa zawisły w ciszy.

Od pojawienia się w Huntercombe leczyłam niejednego wychowanka takiej placówki, a ich historie czasem łamały mi serce. Ich opowieści o maltretowaniu fizycznym – a niekiedy gorzej, bo psychicznym – oraz traumach bywały przerażające.

Jak to możliwe, że ten nieszczęsny chłopak przez całe swoje osiemnastoletnie życie nie miał dosłownie nikogo, komu by na nim

zależało?

Pomyślałam, jakimi szczęściarzami są moi dwaj synowie, ponieważ mają mamę i tatę, którzy ich kochają.

Przyszło mi do głowy, że powodem tego, iż tak wielu spośród chłopców badanych przeze mnie w więzieniu ma już dzieci, może być ich dojmująca tęsknota za posiadaniem rodziny.

Zastanawiało mnie też, jak Jared dorobił się tych okropnych blizn na plecach.

Jako dziecko?

Dorastanie w trudnym środowisku nie usprawiedliwiało popełnienia przestępstwa, ale mogłam przypuszczać, że na tyle pozbawiło Jareda poczucia własnej wartości, iż nie przejmował się zbyt tym, co robi ze swoim życiem. A skoro nikt go nie kochał, jemu okazywanie takich uczuć pewnie też nie przyszłoby łatwo.

Zastanawiałam się, czy mogłabym jakoś pomóc mu zasypiać. Przepisanie tabletek na sen nie wchodziło w grę, skierowałam więc naszą rozmowę w stronę innych rozwiązań.

– Lubisz czytać? – zapytałam. W Huntercombe masa młodocianych nie umiała ani czytać, ani pisać, ale Jared wysławiał się tak, że byłam pewna, iż jego to nie dotyczy.

Na wzmiankę o książkach w jego oczach pojawił się błysk ożywienia.

– Tak, lubię czytać. Ale czasem litery mi się rozlatują. Poskładanie ich zabiera mi kupę czasu, i to mnie wkurza.

– Czyli to nie relaks, po którym łatwo byś zasnął – stwierdziłam, szukając w myślach innych sposobów wyciszenia.

– Za to, proszę pani, lubię pisać – wyznał Jared.

Coś takiego nieczęsto słyszało się w Huntercombe. Co więcej, wyczuwałam w tym pasję, którą mogłabym podsycić, by wzmocnić jego

wiarę w siebie.

Chyba się zadumał.

– Jak nie mogę zasnąć, spisuję to, co sobie myślę.

Przypomniała mi się bezsenna noc po starciu słownym w mojej dawnej przychodni. Pisałam wtedy aż po świt, każdym słowem zmieniając swoją przyszłość.

– Mnie pisanie pomaga zrzucić ciężar z serca – powiedziałam. – A kiedy odkładam długopis, czuję się o wiele lepiej. Dlatego kiedy następnym razem coś dobije cię tak, że będziesz chciał się okaleczyć, może spróbujesz opisać swoje uczucia?

– Tak, proszę pani. – Z emocji głos mu się trząsł.

Poszukałam jego spojrzenia.

– Jared, dobrze się czujesz?

– Tak, proszę pani. – Zanim znów spuścił wzrok na podłogę, jeszcze na mnie zerknął.

Powiedziałam Jaredowi, że na kilka następnych dni przepisuję mu środki przeciwbólowe i ma po nie trzy razy dziennie zgłaszać się do pielęgniarki.

(Większości osadzonych, zwłaszcza z historią samookaleczania, nie wolno posiadać leków i samodzielnie ich sobie aplikować). Zaleciłam, by chłopak znów mnie odwiedził, jeśli ból pleców nie ustąpi.

Gdy wychodził z mojego gabinetu, ramiona miał zwieszane, a z wyczerpania, niedoborów snu i przygnębienia powłóczył nogami. Serce się krajało na ten widok i po raz pierwszy po wyjściu mojego pacjenta jeszcze długo czułam wokół siebie jego obecność.

Spacer po polach za naszym domem zawsze działały na mnie oczyszczająco. Mogłam się na nich zastanowić nad różnymi sprawami i

uwolnić natłok myśli, tak by się rozwiały w wiejskim powietrzu. Obuta w kalosze, pokonałam przełaz w płocie na tyle ostrożnie, by po zejściu na ziemię nie pośliznąć się na błocie. Zaczepiłam głęboko powietrza, wypełniając płuca rześkim zimowym chłodem. Przeszłam padok, mijając dwa pełne wdzięku konie, oskubujące świeżą stertę siana. Słyszając plaskanie moich kroków, oba podniosły łby. Jeden zagapił się na mnie, zaintrygowany, a z nozdrzy biły mu kłęby gorącej pary. Kilkakrotnie machnął ogonem, potem wrócił do pogryzania.

Czy to nie jest szczęście, móc chodzić swobodnie po tych polach? – pomyślałam sobie. Odkąd zaczęłam pracę z chłopcami, przedreptałam te ścieżki dziesiątki razy, ale nigdy dotąd kontrast pomiędzy ich życiem, odartym z wolności, a moim, nie wydał mi się aż tak jednoznaczny. To przecież nastolatki – powinni wyrywać się na imprezy, zapraszać do siebie znajomych, mieć dziewczyny albo chłopaków, kogoś, kto by się o nich troszczył. Tymczasem siedzieli za kratkami, co wydawało mi się smutne i nie w porządku.

Robiło mi się nieswojo na myśl o Jaredzie i o tym, co musi czuć człowiek zamknięty w ciasnej celi ze świadomością, że nikomu na tym świecie na nim nie zależy. Że nikt za nim nie tęskni. Że nie miał się do kogo zwrócić, gdy sprawy przybrały zły obrót. A Jared był jednym z wielu chłopców w Huntercombe, którym nie dano poznać, jak to jest mieć rodzinę. Spotkanie z nim wbiło mi się w pamięć.

Historia tego chłopaka rzuciła cień na dostatni świat, w którym od tylu już lat się obracałam. Sprawy materialne, niegdyś dla mnie ważne, nagle, po wysłuchaniu opowieści osiemnastolatka o jego zmaganiach, wydały mi się strasznie trywialne. Uświadomiłam sobie, że w życiu tak naprawdę chodzi o to, by być kochanym i czuć się bezpiecznie.

Wiatr natarł na mnie silnym podmuchem. Zapałam się, gotowa na ten atak, równocześnie licząc, że przegna mój nastrój, dzięki czemu spokojnie zasnę.

Wyglądało na to, że zrobiłam na Jaredzie nie mniejsze wrażenie niż on na mnie. Tydzień później znów pojawił się w moim gabinecie, ale tym razem z pewnym wyznaniem.

– Tak naprawdę to nic mi nie dolega, proszę pani – powiedział.

Zaskoczona, podniosłam wzrok, zastanawiając się, po co chciał się ze mną zobaczyć.

– W takim razie jak mogę ci pomóc?

Wsunął rękę do kieszeni dresu. Usłyszałam szelest, gdy wyciągał stamtąd wymiętą białą kartkę. Zobaczyłam jakieś zapiski, biegnące we wszystkich kierunkach.

– Zrobiłem tak, jak pani powiedziała: zapisywałem swoje myśli.

Zapisałem się na wizytę, żeby je pani pokazać.

Wyznając to, Jared się zarumienił.

– Och, to cudownie – zawołałam. Byłam przejęta, że skorzystał z mojej rady, i poruszona, że poczuł potrzebę pokazania mi swoich dokonań. – Z chęcią to przeczytam.

Jared wychylił się do mnie, ściskając ten papier, jeśli się nie myliłam, z dumą. Spodziewałam się chyba, że zapoznam się z zapisem chaotycznych myśli. Z wynurzeniami zagubionego nastolatka, pragnącego przed snem oczyścić swój umysł. Jednakże czytanie w milczeniu tych wersów i tego, co kryło się między nimi, poruszyło mnie do łez. Jared napisał przepiękny wiersz o swoim dzieciństwie. Ten wiersz był smutny. Przejmujący. Miał w sobie coś tragicznego. Do tego wszystkiego był bardzo dobrze napisany.

Znalazło się w nim kilka literówek, a pismo skakało na wszystkie strony, ale Jared niewątpliwie miał talent; dar wyrażania siebie.

– To jest piękne – powiedziałam, ocierając łzy palcem.

Jared wpatrywał się we mnie, jak sędzę – w niedowierzaniu, że to, co napisał, wywarło na mnie takie wrażenie.

A ja pierwszy raz złamałam jedną z więziennych reguł: uściskałam go!

Po prostu owładnęło mną pragnienie pokazania temu chłopakowi, że komuś na nim zależy. Że nie jest sam. Chciałam zachęcić go, by kontynuował twórczość. Wiedziałam, jak okropnie to dla niego ważne, że poświęciłam czas na przeczytanie jego zapisków, podobnie jak świadomość, że w niego wierzę – być może jako pierwsza w jego życiu.

Przypuszczam też, że bardzo dawno nikt go nie przytulał.

– Cieszę się, że się pani podobało. Napiszę następny wiersz i też pani pokażę – oświadczył pełen entuzjazmu. W jego wielkich oczach iskrzyła się ekscytacja.

Jared wyraźnie chciał zmienić się na lepsze, a ja instynktownie pragnęłam mu pomóc. Już się nie mogłam doczekać dalszego ciągu.

Miałam przyjemność przeczytać jeszcze dwa wiersze Jareda. Opisywał to, skąd brały się jego kłopoty ze snem. Przywoływały wspomnienia nękające go po nocach. A równie satysfakcjonujące, jak oglądanie jego starań było słuchanie o tym, że pisanie trochę ułatwia mu zasypianie. Widziałam, że nieco męczy się z doborem słów, więc matka we mnie zapragnęła mu w tym pomóc.

I któregoś popołudnia, po pracy, zajechałam pod księgarnię sieci WHSmith. Wiedziałam dokładnie, czego szukam: słownika uwzględniającego też synonimy.

Po powrocie do domu pokazałam go Davidowi.

– Chcę po prostu dać chłopakowi coś, co pomoże mu w pisaniu. Widzę, że chce się uczyć. I wiem, że to drobiazg, ale od drobnych zmian wszystko się zaczyna. Jeśli Jared uwierzy, że jest w czymś dobry, być może zyska tyle pewności siebie, by zrobić coś ze swoim życiem.

W naszym małżeństwie zawsze to David był spokojną, konsekwentną i racjonalną stroną, podczas gdy mną znacznie częściej kierowały zapał i emocje. Dzięki temu dobrze się równowazyliśmy.

– Tylko pamiętaj, że to chłopcy z problemami – zauważył. – Nie rozczaruj się za bardzo, jeśli nie dostrzeżesz zmian, na które liczysz.

Mocno objęłam go w pasie.

– A to za co? – zdziwił się, też biorąc mnie w ramiona.

Posłałam mu uśmiech i się w niego wtuliłam.

– Choćby za to, że umiesz mnie wysłuchać i jesteś cudowny. A martwić się nie musisz. Nie rozczaruję się. Nawet jeśli Jared raz zajrzy do tej książki, gra będzie warta świeczki.

Następnego ranka zbliżałam się do okazałych murów więzienia szybkim, radosnym krokiem. Wiedziałam, że Jareda zaledwie tygodnie dzieli od przeniesienia do kolejnego zakładu karnego. Cieszyłam się na samą myśl, że będzie miał czym się zająć, gdy w nowej celi najdą go trudności z zaśnięciem.

Przyciskając do piersi pokaźne tomiszczce, czekałam na otwarcie grubej metalowej bramy. Serce waliło mi z podniecenia, bo już wyobrażałam sobie minę Jareda w chwili, gdy mu wręczę słownik.

– Dzień dobry, pani doktor – powiedział Joey, jeden ze strażników, chowający właśnie torbę w swojej szafce.

Na mojej twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

– Oto człowiek, którego było mi trzeba!

– Oho, coś przeskrobałem? – Joey puścił do mnie oko.

Był z niego kawał chłopca. Biała koszula ciasno opinała brzuch i rozchodziła się przy guzikach, ukazując owłosienie na skórze.

Zapytałam go, czy przekazałby prezent ode mnie jednemu z chłopców na swoim bloku, Jaredowi Keane'owi.

– Keane'owi?! – powtórzył. – Temu koleśowi, co za parę tygodni się wyprowadza?

Pokazałam mu książkę, cała uśmiechnięta.

Joey zamrugał parę razy, bo słów mu zabrakło.

– Wiem, że jak na prezent to niezbyt imponujące – zaśmiałam się.

Joey wciąż gapił się na słownik, a potem westchnął głęboko, przesuwając dłońmi po głowie tam i z powrotem.

– Nie wiem, jak pani to powiedzieć, pani doktor, ale nie mogę dać mu tej książki. To wbrew przepisom.

Przybita wpatrywałam się w Joeya.

– Ale... czemu?

Wyjaśnił mi, że podarowanie Jaredowi prezentu może zostać uznane za warunkowanie, pod którym to terminem kryło się korumpowanie członków personelu przez osadzonych i nakłanianie ich do przemykania na teren zakładu rozmaitych rzeczy, w tym narkotyków i innych dóbr zakazanych, choćby telefonów. Mój prezent mógł zostać uznany za potencjalny wstęp do poważniejszej kontrabandy.

Oburzyłam się.

– Na litość boską! To tylko książka.

– Przepisy to przepisy, pani doktor. – Joey wzruszył ramionami. – Żeby ją dostać, musi poczekać, aż go wypuszczą.

– Z następnego więzienia?

– Obawiam się, że tak.

Byłam ogromnie rozczarowana. Czułam się, jakby uszło ze mnie powietrze. Ta książka pozostanie nieotwarta wśród rzeczy Jareda przez następne trzy lata. A ja chciałam, żeby wiedział, że w niego wierzę i się o niego troszczę. Musiałam zaakceptować regulamin zakładu karnego, choć mocno mnie przygnębił. Pragnęłam pomóc temu chłopakowi, czasem jednak nie da się tego zrobić dla ludzi w więzieniu.

Aresztowanie słownika wydobyło na jaw jeszcze jeden problem – usilne powstrzymywanie się od zbytniego zaangażowania. Inaczej niż w mojej poprzedniej praktyce, gdzie całymi latami, dzień w dzień, oglądałam te same twarze i mogłam śledzić postępy leczenia, by wiedzieć, co się z tymi ludźmi dzieje, tu musiałam się żegnać z nastolatkami, nie mając pojęcia, jak dalej układa się ich życie.

Wiedza, czy pomogłam ludziom, miała dla mnie ogromne znaczenie. Jako więzienny lekarz często nie miałam do niej dostępu.

Jareda nie potrafiłam zapomnieć. O nim i o wyborach, których być może dokonywał, myślałam przy każdej kolejnej z moich regularnych sesji przyjęć w Huntercombe.

Czy nadal pisał wiersze?

Czy udawało mu się spokojnie przesympać noce?

Ciągnęłam dalej swoją zwykłą pracę, a także zaangażowałam się w zainicjowane przez Primary Care Trust^[1] usprawnianie funkcjonowania opieki paliatywnej.

Pewnego dnia ogłoszono, że nasz zakład karny zostanie zamknięty. Jeśli wierzyć plotkom, niewykluczone było, że otworzą go ponownie jako więzienie kategorii C dla osób dorosłych, ale nie dostaliśmy potwierdzenia tych pogłosek, więc mój czas tam również się kończył.

Uświadomiłam sobie zresztą, że łaknę większego wyzwania. Zapraǳęłam głębiej zapuścić korzenie w więziennictwie, jak najlepiej wykorzystując narzucone mi ograniczenia. Chciałam się przekonać, czy uda mi się wywrzeć większy wpływ na ludzi, z którymi będę miała do czynienia. Jak sądzę, wciąż jeszcze szukałam sobie celu.

Tak oto, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat (które uprawniały mnie do cowieczornego zwijania się w kłębek na sofie z kieliszkiem wina i dobrą książką), zaczęłam się ubiegać o posadę lekarza w jednym z najstarszych i najbardziej osławionych angielskich więzień.

[1] Fundusz Opieki Podstawowej (ang.). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

CZĘŚĆ DRUGA

SCRUBS

2009–2016

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Za moimi drzwiami przebiegł z hukiem tabun strażników więziennych. Ich krótkofalówki wrzeszczały: – Kod niebieski na bloku A.

Gdy ogłaszano kod niebieski, ruszali wszyscy: pielęgniarki, strażnicy, lekarze – poprzez kolejne piętra gnał wtedy sznur ludzi.

Na wypadek, gdybym nie usłyszała – choć trudno byłoby przeoczyć taki zgiełk – do moich drzwi załomotała siostra Sylvie.

– Pani doktor, kod niebieski.

Chwyciłam torbę, do saszetki na klucze wepchnęłam parę rękawiczek chirurgicznych i włączyłam się w strumień personelu płynący na blok A.

Minęło już parę tygodni, a ja nadal usiłowałam się odnaleźć w Wormwood Scrubs, olbrzymim wiktoriańskim więzieniu dla mężczyzn, szerzej znanym jako Scrubs i złożonym z pięciu bloków, od A do E, zajmujących cztery piętra w zachodniej części Londynu. Wychodziłam też z gwałtownego szoku, spowodowanego przejściem ze względnie spokojnego zakładu i zajmowania się nastolatkami uskarżającymi się na niezbyt poważne dolegliwości do uganiania się po blokach przestronnej budowli, mieszczącej wielu bardzo groźnych przestępców.

Ogrom tej tętniącej życiem placówki i panujący w niej hałas wydawały mi się oszałamiające. Kod niebieski ogłaszano w najpoważniejszych

sytuacjach, częstokroć zagrożenia życia, choćby w razie próby samobójczej.

Ruszyłam za pędzącym tabunem. Mijaliśmy gabinety wśród trzasków dobiegających z coraz to nowych krótkofalówek, a pielęgniarek i strażników dołączających do naszej kolumny wciąż przybywało.

– Do wszystkich wartowni: wychodzić, wychodzić. Kod niebieski na bloku A.

Nie sądzę, by ktokolwiek z nas miał pojęcie, czego się spodziewać u kresu tej wędrówki.

Sylvie obejrzała się, sprawdzając, czy za nią nadążam.

Zdążyłam się już oswoić z podwójnymi bramkami, które trzeba było otwierać i zamykać, żeby się przedostać pomiędzy strefami więzienia.

Dojście do bloku A wymagało pokonania czterech takich przejść. Na szczęście, żeby wszystko przyspieszyć, osoba idąca na przodzie przytrzymywała bramki następnej w kolumnie.

Brzęk! Odgłos zatraskiwania się bramek doleciał do mnie, gdy wchodziłam na drugie piętro olbrzymiego pięciokondygnacyjnego bloku.

W powietrzu unosił się jeszcze odór potu więźniów przechodzących tymi korytarzami parę minut wcześniej. Trwał czas wspólny – pora, gdy więźniów wypuszcza się z cel, by mogli pobyć razem na bloku. Ze względu na kod niebieski musieli wcześniej wrócić do siebie i nie byli z tego powodu szczęśliwi. Setki pięści waliły w metalowe drzwi, łoskot niósł się po czterech piętrach.

Z całą kolumną ludzi przemierzałam więc korytarz, unikając spojrzeń więźniów łypiących przez wizjery w zielonych drzwiach cel.

– Ej, wypuście nas!

– Bardzo, kurwa, śmieszne – krzyknął ktoś z przeciwnej strony bloku.

Maszerowałam dalej, przy wtórze łomotu ich pięści, czując, jak wwierca się we mnie ich wzrok.

Niski głos, ochrypły od papierosów, rzucił: – Podobasz mi się, doktoro.

– Milczeć! – warknął idący za mną strażnik, dla wzmocnienia efektu uderzając w drzwi. Ja byłam już dziesięć kroków dalej, skupiona na tłumku stojącym przed celą. Jawna zgroza malująca się na ich twarzach powiedziała mi, że zobaczę coś naprawdę wstrząsającego.

Przepchnęłam się przez nich ku czemuś, co dało się nazwać jedynie krwawą jatką. Bo krew była wszędzie – obryzgała ściany oraz pościel. Na betonowej posadzce wił się w jej kałuży młody człowiek, z gardłem przeorany potężnym cięciem. Na szczęście był tam już bardzo kompetentny młody lekarz imieniem Mark próbujący właśnie powstrzymać krwotok. Gdy rozległ się alarm, pracował w pobliżu, w dyżurce. Karetka była już w drodze.

Mark na kolanach nachylał się nad tamtym człowiekiem, a krew tryskała na jego białą koszulę, gdy obiema dłońmi zaciskał ziejącą ranę.

Czego więzień użył, by tak się okaleczyć? Przemyconego noża lub żyłki?

Na tę chwilę nie miało to większego znaczenia.

Naciągnęłam rękawiczki chirurgiczne i przykucnęłam naprzeciw Marka. Teraz oboje opasywaliśmy dłońmi szyję więźnia, rozpaczliwie pragnąc, żeby nasz nacisk powstrzymał krwawienie, a jednocześnie, jako że musieliśmy napierać na grdykę, żeby nie był tak mocny, by spowodować uduszenie.

Na domiar złego ranny wciąż skręcał się i obracał, wyrzucając z siebie słowa w języku, który nie bardzo rozpoznawałam.

– Myślę, że to Hiszpan – powiedział Mark. – I wcale nie zna angielskiego.

Więzień znów zaczął się wić. Moje ręce ześlizgiwały się z jego szyi.

– Cholera, nie może go ktoś przytrzymać! – zawołałam.

Cela była i tak za mała dla naszej trójki. Dwóch strażników, stojących w drzwiach, złapało go za nogi, starając się je unieruchomić.

Kałuża krwi z każdą chwilą robiła się coraz większa, rozlewała się po podłodze, ściekała pod moimi butami ku ścianom. Mimo tej ilości więzień jednak nie trafił w tętnicę – inaczej już by nie żył.

Nagle przestał się przed nami bronić, twarz mu zbieleła, oczy wywróciły się białkami do góry.

– Gdzie ta karetka? – wrzasnął Mark.

Zdawało się, że na przybycie ratowników czekamy wieki. Przez to, że jego życie dosłownie przeciekało nam przez palce, minuty wlekły się niemożliwie, a my oboje mogliśmy się tylko zastanawiać, czy przyjdzie mu umrzeć w tej okropnej celce.

Nadal napierałam na ranę. Przypominała surowe mięso. Krew pieniała się pod moimi palcami i ściekała na długie ciemne włosy mężczyzny, sklejjając je w strąki. Miał około dwudziestu pięciu lat. Tragiczne było, że próbował skończyć z życiem, którego poznał tak mało. Nie znałam nawet jego imienia.

Jedyne, co mogłam zrobić, to mówić do niego, próbować dodać mu otuchy.

– Będzie dobrze, zaopiekujemy się tobą – powiedziałam, nadal usiłując tamować krwawienie. Nie sądzę, by rozumiał, co mówię, ale miałam nadzieję, że ton mojego głosu go ukoi.

Niespodziewanie odzyskał werwę i ponownie zaczął się miotać. Jakbyśmy próbowali łapać oślizłą żabę – tyle że wszędzie było mnóstwo krwi.

– Czy ktoś mógłby go wreszcie przytrzymać? – zawołał Mark. Wiedział, że to niczyja wina, iż cela jest tak mała, ale czuliśmy presję, a utrzymywanie tego młodego człowieka przy życiu kosztowało nas niesamowicie wiele.

– Przejście przez korytarz, nosze idą!

Nareszcie! Przybyła pomoc, a mnie ogarnęła ulga. Toczyliśmy bój o życie tego człowieka. Ciężar tego zadania, ta presja... Świadomość, że zaraz zdejmą z nas tę odpowiedzialność specjaliści mający wystarczająco wiele miejsca i udogodnień, by łatwiej zmierzyć się z brzemieniem, podziałała odprężająco.

Ludzie tłoczący się przed celą rozstępowali się, robiąc przejście ratownikom, którzy musieli uważać, żeby się nie ślizgać na zalewającej podłogę krwi.

Gdy przygotowywali się do przeniesienia rannego na nosze, ten znów całkowicie znieruchomiał. Głowa przetoczyła się na bok, oczy otwierały się, zamykały i znów otwierały... a za każdym razem powieki opadały na dłużej. Odpływał. Ratownicy odliczali przed podniesieniem go na nosze.

– Raz, dwa, trzy! – Dźwignęli więźnia, podczas gdy ja nadal uciskałam ranę.

Kiedy myślałam, że jednak umarł, podniósł powieki. Spojrzał mi prosto w oczy, wbił się w nie nadzwyczaj intensywnym spojrzeniem. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to: *Biedaku, ostatnim, co widzisz na tej ziemi, jestem ja!*

On najwyraźniej był innego zdania, bo znów się zaczął szarpać jak dzikie zwierzę usidłone w klatce. Nie byłam pewna, czy walczy o życie, czy próbuje nas powstrzymać od udzielania mu pomocy. Przytrzymaliśmy go, a ratownicy zapięli pasy na jego rękach i nogach.

Chciało mi się krzyknąć: „Tak ciężko walczyliśmy o twoje życie, a ty się każdym ruchem zabijasz. Leż spokojnie!”. Musiałam jednak siebie upomnieć: jemu przecież wyraźnie zależało na tym, żeby umrzeć. Odprawiałam wzrokiem ratowników niosących go w głąb korytarza, życząc mu jak najlepiej. Teraz oni uciskali ranę, starając się jak najszybciej dowieźć go do szpitala. Cięcie było zbyt głębokie i za rozległe, by szybko je załatać. Niemal na pewno będzie potrzebował transfuzji krwi, o ile przeżyje podróż.

Chociaż łomot wywoływany przez więźniów był głośniejszy niż zwykle, w celi i pod nią zapanowała śmiertelna cisza. Wszyscy popatrywaliśmy na siebie oszołomieni.

W końcu odezwał się Mark, cicho dziękując wszystkim za kawał możliwie najlepszej roboty. Zebranych łączyło to samo poczucie wszechogarniającej ulgi, że udało nam się utrzymać tego młodego człowieka przy życiu.

Potem nadeszła pora na zadawanie pytań: kim był, od jak dawna przebywał w więzieniu, co o nim wiadomo? Czy założono mu rejestr ACCT, czy to targnięcie się na własne życie było całkiem niespodziewane? Nikt nie znał odpowiedzi. Mężczyzna przebywał w Scrubs dopiero kilka dni. Nie wymagał wizyty u lekarza i, o ile wiedział nasz personel, był cudzoziemcem oczekującym wyroku w procesie o włamanie.

Jego współtowarzysz z celi, który podniósł alarm, wyglądał na równie wstrząśniętego jak my wszyscy. Był to półkrwi Azjata, z kocią bródką i ogoloną głową. On też musiał przebywać w areszcie, bo nosił swoje ubranie, a nie szare więzienne dresy obowiązujące skazanych. W Scrubs ponad sześćdziesiąt procent więźniów stanowili aresztanci – czekający na orzeczenie, ile czasu przyjdzie im spędzić za kratkami. Ten mówił wyraźnym cockneyem.

– Łąduję tutaj już od lat. Siedemnastkę miałem, jak zaczęli mnie zamykać, ale czegoś takiego nie widziałem nigdy w całym swoim życiu – powiedział, z niedowierzaniem przyglądając się krwi.

– Wyglądał na zrozpaczonego lub pobudzonego? – zapytałam. Wciąż jeszcze nie mieściło mi się w głowie, że ktoś mógłby tak nagle poderżnąć sobie gardło.

Współtowarzysz rannego kopnął w ścianę ze wzruszeniem ramion.

– Nie, cichy był, wszystko trzymał w sobie, nie sprawiał żadnych problemów. Ale i tak bym nie wiedział, bo nie kumałem, co gada. – Chrapliwie zakaszłał. – To kto to wszystko posprząta? Bo ja się tej krwi nie tykam.

Zajrzał do nas jeden ze strażników.

– Dobra, dobra, pani doktor nie ma czasu tego wysłuchiwać – oznajmił i wyprowadził go na korytarz.

Kiedy wszyscy się rozchodzili, zapytałam Sylvie, czy nie poszłybyśmy do toalety. Dopóki nie miałam własnych kluczy, wciąż byłam wszędzie pilotowana, co oznaczało też, że gdy chciałam skorzystać z łazienki, ktoś musiał mi ją otwierać. Wróciłyśmy w milczeniu na blok medyczny, wciąż rozpamiętując to, co się wydarzyło. Skorzystać z toalety właściwie nie musiałam, ale odczuwałam przemożną potrzebę umycia rąk. Chociaż miałam na dłoniach lateksowe rękawiczki ochronne, nadal wyobrażałam sobie krew na moich palcach, miałam w pamięci jej ciepło i lepkość, gdy zaczynała krzepnąć.

W łazience musiałam spędzić dłuższą chwilę, bo Sylvie zawołała: – Wszystko w porządku, pani doktor?

Zapałam w coś w rodzaju transu. Pozwalałam zimnej wodzie spływać mi po dłoniach i patrzyłam, jak wiruje, znikając w brudnym odpływie. Wróciłam myślą do krwi bryzgającej z poderżniętego gardła.

Wciąż znajdowałam się miliony kilometrów stamtąd, usiłując zrozumieć wydarzenie sprzed chwili, gdy Sylvie ponownie zawołała.

– Pani doktor?

– Już wychodzę – odpowiedziałam.

Przyjrzałam się swojemu odbiciu w lustrze. Byłam niemal tak samo upiornie blada jak ten aresztant, który podciął sobie gardło. Bluzkę miałam umazaną krwią. Na twarzy jej bryzgi! Z pasją tarłam palcem plamki na policzku.

Sylvie wetknęła nos w drzwi.

– Pani doktor?

Wzięłam głęboki oddech.

– Tak, przepraszam, musiałam się trochę doprowadzić do porządku. Już jestem gotowa.

Sylvie powiedziała, że wszyscy, którzy mieli do czynienia z tą próbą samobójczą, muszą się stawić na odprawie w biurze naczelnika.

– To standardowa procedura po poważniejszych zdarzeniach – wyjaśniła.

Jeszcze nie miałam okazji poznać naczelnika numer jeden. Tak dużym więzieniem zarządzał więcej niż jeden – łatwo ich było zauważyć pośród umundurowanych strażników, bo ubierali się po cywilnemu.

Ostatni raz przejrzałam się w lustrze, przejechałam dłońmi po swoich krótko ściętych włosach, ponownie głęboko odetchnęłam i oświadczyłam:

– Chodźmy!

Poszliśmy na blok administracyjny, do wielkiej sali konferencyjnej, w której już czekał naczelnik. Niedługo potem wszyscy się zeszli i zasiedliśmy wokół wielkiego stołu.

Naczelnik podziękował zebranych za podjęte działania i zapytał, czy ktoś ma jakieś zastrzeżenia lub chce skomentować sposób reakcji na to zdarzenie.

Potem powiedział, że jeśli ktoś czuje, że trudno mu dojść do siebie po tym, co widział, może pójść do domu wcześniej.

Nikt nie skorzystał z tej oferty. Dzień, w którym na traumatyczne przeżycie odpowiedzielibyśmy wyjściem z pracy... cóż, byłby naszym ostatnim na tej posadzie.

Normalnie w drodze do domu słuchałam radia, ale tym razem nie chciałam, by jakiś hałas zakłócał moje myśli. Zamiast tego wtopiłam się całym ciałem w siedzenie w samochodzie, rozluźniając mięśnie. Myślałam jedynie o powrocie, wepchnięciu ciuchów do pralki i wskoczeniu pod prysznic.

Niebo poszarzało. Na szybie rozpryskiwała się mżawka. Zastanawiałam się, czy tamten młody człowiek przeżyje. Z ostatnich wieści, jakie usłyszałam od pielęgniarek, dowiedziałam się, że zabierają go do miejskiego szpitala St Mary's i że jego stan, choć stabilny, jest krytyczny.

To, że wciąż żył, zakrawało na cud.

Nie mogłam nie pomyśleć o Jonathanie. O tym, jak przed laty nakłoniłam go, by nie podrzynał sobie gardła. Wstrząsnęła mną wtedy groza tego, z czym musiałabym się zmierzyć, gdyby się na to zdobył. Teraz, wiele lat później, ktoś inny rzeczywiście targnął się na swoje życie, a ja znalazłam się na miejscu, żeby mu pomóc.

Miałam okropne wrażenie, że to nie był ostatni raz. Z wyboru weszłam przecież w świat, w którym brutalność to styl życia.

Możliwe, że ten młody człowiek wcale nie chciał się zabić. Może po prostu czuł się tak zrozpaczony i przygnieciony pobytem w więzieniu, że nie widział innego wyjścia. Miałam nadzieję i modliłam się, żeby tak było, że wspólnym wysiłkiem uchroniliśmy go przed skutkiem nieodwracalnej, śmiertelnej decyzji.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Znowu to zrobiłam. Obudziłam się kilka sekund przed budzikiem, nastawionym na czwartą trzydzieści, ale nie na tyle wcześnie, żeby zdążyć go wyłączyć.

David przywitał ten hałas jękiem i przewrócił się na drugi bok. Wyśliznęłam się z łóżka i podreptałam do łazienki. Na zewnątrz ptaki już się obudziły – ćwierkały, wypatrując letniego wschodu słońca, który miał nastąpić za jakąś godzinę. Mnie trudno było wykrzesać z siebie tyle entuzjazmu o tak wczesnej porze. Potrzebowałam orzeźwiającego prysznicza, który mnie pchnie w nadchodzący dzień. Zrywałam się o świcie, żeby przy wjeździe do Londynu uniknąć korków.

Na parking Scrubs wjechałam za piętnaście siódma, a więc mniej więcej o tej samej porze, gdy pracę kończyli strażnicy i pielęgniarki z nocnej zmiany.

W drodze do wejścia zaczynałam już rozpoznawać te same zmęczone twarze ludzi dzień w dzień zmierzających do swoich samochodów. W całej Wielkiej Brytanii prawdopodobnie nie ma bramy więziennej rozpoznawalnej bardziej niż ta w Wormwood Scrubs, z kultowymi wieżyczkami z cegły i białego kamienia oraz wielkimi drewnianymi wrotami. Skazańcy zbudowali to więzienie pomiędzy rokiem 1874 a 1891

tuż obok zwanej właśnie Wormwood Scrubs niemal siedemdziesięć siedmio hektarowej połaci wolnego terenu w Shepherds Bush w zachodniej części Londynu. W tamtych czasach było postrzegane jako wybitnie postępowe. Jako pierwsze zostało zbudowane na planie „słupa telegraficznego”, w którym bloki więzienne usytuowano równolegle, na osi północ-południe, żeby każdej z cel zapewnić dostęp światła słonecznego. Zaprojektowano je z myślą o umożliwieniu maksymalnie swobodnego obiegu powietrza, co zminimalizowało rozprzestrzenianie się chorób zakaźnych. „Układ słupa telegraficznego” posłużył za wzorzec przy budowie kolejnych angielskich więzień, choćby w Bristolu i Norwich, dość wiernie skopiowano go też we Fresnes, podczas budowy drugiego co do wielkości zakładu karnego we Francji, a także przy więzieniach w Stanach Zjednoczonych. Podczas drugiej wojny światowej więźniów ewakuowano, a cele posłużyły za siedziby placówek rządowych, w tym wywiadu wojskowego MI5.

Dzisiaj Scrubs to więzienie kategorii B, mieszczące na pięciu bokach tysiąc dwustu siedemdziesięciu dziewięciu osadzonych mężczyzn w wieku powyżej osiemnastu lat. Sporadycznie jego status jest podnoszony do kategorii A, jeśli akurat przebywa w nim, oczekując na przeniesienie, ktoś wyjątkowo niebezpieczny. Istnieją cztery kategorie więzień; od kategorii A, o najwyższym stopniu zabezpieczeń, po D, które jest więzieniem otwartym.

Osadzeni mogą z niego wychodzić w ciągu dnia do pracy na zewnątrz, a czasem też spędzają weekendy w domu.

Przez te lata za wysokim ceglany murem Scrubs trzymano i seryjnych zabójców, i celebrytów. Do najślawniejszych należał najagresywniejszy więzień Anglii, Charles Bronson, którego przeniesiono do innego zakładu karnego po próbie uduszenia naczelnika. Morderca z wrzosowisk, Ian Brady, w latach siedemdziesiątych pracował tu jako fryzjer, strzygąc innych

osadzonych i personel. Na krótko zamknięto tu też gitarzystę Rolling Stones, Keitha Richardsa, pod zarzutami związanymi z narkotykami. Karę za zabicie w Niemczech taksówkarza w 1966 roku odbywał tu Leslie Grantham, gwiazdor serialu *EastEnders*, lepiej znany jako Dirty Den. A tuż przed moim pojawieniem się w Scrubs czternaście tygodni za złamanie zasad zwolnienia warunkowego odsiadywał tu wokalista Babyshambles, Pete Doherty.

Liczyłam się z tym, że podczas praktyki w Scrubs mogę się zetknąć z więźniem wyższej kategorii, ale naprawdę nie sądziłam, iż wyda mi się bardziej lub mniej interesujący od fascynujących ludzi, z którymi miałam do czynienia na co dzień.

Każdy kamień przesiąknięty był tu historią tej placówki. Niemal wyobrażałam sobie duchy więźniów, sunące długimi korytarzami, pnące się po rozpadających się schodach lub czające się wokół kościółka tuż za blokiem B.

Weszłam przez wartownię w obręb więziennych murów. Droga na blok B przypominała wysypisko śmieci – alejkę zaścielało jedzenie, ubrania, buty, wszystko, co osadzonym udawało się wypchnąć przez małe lufciki w oknach cel. Przypuszczałam, że robili to po to, by zaleźć za skórę strażnikom, chociaż w rzeczywistości to inni więźniowie – nazywani czerwonymi opaskami, bo uznawano ich za godniejszych zaufania i cieszyli się szerszymi uprawnieniami, w rodzaju nieosiągalnych dla innych więźniów obowiązków czy dostępu do stref takich jak rozległe otwarte tereny pomiędzy blokami a bramą więzienia – musieli sprzątać ten bałagan.

Przeszłam nad porcją paskudnie wyglądającego jedzenia, przeszkadzając szczurowi posilającemu się starą bagietką. Odbiegł o pół metra, a potem zajął się chrupaniem czegoś innego, z rozkoszy marszcząc nos. Moją

obecnością w najmniejszym stopniu się nie przejął; ot, kolejny irytujący osobnik rasy ludzkiej wszedł w paradę ważnym szczerzym interesom.

To, że Scrubs nękała plaga szczerów i karaluchów, nie było żadną tajemnicą, mimo to przeżyłam lekki szok, gdy pierwszy raz zobaczyłam te szkodniki na własne oczy. Trudno się było jednak dziwić, że stara budowla o wiekowych rurach i kanalizacji, do tego obsypana zalegającymi wszędzie śmieciami, stała się dla nich gratką. Zastanawiałam się, jak więźniowie, leżąc w nocy na pryczach, znoszą bieganię zwierząt w ciemności.

Było jeszcze wcześniej, ale temperatura już się podnosiła. O smrodzie wewnątrz lepiej było nie myśleć – sam pot i rozgotowane żarcie.

Najpierw sen. Wypracowałam sobie sympatyczny schemat dnia, w którym po przejściu o siódmej rano przez wartownię miałam jeszcze czas na drzemkę, bo pracę zaczynałam o dziewiątej. Taki sen to podstawa, bo rzadko kiedy kończyłam przed dwudziestą drugą. Idealne miejsce na spanie znalazłam w jednym z pokoików ośrodka Seacole, zajmującego się zdrowiem psychicznym, pomiędzy pokojem lekarskim a blokiem A. Do czasu rozpoczęcia sesji, a więc mniej więcej do dziewiątej trzydzieści, było tam całkiem pusto.

Podniosłam ręce i ściągnęłam z góry jednej z szaf przechowywaną tam przeze mnie wielką czarną torbę. Mieściło się w niej wszystko, czego potrzebowałam do idealnej drzemki: śpiwór i podgłówek, którego używałam podczas długich lotów. Zsunęłam trzy krzesła tak, by tworzyły prowizoryczne łóżko. Lepiej było nie przyglądać się z bliska niebieskim obiciom na siedzeniach i oparciach, a jak najszybciej rozwinąć śpiwór, żeby nie widzieć tłustych plam. Wtuliłam się w swój przytulny kokonik i momentalnie usnęłam.

Budzik rozdzwonił się drugi raz tego ranka. Wyczołgałam się ze śpiwora, ziewnęłam, przeciągnęłam się i ponownie wsunęłam stopy w pantofle,

gotowa na długi dzień przede mną. W porównaniu ze Scrubs więzienie dla chłopców było jak kolonie letnie. W mojej nowej roli lekarza dyżurnego otrzymywałam wezwania do każdego z zakątków więzienia i dowolnego medycznego kryzysu. Praca przebiegała pod presją czasu, ale była urozmaicona.

W Huntercombe nigdy nie odwiedzałam cel ani bloków, a pacjentów widywałam tylko w gabinecie na bloku medycznym. W Scrubs chodziłam wszędzie. Stanowiło to o wiele większe wyzwanie, znacznie mocniej wyczerpywało, ale bardzo podnosiło na duchu.

W Scrubs można było albo utrzymać się na powierzchni, albo utonąć. Po miesiącu na tej posadzie moje krótkie drzemki ułatwiały mi pływanie, podobnie jak kochany personel, który powitał mnie w tym więzieniu. Coraz lepiej poznawałam Sylvie, zwłaszcza że nadal eskortowała mnie w wędrówkach po więzieniu, jako że wciąż czekałam na przeszkolenie przez ochronę w zakresie używania kluczy.

Przy herbatce w maleńkiej wspólnej kuchni Sylvie podzieliła się kilkoma plotkami.

– Jedna z pielęgniarek właśnie wróciła z kilkumiesięcznego urlopu okolicznościowego – powiedziała, rozglądając się na boki, czy nikt nas nie podsłuchuje. – Jeden z więźniów wziął ją za zakładnika.

Odebrało mi mowę. Gdzie? Kiedy? Jak?

– Wszystkich szczegółów nie znam – ciągnęła Sylvie. – Tyle tylko, że przetrzymywał ją przez długi czas w jednej z sal zabiegowych.

– Skrzywdził ją? – zapytałam.

– Na szczęście nie. – Sylvie podmuchała na herbatę, żeby ją ostudzić. – W każdym razie nie fizycznie, ale możesz sobie wyobrazić, jak to zniosła jej psychika.

– Nic dziwnego, że wzięła wolne – stwierdziłam. – Zaskakuje mnie, że wróciła!

– To miejsce już tak ma, pani doktor – odparła Sylvie, wzdychając. – Wrasta w człowieka. Dla personelu staje się drugim domem nie mniej niż dla więźniów.

W zakładzie karnym Huntercombe nigdy niczego takiego nie czułam, ale w Scrubs już zaczynałam to rozumieć, nawet jeśli pracowałam tu od niedawna. Intensywność pracy tak zbliżała ludzi, że stawali się jakby rodziną.

– A co się stało z typem, który ją więził?

Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna, prawdopodobnie spędził kawał czasu w izolatce i więcej niż pewne, że doliczyli mu czas do odsiadki.

Na oddziale izolacyjnym, bardziej znanym jako izol, więźniów trzymano pod kluczem przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. Kierowano ich tam z różnych powodów, czasami dla ich bezpieczeństwa, zwykle jednak za karę.

– A więc nie marzyła się pani praca w więzieniu dla kobiet? – zapytała Sylvie, zmieniając temat. – Nie rozważała pani Holloway?

– To okropne tak myśleć, ale... – umilkłam zakłopotana.

– Myślała pani, że mężczyzna będzie miał większe opory przed przyłaniem pani niż kobieta? – zapytała Sylvie.

Przytaknęłam, z lekka zawstydzona.

– Zrozumiała sprawa – powiedziała Sylvie. – Proszę nie mieć do siebie pretensji. Przecież musimy na siebie uważać, nie? A jeśli chce pani wiedzieć, jak jest w Holloway, naczelnik Frake może pani wszystko powiedzieć.

– Naczelnik Frake?

– Szefowa ochrony. Szesnaście lat spędziła w Holloway, kiedy wyroki odsiadywały tam Myra Hindley i Rosemary West. Ma co opowiadać.

Moim pierwszym zadaniem tego dnia był obchód izolatek. Potem miałam pójść do ośrodka pierwszego noclegu, obejrzyć więźniów, których przywieziono wieczorem, a których jeszcze nie odwiedził lekarz. Jednym z głównych zadań tego oddziału było przepisywanie leków, które brali oni przed pozbawieniem wolności. Niektórzy z więźniów bywali skłonni do wyolbrzymiania objawów, aby otrzymać konkretne lekarstwa, do mnie należało więc ich obiektywne przebadanie.

Gdy skończyłam badania w OPN, poproszono mnie, żebym obejrzała kogoś na bloku C.

Sylvie akurat pomagała innemu lekarzowi przy zabiegu, toteż popilotowanie mnie przez korytarze i piętra zaoferował jeden ze strażników więziennych.

Terry pracował w Scrubs od dziesięciu lat. Wydawał się poczciwcem. Jego poprzednia praca nie mogłaby bardziej odbiegać od obecnej: zajmował się wywoływaniem zdjęć. Wiele osób z personelu wiodło wcześniej całkiem inne życie. Jeden z naczelników pracował dla wielkiej sieci supermarketów, inny sprzedawał podwójne szyby.

Terry miał dwoje dzieci, oboje w szkole podstawowej, i nigdy nie mógł się doczekać, aż zacznie mi o nich opowiadać. Był postawny, łyśiał, uśmiezek miał głupkowaty, za to niebieskie oczy bystre.

Otworzył podwójną bramkę prowadzącą do bloku C.

– Pani przodem – powiedział z uśmiechem, zamykając za nami.

Mocniej niż zwykle czuło się ostry zapach potu. Był wtorek, dzień prania. Na podłodze wysoko piętrzyły się stosy brudnych skarpet, dresów i bokserek.

Idąc za Terryem, uważnie je przestępowałam.

Atmosfera aż wibrowała podekscytowaniem. Więźniowie, tłumnie korzystający z czasu wspólnego, wydawali się znacznie głośniejsi niż normalnie. Przez blok echem niósł się stukot kul bilardowych. Nad skrajem podestu widziałam grupkę facetów skupionych wokół stołu do snookera.

Z zapalem podpuszczali się wzajemnie, sypiąc przekleństwami jak z rękawa. Terry swoim wielkim czarnym butem odtrącił na bok stertę ubrań leżącą mu na drodze.

– Wszyscy są mocno podjarani. To Dzień Kantyny.

Dzień Kantyny był swoistym cotygodniowym świętem dla osadzonych, kiedy to personel kantyny dostarczał im zamówioną żywność, napoje i papierosy. Wszystkie zamówienia przywożono na wielkich niebieskich wózkach. Szybko oswoiłam się z ich widokiem i rumorem wywoływanym przez nie podczas przejazdów. Lista produktów do wyboru obejmowała chipsy, napoje gazowane, ciasteczka, czekoladę, zupki błyskawiczne i fajki.

Kantyna miała prywatnego właściciela i była niezależna od władz więzienia, a zakupy dostarczano wieczorami, gdy wszyscy więźniowie przebywali zamknięci w celach.

– Widywałem, jak bili się o batonik! – Terry parsknął śmiechem.

Potrafiłam to sobie wyobrazić. Nawet jedna sztuka cadbury dairy milk musiała wydawać się najcenniejszym skarbem, jeśli trzeba było czekać na nią cały tydzień. Podobnie jak rozmowa telefoniczna z przyjaciółmi i rodziną.

Więźniowie stali wzdłuż schodów, w kolejce do automatu telefonicznego, w coraz większym napięciu, bo niektórzy bali się, że czas wolny dobiegnie końca, zanim dotrą do aparatu. Gdy przeciskaliśmy się obok, czułam na sobie ich złe spojrzenia.

Terry obejrzał się przez ramię.

– Pani doktor, mogę coś doradzić? – zapytał. Czułam, że i tak to zrobi.

– Musi pani chodzić z większą pewnością siebie.

Wyprostowałam się.

– Niektórzy z nich będą chcieli panią ustawiać – ciągnął Terry. – Musi im pani pokazać, kto tu rządzi.

Ściągnęłam łopatki.

– Dzięki za podpowiedź – odparłam. Strach było myśleć, że tak bacznie mnie obserwują. Że ludzie szukają szczelin w mojej zbroi.

Zastygliśmy w pół kroku, bo nagle podniósł się potężny jazgot, wsparty jeszcze gwizdami, klaskaniem i okrzykami.

Jeden z więźniów rzucił się na siatkę rozpiętą między piętrami. Miała ona powstrzymywać ludzi od samobójczych skoków, ale ten facet hasał na niej jak na trampolinie, wymachując rękoma, napawając się uznaniem.

– Danny, Danny, Da-nny!

Cały blok przypadł do poręczy, skandując i wiwatując.

Danny świetnie się bawił, poruszając się w podskokach po okręgu jak triumfujący zwycięzca. Atmosferę jak na meczu piłkarskim przeciął gromki głos: – Złaź stamtąd, idioto! Natychmiast!

Na przeciwległym podeście stała z rękoma na biodrach kobieta o krótko ściętych ciemnych włosach, ubrana w coś, co przypominało czarny męski garnitur.

– To naczelnik Frake – powiedział Terry. Szefowa ochrony na całe więzienie, przypomniałam sobie słowa Sylvie.

Owacje i oklaski trwały nadal. Mimo to na twarzy naczelnik malował się zadziwiający spokój, jakby ani trochę nie przejęła się tym buntem i cały czas panowała nad sytuacją.

– Oto jak się traci popularność! – Terry wskazał głową Danny’ego.

– Co chcesz powiedzieć?

– Pani patrzy. – Terry uśmiechnął się ironicznie, założył ręce na piersi i oparł się o ścianę, jakby czekał na właściwe przedstawienie.

Syrena alarmowa niemal rozsadziła mi uszy, i chyba podobnie wpłynęła na entuzjazm więźniów.

– Weź się pierdol!

– Chyba sobie jaja robisz! – rozkrzyčili się osadzeni.

Jeden z facetów czekających w kolejce do telefonu walnął pięścią w ścianę.

Terry ruszył do akcji.

– Wracać do cel, chłopcy, no już.

Pozostali strażnicy z tego bloku robili to samo, zaganiając wkurzonych więźniów do ich zatłoczonych klitek.

– Ten dzban właśnie okradł ich z czasu wspólnego. Na jego miejscu szybciotko bym stamtąd zmiatał, inaczej jutro będzie łomot.

Ale do Danny’ego chyba nie dotarły jeszcze konsekwencje jego wyczynów. Nadal tańczył, choć orkiestra od dawna już nie przygrywała, zresztą ku rozbawieniu naczelnik Frake.

– Ja mam czas, kolego – huknęła. Z ręką na przycisku syreny czekała, aż tamten się podda. – Jak sobie chcesz.

Na bloku C rozbawienie ustąpiło miejsca oznakom nienawiści, gdyż nieustające wycie syreny doprowadzało już dopiero co pozamykanych więźniów do furii. Na znak protestu tłukli w drzwi cel, klęli i wrzeszczeli na Danny’ego, by zszedł z siatki.

A jemu zrzędła mina, pojął bowiem, że jego zwolennicy zmienili front. Zaczął się wycofywać. Terry już czekał, by złapać go za kark i wciągnąć za poręcz. Danny, cokolwiek ogłupiały, nie bez lęku patrzył na zbliżającą się naczelnik Frake.

– Co mam z nim zrobić, pani naczelnik? – zapytał swoją szefową Terry. – Zabrać na izol?

Kobieta zbliżała się do Danny'ego powoli, z dłońmi w kieszeniach spodni. Materiał jej przydużej marynarki wybrzuszył się na łokciach. Zatrzymała się o centymetry od jego twarzy i spojrzała mu prosto w oczy.

Spuścił wzrok, nerwowo czekając na jej wyrok.

– Nie, niech mu jutro urządzą koncert – warknęła. Potem odwróciła się i pomaszerowała w przeciwną stronę, po drodze wyłączając alarm.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ledwie odłożyłam torbę w pokoju lekarskim, a otrzymałam pilne wezwanie do nagłego przypadku na bloku D.

Wszyscy osadzeni przebywali pod kluczem, ale pod jedną z cel na parterze zgromadził się tłumek strażników.

– Nie jest dobrze, pani doktor – mruknął jeden, gdy ich mijalam.

Wzięłam głęboki oddech i weszłam do celi.

W półmroku, na zmiętej stercie łąchów na betonowej posadzce, leżał mężczyzna po siedemdziesiątce. Pomarszczone, żylaste ciało było całe we krwi i sińcach. W oczy rzucała się różnica w długości nóg; odniosłam wrażenie, że ma uszkodzoną kość udową. obrażenia wewnętrzne mogły być – i zapewne były – jeszcze poważniejsze, możliwe, że zagrażające życiu.

– Karetka już jest w drodze – oznajmił któryś ze strażników.

Starzec zakasłał gwałtownie. Z ust trysnęła mu krew.

Lekko dotknęłam jego ramienia.

– Proszę, nawet nie próbuj się ruszać – powiedziałam.

Skóra siniała mu od obrażeń. Cienkie siwe włosy kleiły się od potu i krwi. Zapytałam strażnika, czy wie, dlaczego ten człowiek został pobity.

– Odkryli, za co siedzi, pani doktor – odparł, patrząc na mnie porozumiewawczo. – To zbok.

Ten staruszek był więc pedofilem, tak jak przypuszczałam. Pewne zbrodnie i akty przemocy tak dalece nie mieszczą mi się w głowie, że aby działać, nie wolno mi dopuszczać do siebie myśli o nich. Nie mogłam widzieć w tym człowieku nikogo więcej niż starca, którego brutalnie pobito.

Musiał być przerażony, kiedy go dopadli, wepchnęli w kąć niewidoczny dla kamer bezpieczeństwa, całą grupą, przed którą raczej nie potrafiłby się obronić. Prawdopodobnie myślał, że ma umrzeć. Możliwe, że miał rację. Podałam mu środki przeciwbólowe i czekałam na przyjazd karetki.

– Cofnąć się – krzyknął jeden ze strażników. Wreszcie dotarli ratownicy.
– Musi pani iść, pani doktor – powiedział do mnie. – Jakaś panika na bloku B.

Nie miałam nawet czasu dopilnować zabrania starego człowieka. Zarzuciłam na ramię swoją torbę medyczną i wyszłam.

Było dopiero wczesne popołudnie, a ja już padałam z nóg. Od rana w zakładzie panowało zamieszanie. Masa więźniów pakowała się w konflikty, dochodziło do awantur, a poziom adrenaliny wzrastał.

Ściągnęłam rękawiczki chirurgiczne i rzuciłam je na rosnący stos odpadów medycznych w kuble na śmieci. Właśnie zszyłam człowieka, który potraktował żyłką swoje nogi i narobił cięć jak rozdziawione paszcze, od kolan po kostki. Serce się krajało, że ktoś mógł tak okaleczyć samego siebie, żalowałam więc, że dla takich ludzi nie mogę robić nic więcej, niż tylko ich łątać.

Westchnęłam i ruszyłam z powrotem pod bramkę oddziału opieki zdrowotnej. Pora napić się kawy i coś przegryźć – znowu przepracowałam przerwę na lunch.

Po drodze dobiegł do mnie zza pleców jakiś dźwięk. Odwróciłam się i aż nie mogłam uwierzyć własnym oczom, bo oto, powłócząc nogami, zbliżał się do mnie ostatni człowiek, którego spodziewałabym się znów zobaczyć – Hiszpan z krechą przez całą szyję, spiętą szwami. To gardło ratowałam własnymi rękoma.

Trwał czas wspólny i większość osadzonych łąziła sobie tu i tam. Niektórzy czekali na swoją kolej przy małym stole bilardowym, obserwując grę.

Próbował się ze mną zrównać, ale brakło mu tchu. Utrzymujące się osłabienie było zrozumiałe, więc wzięłam go pod rękę i łagodnie pokierowałam w stronę krzesła, na którym mógł odpocząć.

Podniósł na mnie wielkie ciemne oczy. Wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale brak mu było powietrza. A ja nie mogłam przestać patrzeć na tę wielką ranę. Naprawdę przeżył tylko cudem. Bliznę przyjdzie nosić mu przez resztę życia jak apaszkę.

Pogładziłam go po ramieniu.

– Wszystko gra. – Uśmiechnęłam się uspokajająco.

Na chwilę zamknął oczy, zupełnie jak wtedy, gdy myślałam, że go tracę, a potem otworzył je szeroko i intensywnie wpatrzył się w moje. Przyciskając gardło lewą dłonią, powiedział bezgłośnie: – Dziękuję.

Moim sercem zawładnęła radość. Gdy ratujesz kogoś, kto próbował się zabić, zawsze czujesz strach, że cię za to znienawidzi. Mówię to z własnego smutnego doświadczenia.

Ścisnęłam go za ramię i uśmiechnęłam się – uniwersalny sygnał, którego nie trzeba tłumaczyć. Wszystkie sukcesy i klęski, i całe moje wyczerpanie

zyskały nagle na wartości. Odchodząc, niosłam w sobie jego słowa. Stały się dla mnie zbroją, którą będę się osłaniać, jeśli najdzie mnie zwątpienie.

– Pomóc pani z tym, pani doktor? – Sylvie zauważyła, że czekam na kogoś z kluczem. Przytaknęłam, uradowana widokiem przyjaznej twarzy.

Zerknęłam na zegarek. Za dziesięć minut powinnam pojawić się na szkoleniu z zasad bezpieczeństwa, na którym, taką miałam skrytą nadzieję, dostanę własny zestaw kluczy. Byłam wciąż tą nową, a choć ostatnie tygodnie okazały się najbardziej traumatycznymi w moim życiu, zarazem najwięcej w nie wniosły.

W głowie huczało mi od informacji przekazanych w ciągu minionych dwóch godzin. Wszystkich nowych członków personelu i pracowników agencyjnych, w tym mnie, zebrano w jednym pomieszczeniu, żeby pouczyć nas o panujących w więzieniu zasadach bezpieczeństwa. Dowiedziałam się, że coś tak na pozór niewinnego jak listek gumy do żucia, co bardziej pomysłowi więźniowie mogą wykorzystać do ucieczki – odciskając w nim klucze strażnika. W żadnym wypadku nie wolno mi wnosić jej na teren zakładu. To samo dotyczy masy Blu Tack – co tłumaczy zapach mięty unoszący się w niektórych celach, a spowodowany tym, że więźniowie czasem wykorzystują pastę do zębów jako nowatorski patent na przyklejanie obrazków do ścian.

Na liście przedmiotów zakazanych znalazły się też notesy na spirali. W niewłaściwych rękach mogą one bowiem posłużyć do otwarcia zamka. Zabronione były też oczywiście telefony komórkowe.

– Mogą wydawać się dość niegroźne – oznajmił oficer prowadzący wykład – ale nie dajcie się zwieść. Przemycone telefony mogą okazać się nie mniej groźne niż narkotyki. Mogą być wykorzystywane do kontynuacji

działalności przestępczej, do nękania ofiar, do uzgadniania transakcji narkotykowych, a także funkcjonować w więzieniu jako waluta. Stara nokia chodzi po trzysta funtów, albo i czterysta!

Przez salę przemknął cichy jęk zdumienia.

Po fascynującym wykładzie, która nauczyła mnie wszystkiego o kontrabandzie i surowych regułach bezpieczeństwa, których mam przestrzegać, pozwolono mi wreszcie nosić klucze. Otrzymam krążek z czarnego plastiku z wypisaną na nim liczbą i zwany numerkiem, który będę co rano wymieniać na bramie na zestaw kluczy umożliwiający mi dostęp do gabinetów zabiegowych i na bloki. Kluczy do cel nie wolno mi było posiadać.

W razie konieczności odwiedzenia któregoś więźnia, z jakiegokolwiek powodu, powinnam poprosić o asystę strażnika. Naprawdę ważną informację pozostawiono na koniec. Oficer, zanim przeszedł do sedna, wziął głęboki oddech.

– W żadnym wypadku, naprawdę w żadnym – uniósł w górę palec – nie wolno wam informować osadzonych, których czeka wizyta w szpitalu, kiedy i gdzie się ona odbędzie.

Kilka pielęgniarek pokiwało głowami ze zrozumieniem, ale reszta naszego grona popatrywała po sobie lekko zdezorientowana.

Odchrząknął.

– Jak niektórzy z was wiedzą, w zeszłym roku pozornie zwykły konwój do szpitala Hammersmith zakończył się tragicznie.

Osoby poszeptujące na tyłach sali nagle zamilkły.

– Skazany za napad z bronią w rękę przekonał jednego z lekarzy, że czuje się tak fatalnie, iż musi trafić do szpitala na konsultację specjalistyczną.

Niestety, udało mu się poznać datę, godzinę i miejsce tej wizyty, o czym dał cynk swoim współpracownikom. Pod szpitalem na trzech naszych strażników napadli ludzie w kominiarkach, mierząc w ich głowy z broni palnej.

W sali zapanowała śmiertelna cisza, bo wszyscy wczuliśmy się w tę opowieść. Oficer na chwilę umilkł, pocierając palcem czoło nad brwią, jakby odrobinę się wahał przed przejściem do kolejnego rozdziału tej historii.

Zamieniliśmy się w słuch.

– Powiedzieli naszym, że ich zastrzelą, jeżeli kompan nie zostanie uwolniony. Nasi chłopcy oczywiście zdjęli mu kajdanki, gdyż za nikogo nie warto umierać.

Zebrani szeptem przyznali mu rację.

– Dorwaliśmy tego gościa po paru dniach uciezki i do dwunastu lat odsiadki doszło mu jeszcze kilka. Policja namierzyła jednego z napastników, drugiego się nie udało.

– A co z tymi strażnikami więziennymi, wyszli bez szwanku? – zapytał ktoś z tyłu sali.

Oficer relacjonujący tę historię tym razem tak długo zwlekał z odpowiedzią, że odniosłam niepokojące wrażenie, iż nie usłyszymy: „Żyli długo i szczęśliwie”. Inaczej wcale by tego przykładu nie przytaczał. Sięgnął po stojącą na biurku za nim szklanę, która dotąd stała nietknięta, i ostrożnie upił łyk wody.

– Niestety, ten incydent położył kres karierom osób w niego uwikłanych i tak oto straciliśmy trzech świetnych strażników. Jeden z nich popadł w stany lękowe i depresję i spróbował popełnić samobójstwo.

Zapadła cisza. Odebrało mi mowę, jak wszystkim na sali.

– Oto dlaczego, panie i panowie, nie przepadamy za wysyłaniem więźniów do szpitala, jeśli nie zachodzi sytuacja zagrażająca życiu,

szczególnie w soboty i niedziele, gdy personel jest mniej liczny. A gdy wizyta w szpitalu jest już uzgodniona, za nic nie wolno ujawniać wcześniej daty ani jego adresu.

To ostrzeżenie skierował głównie do mnie i pozostałych osób z personelu medycznego, biorących udział w szkoleniu. Strach było myśleć, że za nasze decyzje ktoś może ponieść tak wielkie koszty.

– Proszę więc, pilnujcie państwo tego, żeby wszelkie informacje dotyczące badań szpitalnych zachowywać dla siebie aż do ostatniej chwili. Nie pozwoli to nikomu na zaplanowanie napaści.

I akurat, gdy kończył ten wykład, rozległ się alarm.

Zaskrzypiały krzesła – wszyscy się zerwali i rozbiegli. Ja poszłam prosto na bramę, pobrać numerek, który potem wymieniłam na komplet kluczy oznaczony taką samą liczbą ze świadomością, że wraz z nimi spadła na mnie ogromna odpowiedzialność. Nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić, co czuli tamci strażnicy, będąc na muszce bandytów. Jak to jest, oglądać swoje życie przemykające przed oczami. Wybór, czy pozwolić więźniowi uciec, czy narazić się na śmierć, dzielił szmat drogi od rozstrzygnięć, które podejmowałam za czasów mojej dawnej, poczciwej praktyki lekarskiej.

Ale żeby mnie odstraszyć, trzeba czegoś więcej niż opowieści z dreszczykiem. Przypięłam więc klucze do łańcuszka i wepchnęłam je do skórzanej saszetki na pasku. Doszłam do wniosku, że więziennej rzeczywistości najlepiej się sprostą, nie rozmyślając za wiele, o ile nie jest to naprawdę konieczne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zal serce ścisnął, gdy się patrzyło, jak do Scrubs przybywają nowi więźniowie, wlokąc wielkie wory z przezroczystego plastiku, w których mieścił się cały ich dobytek.

Siedząc w gabinecie lekarskim na obszarze przyjęć, słyszałam przeciąganie worków przez biegnący obok korytarz. Szurając nogami, nowo osadzeni zmierzali do mieszczącej się naprzeciw wielkiej celi przejściowej, której drzwi zamykały się za nimi z głośnym szczękiem. Tam czekali na skontrolowanie ich przez personel pielęgniarstwa. Różnorodność ludzi kierowanych tu przez Sąd Koronny i sądy magistrackie była niebywała.

Człowiek czuł się jak na ostrym dyżurze w szpitalu. Nie wiedziałam, kto za chwilę przekroczy te drzwi ani w jakim będzie stanie. Musiałam nastawiać się na wszystko. Mogli to bowiem zarówno być agresywni grubianie, odstawieni od narkotyków i alkoholu, jakich często się tu widywało, jak i ludzie, którzy jeszcze nie zaznali więzienia, nierzadko podenerwowani lub w ciężkim szoku. Przedstawiciele wszelkich nacji i sfer życia, od osób majątnych i znanych po bezdomnych. Wielu z nich przeżywało podobny wstrząs i zgrozę na myśl, że znalazło się w więzieniu – w odróżnieniu od tych spośród bezdomnych, których trafienie tu

uszcześliwiło, bo zapewniało posiłki i dach nad głową. Większość jednak czuła ogromny niepokój.

Niektórzy pękali i, siedząc u mnie, płakali, wiedząc, że nikt inny tego nie widzi. Nowo przybyłych najpierw badali pielęgniarze, zwykle dwie osoby, czasami, na wieczornej zmianie, trzy.

O dwudziestej wszyscy musieli się przenieść ze znajdującego się na parterze obszaru przyjęć na czwarte piętro, do Ośrodka Pierwszego Noclegu, na dalszy ciąg badania nowo przybyłych. Tego wieczoru ja także przeszłam z innymi na OPN, gdyż kończyłam zmianę o dwudziestej drugiej.

Jak zwykle nie miałam pojęcia, jakie przestępstwa popełnili ci więźniowie; pielęgniarki powiadamiały mnie o tym jedynie w przypadkach, gdy komuś takiemu zarzucano wyjątkowo groźny czyn: morderstwo lub inne przestępstwo dokonane ze szczególnym okrucieństwem, gdyż wymagane było wtedy też badanie psychiatryczne.

O Azarze uprzedził mnie mój serdeczny kolega Haj – jeden z pielęgniarzy – nie ze względu na charakter czynu, jaki popełnił, a z uwagi na to, że pozbawienie wolności wywołało u niego szok.

Dubajczyka wprowadzono, gdy zapoznawałam się z licznymi notatkami na jego temat. Jego widok trochę zbił mnie z tropu. Młody człowiek wprawdzie czuł się bardzo nieswojo w nowym otoczeniu, ale nadal nosił się z wdziękiem i elegancją. Był wysoki i szczupły, i uderzająco przystojny. Po jakości ubrań widziałam, że jest z majątnego domu. Miał na sobie kaszmirowy sweter oraz idealnie wyprasowane spodnie chino. Buty wyglądały na wykonane z najlepszej gatunkowo skóry.

Mówił cicho i jak ktoś dobrze wykształcony.

– Tutaj powinienem usiąść? – Wskazał plastikowe krzesło przy moim biurku.

Brązowe oczy, i tak duże, miał rozszerzone jak królik usidlony światłem reflektorów auta.

Uśmiechnęłam się.

– Tak, wejdz, proszę. Siadaj.

Upomniano mnie, bym zawsze miała drzwi otwarte i zajmowała miejsce najbliżej nich. Tak, bym mogła w razie potrzeby szybko uciec. Na ścianie po lewej umieszczono, na wszelki wypadek, wielki czerwony przycisk alarmu.

Pokoik był nieduży, lecz czysty. W powietrzu wisiał gęsty, duszący zapach detergentu, zapowiedź woni czekającej na osadzonych w celach, do których ich przeniosą.

Azar rozejrzał się nerwowo.

– Nie powinno mnie tutaj być – powiedział, rozdygotany.

– Dobrze się czujesz?

Zaczął kręcić głową w niedowierzaniu.

– Co ja tu robię? Nie powinno mnie tutaj być!

W tej samej chwili zza drzwi pokoju doleciał potężny łomot, a po nim krzyk i świdrujący wrzask.

– Odwalcie się, odpierdolcie się ode mnie!

Azar zamarł na widok mężczyzny wleczonego korytarzem przez trzech krzepkich strażników, wierzgającego na wszystkie strony, z podwiniętą pod szyję koszulką ukazującą ukazującą blady, owłosiony tors.

– O Jezu! – szepnął.

Żałowałam, że nie mogę zamknąć drzwi, żeby oszczędzić mu tego dramatu i zapewnić spokój, ale wiedziałam też, że nie byłby to dobry pomysł. Zamiast tego zaoferowałam mu jedyne, co mogłam – otuchę.

– Będzie dobrze. Postaraj się nie panikować – poradziłam.

Więźniów, którym odstawiono narkotyki lub którzy regularnie brali lekarstwa z takich powodów, jak HIV, nadciśnienie czy problemy psychiczne, traktowano priorytetowo, wyznaczając im badania przed końcem zmiany, by lekarz miał czas na wypisanie im podstawowych leków. Do mnie należało wypełnianie tej luki, dopóki do Scrubs nie zostanie przefaksowana ich dokumentacja medyczna, co zwykle zajmowało około dwudziestu czterech godzin. O ile byli wcześniej zarejestrowani w jakiejś przychodni. Wielu bezdomnych to nie dotyczyło.

Z notatek, które pospiesznie zrobił Haj, wiedziałam, że Azar był cukrzykiem, na insulynie. Czasu miałam niewiele, a lek powinien zostać mu wydany, zanim mężczyzna trafi do celi.

– Będziemy się często widywać. – Ponownie się uśmiechnęłam. – W tym więzieniu surowo przestrzega się zasady, by osadzeni nie robili sobie sami zastrzyków.

Azar, o ile było to możliwe, zaczął sprawiać wrażenie jeszcze bardziej przerażonego czy wręcz spanikowanego.

– Ale bez obaw, po jakimś czasie przejdziesz ocenę ryzyka posiadania i będziesz mógł nie tylko aplikować sobie swoje lekarstwa, ale i trzymać je wszystkie w swojej celi. Początkowo jednak muszą ci je podawać pielęgniarki.

– Okej – potwierdził bezgłośnie.

Przeszłam do wyjaśniania, że leki, poza kremami na problemy skórne i środkami wymagającymi inhalacji, wydają pielęgniarki na bloku, dopóki nie zostanie stwierdzone, że osadzony jest gotów brać je regularnie i odpowiedzialnie i nie zagraża to przedawkowaniem ani wykorzystaniem igieł do ataku na współwięźnia.

Azarowi jakby krew odpłynęła z twarzy.

Raptownie wstał, ale tylko po to, by zatoczyć się i znów opaść na krzesło.

– Rozumiem, że to wszystko może wydawać się przerażające, ale będziesz pod dobrą opieką. Osobiście zadbam, by twoja cukrzyca ciągle znajdowała się pod kontrolą – zapewniłam go.

Nagle wyrwanie z życia w luksusie i osadzenie w zamknięciu musiało być dla niego szokiem. Jakby tego było mało, pozbawiono go władzy nad jego chorobą i lekarstwami. Nic dziwnego, że się przeraził – jego świat stanął na głowie.

Żeby odciągnąć jego myśli od brutalnej rzeczywistości jego sytuacji, spojrzałam mu w oczy i spróbowałam nakłonić do rozmowy.

– Azar, będzie dobrze. Czy to tymczasowe aresztowanie?

– Dwanaście miesięcy aresztu, które mogą się skończyć ekstradycją. – I szybko dodał: – Ale ja tego nie zrobiłem.

– Już dobrze, mnie nic nie musisz tłumaczyć. Jestem tu, żeby ci pomóc, a nie cię osądzać. Nie mam dostępu do twoich akt procesowych, a jedynie do kartoteki medycznej, i to mi odpowiada – wyjaśniłam.

– Ale ja chcę, żeby pani wiedziała, że oskarżają mnie o oszustwo, a jestem niewinny.

W uszach zagrał mi nagle refren: „W więzieniu siedzą sami niewinni”.

– Leczyłeś się psychiatrycznie? – kontynuowałam.

– Nie. – Pokręcił głową.

Ściszyłam głos.

– Jakieś samookaleczenia? Czujesz, że chcesz coś sobie zrobić?

Ponownie potrząsnął głową. Perfekcyjnie zadbane czarne włosy po każdym takim ruchu wracały na swoje miejsce.

Gdy kończyłam wpis w komputerze, w gabinecie zapadło milczenie. Prowadzenie dokumentacji medycznej skomputeryzowane zostało

niedawno i wciąż jeszcze poznawałam tajniki systemu. Azar nie odrywał oczu od moich dłoni, klepiących w klawiaturę budzącą wstyd metodą „jednego palca”.

Moja zmiana dobiegała końca, ale mimo zmęczenia chciałam dowiedzieć się o Azarze czegoś więcej. Widać było, jak się męczy z przyjęciem do wiadomości, że znalazł się w więzieniu.

– Masz rodzinę, do której mógłbyś się zwrócić? – zapytałam.

Głęboko westchnął.

– Mam piękną dziewczynę. Mam kochającą rodzinę. Mam matkę... – Głos mu się załamał, stał się drżący. – Mam matkę, która jest mną bardzo rozczarowana. Sądzi, że jestem winny. Mówi, że nie może pojąć, dlaczego dokonałem oszustwa, skoro i tak mamy sporo pieniędzy.

Bliski płaczu, zerknął na zakratowane okienko i zapatrzył się w nie, niewątpliwie wyobrażając sobie czekającą po tamtej stronie wolność.

Potem przeniósł wzrok na mnie.

– Wie pani, pochodzę z bardzo bogatej rodziny. Na całym świecie mamy firmy i nieruchomości.

Tak jak przypuszczałam; jego przestępstwo musiało być na tyle poważne, że odmówiono mu wyjścia za kaucją – pieniędzy na nią by mu przecież starczyło.

– No to miejmy nadzieję, że krewni wkrótce cię odwiedzą – powiedziałam.

Azar przytaknął.

– Nie jestem pewien, czy dam radę spojrzeć w twarz matce. Kiedy się przy czymś uprze, bardzo trudno ją przekonać, że jest inaczej.

Pokiwałam głową.

– Nie mogę znieść myśli o rozłące z Jazmin. – Głos znów mu się rwał.

– To twoja dziewczyna?

– Jest taka piękna! – zawołał, sięgając do worka, zapewne po jej zdjęcie. Ledwie wydobył pliczek fotografii, do gabinetu zajrzał dyżurny strażnik.

– Pilna sprawa, pani doktor, musi pani kogoś obejrzyć.

Spojrzałam przeprasząco na Azara, któremu strażnik właśnie kazał wstać.

– Ruchy! – polecił szorstko. Był to jeden z trójki osiłków, którzy niedawno poskramiali hałasującego gościa.

Widać było, że Azar się przestraszył.

– Będzie dobrze. W razie zdenerwowania, głębokie oddechy – pouczyłam, gdy go wyprowadzano. Obejrzał się na mnie.

– Spokojnie – powiedziałam bezgłośnie.

Zniknął mi z oczu. Wiedziałam jednak, że z uwagi na jego cukrzycę i długość aresztu, najprawdopodobniej zobaczę go jeszcze niejeden raz.

Cieszyło mnie to, bo wzbudził we mnie ciepłe uczucia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ed, jeden ze strażników, potrzebował mojej pomocy. Zadzwoił do pokoju lekarskiego, prosząc, bym niezwłocznie przysłała na izol. Kiedy tam dotarłam, chodził w kółko, wyraźnie zły i niespokojny. Zachowywał się tak, że nabrałam pewności, iż nie chodzi o sytuację krytyczną typu kod czerwony lub choćby niebieski. Niewątpliwie jednak wydarzyło się coś poważnego.

– Dzięki, że przysłała pani tak szybko, pani doktor – powiedział.

Zerknęłam w górę metalowych schodów wiodących do cel.

– Do której mam iść? – Postawiłam stopę na stopniu.

Zatrzymał mnie.

– Nie tam, pani doktor. Potrzebujemy pani w monitorowanej.

Cela monitorowana, zupełnie pozbawiona wyposażenia, była przeznaczona dla więźniów wymagających całodobowej obserwacji kamerą telewizyjną wewnętrzną.

– Będzie grubo. – Ed się skrzywił.

Pełna obaw poszłam za nim.

Drzwi do celi były otwarte i widziałam plecy skupionych tam strażników.

– Chodzi o to – wyjaśnił Ed – że ten kretyn napchał sobie dupę żyletkami.

Nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam.

– Przepraszam, czym?

Wy tłumaczył, że to nie takie niezwykle, jak mogłoby się zdawać. Więzień w ten sposób desperacko próbował zapobiec przeniesieniu go do innego zakładu karnego.

– Wsadzając je sobie w dupę, skutecznie ukrywa broń, mogącą potem posłużyć do zaatakowania personelu lub współwięźniów. Nowy zakład odmówi przyjęcia kogoś uzbrojonego.

Zamurowało mnie. Niewiarygodne, do czego zdolni byli więźniowie. Sam opór przed przeniesieniem mógł wynikać z różnych przyczyn, choćby z obawy przed wywiezieniem daleko od rodziny i tym samym przed utrudnieniem odwiedzin. Inni bronili się dlatego, że w tym drugim więzieniu mieli wrogów, ewentualnie dług u przebywających tam ludzi, którego nie byli w stanie spłacić. Jeszcze inni przeciwnie, handlowali narkotykami i mieli tu, w Scrubs, swoich dłużników.

Musiało chodzić o coś takiego, skoro więzień zdecydował się na skrajnie desperackie posunięcie.

– Owinął je czymś? Choćby folią?

Miałam nadzieję, że tak, bo inaczej mogło dojść do wewnętrznego krwotoku.

– Nie powiedział.

Zapytałam Eda, czy mają zapasowe rękawiczki chirurgiczne. Ja swoją ostatnią parę wykorzystałam u więźnia na bloku E i nie miałam okazji zdobyć kolejnych. Zniknął w swoim kantorku, po czym pojawił się ponownie, z parą rękawic z czarnego plastiku, trochę przypominających ogrodnicze. Będą musiały wystarczyć. Przeszukałam maleńki gabinet lekarski na izolu, ale nie znalazłam innej pary. Dorwałam za to rolkę

białych plastikowych fartuchów jednorazowych. Owinęłam się jednym w pasie i wciągnęłam na dłonie rękawice wyszukane przez Eda.

Więzień w celi monitorowanej znów wierzgał. Trzej znajdujący się tam strażnicy mieli na sobie odzież ochronną, przez którą wyglądali, jakby mieli tłumić zamieszki – grube czarne kombinezony i czarne kaski z osłonami twarzy.

Niski głos krzyknął: – Zostaję tutaj! Nie pojedę, kurwa, do tamtego pierdla! Spróbujcie mnie zmusić, to dostaniecie oklep!

Ed nic sobie z tego nie robił. Łatwo było zrozumieć, czemu to on kierował izolem – jemu nikt by nie podskoczył.

– Morda w kubel! – ryknął.

W celce unosił się ohydny smród. Krzyki odbijały się od ścian tak, że można było ogłuchnąć.

– Tylko bez kopania! – zawołał więzień.

Ed westchnął.

– Nikt cię nie będzie kopał, Clarke. Jest tu pani doktor; przyszła wyjąć ci z tyłka te żyletki. Nie chcesz się chyba wykrwawić na śmierć, co?

Strażnicy rozstąpili się, odsłaniając kościstego człowieczka, wijącego się na podłodze jak robak. Był biały, miał koło trzydziestu pięciu lat, a na obu rękach rękawy z tatuaży.

Spojrzał na mnie, stojącą w drzwiach, przepasaną fartuchem i z ogromnymi czarnymi rękawicami na dłoniach. Nagle zastygł w bezruchu, absolutnie przerażony.

– Nie! – wrzasnął. – Sam je wyjmę!

I chwała Bogu, powiedziałam w myślach (choć i tak nie mogłabym przystąpić do badania odbyticy bez zgody pacjenta).

– Mądry wybór, ziomuś – stwierdził Ed.

Ściągając rękawice z trzaskiem towarzyszącym odklejaniu się lateksu od skóry, posłałam mu spojrzenie pełne ulgi.

– Chyba nie powie mi pani, że wolałaby teraz być gdzieś indziej – zażartował, gdy kierowałam się do wyjścia.

Nadeszła pora na lunch, wróciłam więc do pokoju lekarskiego. Był tam już Zaid, jeszcze jeden z lekarzy kontraktowych, na oko tak zestresowany, jak ja.

– Muszę zapalić! – wyjął. – Masz ochotę mi potowarzyszyć?

– Zdecydowanie!

Na zmianę otwieraliśmy sobie drogę na dziedziniec przed obszarem przyjęć.

Cudownie było spotkać się ze słońcem. Zamknęłam oczy, wyciągnęłam szyję ku niebu i pławiłam się w ciepłe lata. Doceniałam też orzeźwiający wietrzyk.

– Nie tutaj, AB – Zaid przerwał moje eskapistyczne rozkosze. Jako przydomka użył moich inicjałów.

Skręcił w lewo i poprowadził mnie wzdłuż bloku A. Wąski pas ziemi między więzieniem a jego okazałym murem przywodził na myśl pustkowie z filmu o postapokaliptycznej przyszłości. Zasłany śmieciami nie wyglądał zbyt malowniczo, ale i tak oferował to, co Scrubs miało dla nas najlepszego.

Zaid sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Ustami wyciągnął jednego z nich, po czym osłaniając dłonią końcówkę, zapalił. Staliśmy tam, milcząc, gdy wciągał dym głęboko w płuca, a na jego twarzy malowała się błogość.

Wreszcie przemówił.

– No to jak okropnie mija ci dzisiejszy dzień?

Przewróciłam oczami.

– Musiałam iść na izol, bo ktoś napchał sobie tyłek żyletkami.

Zaid nawet się nie zdziwił. Zerknął na mnie z ukosa, wypuszczając w powietrze wstążkę dymu.

– Taka historia – powiedział, też przewracając oczami.

– A co u ciebie? – zapytałam.

– Musiałem uczestniczyć w resuscytacji na bloku D. Facet próbował się powiesić. Nie wyszło. A potem miałem wizytę u kogoś, kto w ramach samookaleczenia połknął parę baterii.

Na chwilę pograżyliśmy się w ciszy.

To było zupełnie co innego niż pogaduszki przy lunchu w mojej dawnej przychodni. Tam pewnie rozmawiałabym o najnowszych lekach HTZ lub ostatnich wytycznych Narodowego Instytutu Zdrowia.

Zaid rozchylił usta w uśmiechu, prezentując idealnie białe zęby.

– Skoro już tu jesteśmy, chodź coś zobaczyć – powiedział, zapraszając mnie w głąb naszego pustkowia. – Moje ulubione hobby – dodał, gdy przełaziliśmy nad stosami śmieci.

Zobaczyłam kopczyk ziemi, przy którym uwijało się pół tuzina szczurów. To znikwały w środku, to z niego wylaziły. Nic sobie nie robiły z naszej obecności.

– Nieźle! – stwierdziłam.

Zaid zaciągnął się papierosem. Widok gryzoni truchtających to tu, to tam oboje nas zahipnotyzował. Większość ludzi woli przerwę na lunch spędzać w jakimś fajnym miejscu. My gapiliśmy się na szczury.

– Chyba trzeba wracać.

Cisnął peta na ziemię i zdusił go pod obcasem.

– A to widziałaś? – spytał, gdy wracaliśmy na bramę. Wskazał zawieszoną na murze tablicę, której wcześniej nie zauważyłam. Wielkie czerwone litery głosiły: NIE OSWAJAĆ I NIE KARMIC KOTÓW.

– Proszę – powiedział. – Przywieźli dzikie koty, żeby wyłapały szczury, ale za bardzo im to nie wychodzi.

Poszedł, a ja jeszcze chwilęostałam w słońcu. Potem otworzyłam bramę i wróciłam do pracy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W pewne niedzielne popołudnie poproszono mnie o zbadanie młodego człowieka z bloku B. Od kilku dni męczyły go biegunka i wymioty, a wyglądał wybitnie nieciekawie. Nawet ułożenie się na kozetce sprawiało mu spory ból.

Był to wysoki i szczupły dwudziestoparoletni Lankijczyk. Przedstawiłam się, zrobiłam wywiad, a gdy po obejrzeniu jamy ustnej delikatnie położyłam rękę na jego brzuchu, przekonałam się, że jest napięty i bardzo wrażliwy. Chłopak gorączkował, był blady i się pocił, uznałam więc, że ma zapalenie otrzewnej, prawdopodobnie skutek perforacji wyrostka robaczkowego.

Powinien jak najszybciej trafić do szpitala, toteż pielęgniarka zamówiła karetkę. Kiedy wypisywałam skierowanie, do gabinetu wszedł zastępca naczelnika. Budził w ludziach onieśmienie. Zawsze nienagannie ubrany, w gustownym garniturze i białej koszuli z gładkim krawatem, buty wyglansowane miał na taki połysk, jakiego w życiu nie widziałam. Właśnie te buty zobaczyłam najpierw, a dopiero potem twarz, ale i tak wiedziałam, że to on!

Był człowiekiem wymagającym, elokwentnym i do bólu służbiwą. Jego obecność zawsze tak mnie peszyła, że ilekroć się zbliżał, zwykle wbijałam

wzrok w podłogę. A jako że w jego butach mogłabym się przejrzeć, na swój użytek nazywałam go Lakierkiem. Spojrzał wilkiem na mnie, zerknął na zegarek i znów na mnie.

– Doktor Brown – przemówił swoją nienaganną angielszczyzną. Zawsze zwracał się do mnie bardzo formalnie. – Ten więzień czuje się źle od dwóch, jeżeli nie trzech dni. Dlaczego wysyła go pani do szpitala w niedzielę, i to po południu?

Rozumiałam problemy, których mu tym przysporzyłam. Już i tak brakowało ludzi, a konwojowanie tego młodego człowieka wymagało udziału dwóch strażników. Lakierek mruknął coś o konieczności zamknięcia trzech bloków, jeśli to nastąpi, co oznaczało odebranie setkom ludzi tak cennego dla nich czasu wspólnego.

Taktyka: nasilić presję.

Wzmocnić poczucie winy.

Tym razem nie ustąpiłam. Wytrzymałam jego spojrzenie i wyjaśniłam, że pacjent może mieć zapalenie otrzewnej i przełożenie na dzień następny przewiezienia go do szpitala potencjalnie zagrozi jego życiu. Więzień jęczał, ale leżał bardzo spokojnie, jedynie krzywiąc się z bólu.

Lakierek wsunął dłoń do kieszeni i zmrużył oczy.

– Doktor Brown, czy aby nie jest to po prostu grypa żołądkowa? Biegunka i wymioty to chyba także jej objawy? – Jego ton był stanowczy i lodowaty.

We mnie za to zapłonął gniew i powtórzyłam równie chłodno, że pacjent musi trafić do szpitala dzisiaj.

W tym momencie nienawidziłam swojej pracy. Dobrze wiedziałam o tym, że osadzeni symulują choroby, żeby próbować uciec, ale też miałam pewność, że tym razem tak nie jest. Chwila ciszy. Lakierek w końcu popatrzył na więźnia, a potem znów na mnie.

– Stawia mnie pani w niezręcznym położeniu, doktor Brown. Nie pani pierwsza tutaj postawiłaby błędną diagnozę.

Przemilczałam tę uwagę, ale twardo mierzyłam się z nim wzrokiem. Znajdowałam się w fatalnej pozycji, ale nie mogłam dać się zastraszyć. W końcu Lakierek połączył się z dyżurnym i potwierdził, że młody człowiek ma jechać do szpitala i należy podstawić karetkę.

– Pani wybaczy, doktor Brown – rzucił oschle, i już go nie było.

Ledwie wyszedł, poczułam, jak opada ze mnie napięcie. Nie darzyłam Lakierka złymi uczuciami i rozumiałam, że on również działa pod ogromną presją oraz że wykonuje dobrą robotę. Chciałam tylko, żeby doceniał też moją!

Wróciłam do chorego. Miał odruchy wymiotne i jęczał, a niebieska bibuła, pokrywająca kozetkę, niemal całkiem rozmiękła, przesiąknięta jego potem. Próbowałam dodać mu otuchy, ale mogłam jedynie czekać z nim na przyjazd karetki. Niedługo potem w drzwiach pojawili się dwaj strażnicy, jeden z parą kajdanek w ręce.

– Widać, że z nim niedobrze, pani doktor! – oświadczył, pospiesznie przekazując sprzęt koledze. – Ty go sobie przypnij!

– Bez obaw, to nic zakaźnego – zapewniłam ich.

Nie wyglądali na przekonanych.

– Musicie uwierzyć mi na słowo – uciełam. Dość miałam na jeden dzień przekonywania innych, że mówię prawdę.

Nie tylko nagłe przewozy do szpitala przysparzają problemów lekarzom. Nadzwyczaj trudne bywa też dostarczenie więźniów na uzgodnione wcześniej wizyty. Po prostu brakuje czasem strażników do konwojów. W rezultacie wizyty przepadają i trzeba je przekładać, niekiedy niejeden raz,

co powoduje zwłokę w badaniach, nawet trzymiesięczną albo i półroczną. Bardzo utrudnia to mierzenie się z chorobami.

Któregoś dnia, dowiedziawszy się, że osadzonemu, którym się zajmowałam, po raz drugi przypadło badanie, musiałam wyzalić się Sylvie.

– Ale to nie wina Scrubs – przyznałam. – To przez niedobór personelu.

Zgodziła się ze mną.

– Odkąd tu pracuję, masa lekarzy odeszła, bo ich to dobijało. Kawy?

Chętnie bym się napiła.

– Niestety, nie mogę – odparłam. – Muszę iść na izol, obejrzeć takiego jednego, co próbował podpalić swoją celę.

Sylvie życzyła mi powodzenia i posłała krzepiący uśmiech.

– Pani doktor, niech się pani nie daje.

– Wiadomo. Czasem po prostu czuję, że wiecznie mamy pod górkę.

Człowiekowi trudno znieść siedzenie pod kluczem w malutkiej celi przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. Czasem, gdy osadzeni chodzili w kółko po spacerniaku koło izolu, oddziału znajdującego się nieco poniżej jego poziomu, widziałam za oknem gabinetu lekarskiego ich falujące głowy.

– Siemano, pani doktor – wołali, byle tylko zainicjować rozmowę, rozpaczliwie złaknieni odrobiny kontaktu.

Życie w tak skrajnym odizolowaniu odbijało się oczywiście na niektórych osadzonych. Stawali się niespokojni albo doświadczali ataków panicznego lęku. Inni kompulsywnie krążyli po celi lub raz po raz ją sprząтали. Jeszcze inni całymi godzinami ćwiczyli.

Więźniom na izolu co dzień robił obchód dyżurny lekarz, wraz z pielęgniarką i strażnikiem. Regularnie odwiedzał ich też kapelan, a także

Niezależna Rada do spraw Nadzoru. Czy zdecydowali się mnie wpuścić, gdy pukałam, to była jednak inna sprawa.

Prowadził nas strażnik. Tłukł pięścią w klapkę wizjera, anonsując nasze nadejście, podnosił ją, żeby zajrzeć, czy w środku wszystko gra, a potem otwierał drzwi. Czasem z wnętrza dobiegał krzyk: „Stawiam kloca!”. Wtedy przechodziliśmy pod następną celę, a do tej wracaliśmy pod koniec obchodu.

– Przyszedł lekarz!

Bez pozwolenia strażnika nie wolno mi było wchodzić do celi. Przeważnie nie musiałam.

Czasem więzień zgadzał się na wizytę – zdarzało się, że po to, by poprosić o leki. Często całkowicie mnie ignorowali. Sporadycznie bywało tak, że miotali w moją stronę lawinę obelg. Zdecydowanie wolałam ignorowanie.

Jeżeli więzień należał do szczególnie niebezpiecznych, otwieranie drzwi było zabronione. Badanie, o ile okazywało się konieczne, przeprowadzałam przez wizjer. A i to nie zawsze było możliwe, jeśli zachodziło ryzyko, że zostanę oblana moczem, obrzucona fekaliami lub opluta. W takim przypadku rozmowę prowadziłam przez wąską szczelinę z boku drzwi. Przy bardzo rzadkich okazjach, kiedy badany miał być ktoś bardzo agresywny, na zewnątrz celi, pod jego nazwiskiem i numerem, umieszczano informację „Trzech do otwarcia”, a uchylenie drzwi mogło nastąpić jedynie w obecności trzech czuwających strażników.

Większość więźniów leżała na plecach, z rękoma pod głową, w milczeniu gapiąc się w sufit. Inni chowali się pod pościelą i musiałam sprawdzać, czy oddychają.

Poradzono mi, żebym, o ile to możliwe, unikała wchodzenia do ciemniejszych cel. Ed pouczył mnie, że lepiej, bym stała przy drzwiach,

ubezpieczana przez strażnika. Problem polegał na tym, że z powodu marnego oświetlenia przy wejściu każde ewentualne badanie musiałam przeprowadzać pod ścianą na końcu celi, gdzie trochę światła wpadało przez okienko. Żeby tam przejść, potrzebowałam zgody strażnika.

Tego dnia od samego wejścia na izol wiedziałam, że szykują się kłopoty.

Huk wywołany waleniem pięści w drzwi niósł się echem po korytarzach, i to na dwóch kondygnacjach.

Służbę pełnił Terry.

– Dzisiaj robota będzie szła pani jak po grudzie, pani doktor.

Gdy prowadził pielęgniarkę i mnie wzdłuż piętra, stukot naszych butów na metalowych płytach tonął w zgiełku protestu więźniów. Trzymałam się z tyłu, gdy Terry dwukrotnie zapukał, a potem odchylił klapkę. Drzwi nie otworzył, za duże ryzyko.

– Przyszedł lekarz! – zawołał.

Ostrożnie podeszłam, przygotowując się na to, co zaraz zobaczę w celi. Jednym z wyzwania, jakie stawia praca w więzieniu, jest to, że człowiek nigdy nie wie, co go czeka po drugiej stronie drzwi. Tym razem trafił mi się chudzielec ganiający po celi całkiem nago. Wydawało się, że jest w kompletnym amoku: wymachiwał rękami i krzyczał coś bez sensu. Nagle zatrzymał się w pół kroku i spotkał się ze mną wzrokiem. Sprawiał wrażenie opętanego. Wpatrywał się we mnie przez ten maleńki otwór w drzwiach, z ogniem w oczach.

– Niech wypierdala! – szczerknął, przez chwilę świadomy naszej obecności, po czym wrócił do swoich tyrad.

Jakakolwiek próba wciągnięcia go w rozmowę mijałaby się z celem. Podejrzewałam, że przed przeniesieniem na izol mógł wziąć spice, syntetyczny kannabinoid, niekiedy wywierający niszczycielski wpływ na użytkownika. Wyjaśniałoby to jego obłąkańcze zachowanie. Nadal biegał

wte i wewte po ciasnej celce, tłukąc przy tym pięściami w ścianę i bez ustanku sypiąc przekleństwami.

Terry zatrzasnął wizjer, gdy szłam już do następnej celi. Całym sercem byłam ze strażnikami pracującymi tego dnia na izolu, bo musieli mieć pełne ręce roboty. Jeśli tamten wziął narkotyki, nie sposób było przewidzieć, kiedy ochłonie.

Po więzieniu krążyła w tamtym czasie szczególnie wredna partia spice'a, o zatrważającym wpływie na człowieka. Jedni po niej dostawali ostrej psychozy, inni mieli rozmaite napady, niektórzy tracili przytomność.

Zablokowanie przepływu narkotyków na teren zakładu stanowiło nieustający problem dla strażników, a zwłaszcza dla naczelnik Frake, zarządzającej ochroną.

Paczki z prochami czasem przerzucano przez mury więzienia, te jednak w większości przejmował personel – mimo to część podnosili więźniowie, niekiedy nawet ci z czerwonymi opaskami. Jeden z takich dyżurnych wyznał mi kiedyś, że inny osadzony groził mu, iż jeśli nie dostarczy takiej paczki, ktoś z jego rodziny ucierpi.

Dowiedziałam się też, że narkotyki i telefony przemyca się przy okazji odwiedzin i że naczelnik Frake przyłapała kiedyś kobietę z trzema komórkami i kilkoma torebkami kokainy w pochwie. „Na pewno była pojemniejsza od kieszeni klauna”, stwierdziła potem, śmiejąc się ochryple.

Innym sposobem na dostarczanie spice'a były listy do więźniów. Natryskiwano nim papier, który adresaci cięli na kawałeczki i palili. Pierwszy powiedział mi o tym Terry i pamiętam, jak spojrzałam na niego z niedowierzaniem, bo wtedy jeszcze cechowała mnie straszna naiwność.

Terry załomotał w drzwi następnej celi.

– Przyszedł lekarz! – krzyknął.

Żadnej reakcji.

– Ten tutaj lubi się kaleczyć. Będzie pani miała fuksa, jeśli z czymś się zgłosi – poinformował mnie.

Wbiłam wzrok w półmrok za wizjerem.

Mężczyzna siedział na pryczy, plecami oparty o ścianę, w połowie w cieniu, częściowo w świetle wpadającym przez okienko. Był Afrokaraibem, a długie czarne włosy spadały mu luźno aż za ramiona.

Jego ręce błyszczały – miałam wrażenie, że od krwi.

Zaniepokojona odwróciłam się do Terry'ego.

– Czy to na całej długości jego rąk to krew?

Strażnik kiwnął głową.

– Najprawdopodobniej, pani doktor. Jego nie da się powstrzymać.

Próbowaliśmy wszystkiego. Tam jest jak w jatce.

– Musimy otworzyć te drzwi!

Terry się zafrasował.

– Otworzyć mogę, ale musi pani poczekać w wejściu. On siedzi tutaj, bo jest zbyt groźny, by trzymać go gdzieś indziej.

Dziwne, ale się nie bałam. Za bardzo chciałam sprawdzić, czy nic mu nie jest.

Gdy Terry otwierał, klucz zazgrzytał w zamku. Szarpnięciem za klamkę zwolnił zapadkę w drzwiach. Wionęło ostrym, kwaśnym zapachem zastarzałej krwi i potu.

Więzień nawet na nas nie spojrział. Zamiast tego nadal orał przerośniętymi paznokciami i tak już okaleczony nadgarstek.

Terry nie przesadzał, cela była cała we krwi. Pościel, umywalka, nawet ściany nią pomazał.

– Nie możecie go jakoś powstrzymać? – zapytałam Terry'ego.

Wzruszył ramionami.

– Nie da rady nic z nim zrobić. Jak tylko założą mu szwy, znowu zaczyna.

Wiedziałam, że seryjni autoagresorzy używają niemal wszystkiego, by się okaleczać – od własnych paznokci, poprzez krawędzie kubeczków po jogurcie, po metalowe ramy pryczy. Byłam też świadoma, że często otwierają raz po raz te same rany, żeby zapobiec ich gojeniu. Najważniejsze pytanie w takich sprawach dotyczyło powodów. Miałam nadzieję, że Terry rzuci światło na przypadek tego akurat więźnia.

– To Jamajczyk, czeka na deportację. Nie wie, kiedy nastąpi. Może to sprawa miesięcy, może lat.

Więcej nie musiał mówić. Przekonałam się już, że w Scrubs do najgwałtowniejszych osadzonych często zaliczają się właśnie obcokrajowcy.

Wielu więźniów, których poznałam, do swoich wyroków podchodziło bardzo pragmatycznie – popełniło się przestępstwo, to się odsiedzi – natomiast ci innej narodowości nierzadko nie wiedzieli, „ile dostaną” ani gdzie i kiedy zostaną deportowani. Taką niepewność bardzo trudno jest znieść. Skala samookaleczeń była w tej grupie wysoka, przepajały ich też nienawiść, gorycz i gniew.

Zerknęłam na personalia przypięte przy drzwiach, pod numerem więźnia.

– Josef – powiedziałam cicho.

Nic.

Chciałam spróbować wciągnąć Josefa w rozmowę, licząc na to, że nawet krótka wymiana zdań przekieruje jego uwagę na inne tory i pomoże mu się oderwać od kaleczenia kończyn.

Powtórzyłam jego imię, jeszcze łagodniej. Nadal zero reakcji. Wciąż rozdrapywał rany.

Włączył się Terry.

– Pani doktor chce wiedzieć, czy czegoś ci nie trzeba.

Josef powoli odwrócił twarz w naszą stronę, patrząc beznamiętnie przez strąki włosów. Obojętność i pustka malujące się na jego twarzy strasznie mnie przygnębiły i autentycznie zapragnęłam zrozumieć go i nawiązać z nim kontakt. Terry jednak się zniecierpliwił, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz.

Spojrzał na mnie ze współczuciem.

– Uprzedzałem, pani doktor. Strata czasu. Niektórzy ludzie nie chcą, żeby im pomagać. On z nikim nie gada.

Ja nie dopuszczałam do siebie myśli, że nie każdemu da się pomóc. Byłam zdeterminowana, by się tego trzymać i zrobić, co w mojej mocy, by pokazać temu człowiekowi, że mi na nim zależy i chcę mu pomóc.

Przeszliśmy pod następną celę.

– Uwaga na wizjer, ten tutaj lubi rzucać gównem! – powiedział Terry.

Stężałam, gotowa w razie czego uskoczyć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Doktor Brown, ma pani chwilę? – Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż jak pytanie. W Wormwood Scrubs tylko jedna osoba zwracała się do mnie w ten sposób.

Wsunęłam więc z powrotem do saszetki klucze, którymi miałam otworzyć bramę oddziału opieki zdrowotnej, wzięłam głęboki oddech i odwróciłam się twarzą do zastępcy naczelnika.

Chrząknął.

– Chcę panią przeprosić.

Trudno mi było ukryć zaskoczenie.

– Miała pani rację, nalegając na przewiezienie tamtego młodego człowieka do szpitala. To rzeczywiście było zapalenie otrzewnej.

Dowiedziałam się o tym z raportu, który otrzymałam ze szpitala. Z więźniem było na tyle niedobrze, iż zatrzymano go w szpitalu jeszcze na dwa tygodnie. Nie spodziewałam się jednak osobistych przeprosin samego naczelnika.

– Miło mi to słyszeć. – Uśmiechnęłam się. – Dziękuję, że pan to powiedział.

Pomiędzy nami znów zapadła cisza – żadne z nas nie było pewne, co jeszcze dodać. Mnie wybawiła Sylvie, przebiegająca właśnie obok.

– Jest pani potrzebna na bloku B – rzuciła bez tchu.

Odwrociłam się do Lakierka.

– Pan wybaczy.

– Pani doktor.

Skłonił się uprzejmie, nieco staromodnie, a ja pognałam za Sylvie na sąsiedni blok.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Wiem tyle, że chodzi o tego więźnia z cukrzycą.

Chorobę Azara trudno było kontrolować, gdyż jedzenie w Scrubs często obfitowało w węglowodany. Chociaż więzienie starało się zapewniać cukrzykom odpowiednią dietę, nie zawsze było to możliwe i wielokrotnie na glukometrach pojawiał się odczyt „Poza skalą”. Oznaczało to, że pacjentowi grozi hiperglikemia. Czasami, z uwagi na nieodpowiednią dietę i pory podawania insuliny, poziom cukru spadał z kolei za nisko i to również mogło prowadzić do śpiączki cukrzycowej.

Nigdy jeszcze nie musiałam odwiedzać Azara w celi. Jego stan musiał być poważny, jeżeli czuł się zbyt źle, by pójść do gabinetu pielęgniarek. Jeden ze strażników czekał już na zewnątrz, gotów otworzyć mi drzwi.

– Jak bardzo z nim źle? – zapytałam. Przywiązałam się do Azara.

– Sama pani zobaczy, pani doktor. – Strażnik przekręcił klucz i mnie wpuścił.

Azar tkwił na skraju pryczy, cały napięty, z twarzą ociekającą potem. Oddychał szybko i płytko. Kiedy zobaczył, że wchodzę do celi, wyraźnie mu ulżyło. Wielkie brązowe oczy podniosły się ku mnie, błagając o pomoc.

Czułam jakoś, że tu nie chodzi o cukrzycę. Wyjęłam stetoskop i posłuchałam, co mu gra w sercu i piersiach, a Sylvie w tym czasie zbadała

poziom cukru – jak się okazało, w normie.

Serce chłopaka waliło szybko, ale przynajmniej regularnie. Jeśli dodać do tego pocenie się, hiperwentylację i ogół zachowania, było więcej niż pewne, że chodzi o atak paniki.

Usiadłam na pryczy obok niego.

– Nic się nie bój – powiedziałam. – To przejdzie i wkrótce znów poczujesz się normalnie. – Próbowałam dodać mu otuchy. Ludzie, których dopada paniczny lęk, obawiają się czasem, że go nie przeżyją.

Spróbowałam skłonić Azara do spowolnienia oddechu poprzez długie powolne wdychanie powietrza nosem i wydychanie ustami. Poleciłam, by mnie naśladował, i oddychaliśmy razem, podczas gdy powoli odzyskiwał właściwy mu rytm.

Kiedy dochodził do siebie, rozejrzałam się po jego celi. Urządził ją nienagannie. Powieszona zdjęcia rodziny układały się w idealnie proste linie.

Ubrania leżały złożone tak bezbłędnie, jakby były eksponowane w sklepie. Szczoteczka do zębów i pasta oraz maszynka do golenia i krem były oddalone od siebie o tę samą odległość. Widać tu był obsesyjną dbałość o utrzymanie ładu. Przyszło mi do głowy, że Azar może cierpieć na zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne, czyli na nerwicę natręctw.

Nerwica natręctw to dość pospolita dolegliwość, mogąca jednak mieć niszczycielski i paraliżujący wpływ na życie człowieka. Chorzy na nią często mają przemożną potrzebę wielokrotnego sprawdzania wszystkiego, regularnego powtarzania pewnych czynności lub rytuałów, miewają też obsesyjne myśli. Nierzadko bywa, że osoby cierpiące na nerwicę natręctw myją ręce raz po raz albo cofają się od wyjścia, żeby sprawdzić, czy wszędzie wyłączyły prąd i pozamykały drzwi. Innym typowym objawem

bywa obsesja na punkcie czystości lub układania wszystkiego w idealnym porządku.

Ten stan nasila się, gdy ludzie czują niepokój lub stres. Kiedy życie wymyka się spod kontroli, powtarzanie rytuałów lub innych czynności może stanowić sposób na chociaż częściowe jej odzyskanie. Nietrudno było zrozumieć, czemu dotknęło to także więźnia.

– Jak się teraz czujesz? – zapytałam.

Zamiast odpowiedzieć, kiwnął głową. Oddech już mu się ustabilizował, a rytm serca wrócił do normy.

– Nie bój się. Nigdzie nie idę. Masz dość czasu – zapewniłam go.

Azar mocno zacisnął powieki, usiłując zapomnieć o świecie, w którym go usidlono. Przypuszczam, że wielu osadzonych zamyka oczy, marząc, że po ich otwarciu znajdą się poza murami więzienia, a w środku nocy często wpadają w popłoch, bo po obudzeniu wciąż znajdują się w tym samym miejscu.

Czekałam cierpliwie, aż chłopakowi poprawi się na tyle, żeby mi powiedział, co wywołało w nim tak paniczny lęk.

Kropla potu spłynęła mu do oka. Pozbył się jej mrugnięciem i sięgnął po znajdujący się koło umywalki złożony ręcznik, by wytrzeć twarz do sucha.

W końcu oznajmił:

– Tutaj jest brudno!

Uznałam, że to nieodpowiedni moment na obwieszczenie mu, że jego cela jest być może najczystsza w całym Wormwood Scrubs.

– Ciągle sprzątam, a i tak nigdy nie jest czysto. – Zbierało mu się na płacz.

Rozumiałam go całym sercem. Został wyrwany z życia w przepychu i zamknięty pod kluczem. Musiał to być dla niego straszny szok kulturowy, zapewne o wiele mocniejszy niż dla masy innych osadzonych.

Azar utracił panowanie nad swoim losem – czekał na wiadomość o ewentualnej ekstradycji. Nie kontrolował też cukrzycy. Wyglądało na to, że wszystkie frustracje wyładowuje poprzez sprzątanie celi, i że ta czynność bierze nad nim górę.

Nagle rzucił się do przodu, chwycił w prawą garść kupę namoczonego papieru toaletowego i zaczął trzeć jakąś plamę na ścianie z taką furją, że papier szybko rozlazł mu się pod palcami.

Jego oddech znów zaczął przyspieszać, wydawało się wręcz, że szykuje się kolejny atak paniki.

Dotknęłam jego ramienia.

– Chodź, usiądź – powiedziałam, dbając, by zabrzmiało to lekko.

– Ma pani nawilżane chusteczki? – zapytał bez tchu.

Zawsze nosiłam przy sobie paczuszkę, bo ja także przykładalam ogromną wagę do czystości. Rzecz w tym, że byłoby niemile widziane, gdybym przekazała je więźniowi.

W oczach Azara malowało się błaganie. Wydawało mi się, że to drobiazg, a może pomóc człowiekowi dojść do siebie. Przetrzęsłam torbę i przekazałam Azarowi kilka swoich ostatnich chusteczek. Ledwie poczuł je między palcami, natychmiast się odprężył.

– Dziękuję! Dziękuję! – Z wdzięczności aż dygotał. Prawdę mówiąc, mogłam go zrozumieć. Ja również miałam skłonność do obsesyjnego mycia rąk, po części ze względu na pracę. Mierziła mnie myśl o posługiwaniu się przez cały dzień brudnymi kluczami. Jedną z pierwszych czynności, które wykonywałam po przyjsciu rano, było zagotowanie wody, wrzucenie kluczy do zlewu i zalanie ich wrzątkiem.

Azar starannie ułożył chusteczki na skraju umywalki, niewątpliwie po to, by zabrać się do szorowania, jak tylko wyjdę. Z mojej strony był to mały gest, ale dla drugiej osoby zapewne stanowił pociechę. Niewiele mogłam

zrobić, żeby poprawić los więźniów, miałam jednak wrażenie, że czasem nawet drobiazgi wnoszą coś w ich życie. Wielokrotnie słyszałam, że komuś pomaga sama świadomość, iż innej osobie na nim zależy.

Posiedziałam jeszcze z Azarem, żeby nabrać pewności, iż ataki paniki nie powrócą. Staralam się trzymać lekkiego tonu, unikając wszystkiego, co mogłoby zadziałać jak zapalnik, on jednak uparł się, żeby mi opowiedzieć, że rano przyjdzie jego adwokat, aby omówić jego sprawę.

Chociaż spotykaliśmy się potem wielokrotnie, nigdy nie zrozumiałam w pełni, o co go oskarżano. Sprawa była bardzo skomplikowana, a ja, szczerze mówiąc, nie bardzo chciałam zbyt wiele o niej wiedzieć.

Azar całkiem się rozchmurzył, gdy powiedział: – A pojutrze odwiedzi mnie moja dziewczyna.

– To cudownie. – Rozpromieniłam się. Zdecydowanie wolałam gawędzić o rzeczach pozytywnych, pozwalających więźniom przetrzymywać codzienny kierat. O wizycie ukochanej osoby, o namalowanym przez dziecko obrazku, który powieszają sobie nad pryczą, o liście od najlepszego przyjaciela albo partnerki. W takim miejscu jak Scrubs właśnie to się liczyło.

Zerknęłam na zegarek. Byłam spóźniona, a przed lunchem musiałam jeszcze zbadać kogoś na bloku A, pożegnałam się więc, obiecując, że zgłoszę go zespołowi psychiatrów, który pomoże mu zapanować nad nerwicą natręctw, a wkrótce znów przyjdę z wizytą.

Wolałabym mieć dla pacjentów więcej czasu, ale wyglądało na to, że wiecznie będę gdzieś gonić.

– Staraj się zachować spokój – poleciłam. – A jeśli znów poczujesz, że wpadasz w panikę, rób sobie ćwiczenia oddechowe.

Pomoc, jakiej mogłam mu udzielić, miała swoje granice, ale liczyłam na to, że świadomość, iż troszczę się o niego i choć trochę rozumiem, przez co

przechodzi, też jest dla niego jakimś pocieszeniem.

Kierując się na blok A, przyspieszyłam w nadziei, że nikt mnie nie wezwie gdzieś indziej, zanim tam dotrę, ale już biegły ku mnie trzy pielęgniarki.

– Kod czerwony, blok D – zawołała jedna z nich.

Zrobiłam zwrot w tył i do nich dołączyłam.

Odezwał się znajomy lęk. Przypływ adrenaliny. Obawa przed tym, co będzie. Bieg przez korytarze, otwieranie i zamykanie mnóstwa zakratowanych bramek, niepokój, jaki to okropny widok na nas czeka.

Pielęgniarka idąca z przodu torowała nam drogę wśród więźniów kręcących się tu i tam – trwał czas wspólny. Rozpoznawałam już wiele twarzy, a niektórych znałam nawet po imieniu. Moje nazwisko, oczywiście, kojarzyli wszyscy. Dość łatwo było je zapamiętać.

– Cześć, pani doktor!

– Siemano, pani doktor!

Jeden po drugim mnie pozdrawiali, schodząc na bok, by zrobić miejsce.

– Fajne ma pani perfumy! – stwierdził jeden z więźniów, pociągając nosem.

Obejrzałam się przez ramię.

– Dzięki. To Escape od Calvina Kleina!

Grupka okupująca stół do snookera zarechotała.

– Escape? Ucieczka? Pani da trochę! – wrzasnął któryś.

Żarty na ten temat krążyły po całym Scrubs. Masa więźniów miała ubaw, kiedy słyszała tę nazwę. Plecy pielęgniarki, która pierwsza dotarła na miejsce, zasłoniły mi pacjenta siedzącego na kozetce. W pozbawionym wentylacji pokoiku wisiał nieokreślony, ale mdlący zapach. Mocno

chrząknęłam, aby powstrzymać odruch wymiotny. Siostra odeszła na prawo, a przed nami ukazał się prawdziwie szokujący widok.

Nagie ciało mężczyzny pokrywały poważne oparzenia. Z jaskrawoczerwonych torsu i rąk obłaziła skóra, a gdzieś z pęcherzy sączyła się wodnista ciecz, co wskazywało na głębokie poparzenie drugiego stopnia.

Więzień był po czterdziestce i nawet nie mrugnął, gdy pielęgniarka nakładała mu kolejny opatrunek hydrożelowy. Nic nie mówił, jedynie patrzył w przestrzeń szklistym wzrokiem. Był w szoku. Z bólu pobladł i się pocił.

Odciągnęłam jedną z pielęgniarek na bok.

– Wiemy, jak się nazywa?

Potrząsnęła głową przecząco.

– A wiadomo, jak to się stało?

Spojrzała na mnie. Takie porozumiewawcze spojrzenie widywałam już wielokrotnie i zawsze chodziło o kogoś, kto odbywał karę za przestępstwo seksualne.

– Napadli go całą bandą pod prysznicem. Oblali wrzątkiem z cukrem.

– O kurwa – szepnęłam bezgłośnie.

Jeśli chodzi o skutki dla skóry, wrzątek z cukrem działa jak kwas. Więźniowie używali go, bo powodował obrażenia o wiele boleśniesz i bardziej dotkliwe niż zwykły wrzątek. Cukier lepi się do skóry i tym sposobem przedłuża kontakt z gorącą wodą.

Mimo lat przepracowanych w więzieniach nadal nie potrafię się pogodzić z chorą brutalnością, której bywam świadkiem.

Ten człowiek miał tyle szczęścia, że wrzątek nie dotknął jego genitaliów, na co napastnicy niewątpliwie liczyli. Oparzenia na rękach wzięły się prawdopodobnie z tego, że próbował się osłaniać.

Do mnie należało zapisanie silnych środków przeciwbólowych, żeby pielęgniarki mogły mu je niezwłocznie podać. Bez recepty nie wolno było im aplikować niczego mocniejszego niż paracetamol i ibuprofen.

– Dzięki, pani doktor, teraz już sobie poradzimy – zapewniła mnie pielęgniarka, jak tylko przepisałam leki. – Karetka jest w drodze.

Ruszyłam w długą drogę powrotną na oddział opieki zdrowotnej. Przyszło mi do głowy, że może już nigdy nie zobaczę tego mężczyzny. Prawie na pewno przeniosą go do innego więzienia dla jego bezpieczeństwa. Mogłam mu tylko życzyć, żeby tam, dokąd trafi, więźniowie nie odkryli, za co go skazano.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Serce mi waliło, bo pracownicy ochrony przeszukiwali moją torbę. Chociaż wiedziałam, że nie mam powodu do obaw, takie losowe rewizje w Scrubs były nadspodziewanie krępujące.

Każdy członek personelu stawiający się tego dnia w pracy był kierowany w rejon więzienia, w którym zazwyczaj nie bywałam. Tam polecono nam przepuścić torby przez skaner, a potem ustawić je w szeregu, by przed ewentualnym przetrząśnięciem obwąchał je pies. Jeśli co do którejś zaistniały wątpliwości, właściciela odprowadzano na bok, a ją sprawdzano.

Zawartość mojej wyciągali sztuka po sztuce i wszystko układali na stole. Pudełko z lunchem, butelka wody, portfel z bilonem o wartości zaledwie kilku funtów – bo do więzienia nie wolno było wnosić większych sum. Oficer dowodzący rozpiął przednią kieszeń torby i zamarł. Zerknął na drugiego strażnika.

Co takiego znaleźli?

Oficer zmarszczył brew.

– I co my tu mamy?

– Co takiego? – zapytałam, ledwie wytrzymując to napięcie.

Wyjął paczuszkę gumy do żucia, w której zostały dwa listki, i położył ją na blacie.

Nachylił się do mnie.

– Pani wie, że nie powinna tego mieć?

Guma do żucia zaliczała się do rzeczy, których pod żadnym pozorem nie wolno wnosić na teren więzienia. Czułam się okropnie i strasznie się wstydziłam. Poza tym, trochę jak niesforna uczennica, obawiałam się, że za złamanie regulaminu stracę pracę.

Skuliłam się.

– Tak, wiem. Przepraszam.

Nie miałam pojęcia o tej gumie, bo tego dnia zabrałam inną torbę niż zwykle. Dzień wcześniej byłam w Londynie na szkoleniu na temat szkodliwego używania substancji psychoaktywnych i potem nie miałam czasu się przepakować.

Oficer ochrony przesunął gumę w stronę kolegi.

– Obawiam się, że musimy ją skonfiskować – oświadczył bardzo formalnym tonem.

– W porządku – odparłam, rumieniąc się ze wstydu.

Zabrałam swój lunch ze stołu i wrzuciłam do przydużej torby, po czym jak zwykle poszłam do siebie, zubożona o gumy.

Myślałam, że to już koniec tej sprawy, ale tuż przed przerwą na lunch wezwała mnie przełożona. Karen była śliczną blondynką, niewiarygodnie asertywną i bardzo dobrze się sprawdzającą na piastowanym przez nią stanowisku wicedyrektora Central London Common Health.

CLCH odpowiada za szereg różnych kontraktów, w tym także za zapewnienie opieki medycznej w Scrubs. Technicznie rzecz ujmując, byłam zatrudniona przez agencję jako pracownik tymczasowy. Karen lubiła mieć wszystko pod kontrolą i nie kupowała żadnej ściemy. Zaskoczyło mnie, że moja przygoda z gumą do żucia do niej dotarła. Czułam się jak na

dywaniku, gdy upominała mnie, jak potencjalnie groźne skutki mogłoby mieć moje zachowanie, gdyby guma trafiła w ręce więźnia.

Rozumiałam, że Karen jedynie wykonuje swoją robotę i że musi mieć pewność, iż każda z podlegających jej osób, bez wyjątków, rozumie regulamin i go przestrzega. Ją też przeprosiłam z nadzieją, że to ostatecznie położy kres całej historii, ale tuż po lunchu weszła do pokoju lekarskiego.

Od razu dopadły mnie złe przeczucia.

– Amando, może zajrzałaś do mnie – powiedziała, po czym na powrót zniknęła w swoim gabinecie, znajdującym się tuż obok.

Czy po raz kolejny coś zbroiłam? Mam poważne kłopoty? Nie chodziło chyba znów o te gumy? Te kilka kroków dzielących mnie od mojej przełożonej wystarczyło, żebym wpadła w panikę.

Zapukałam, zaczekałam na zachęające: „Proszę”, a potem weszłam do środka. Ku mojemu przerażeniu zobaczyłam, że obok Karen stoi naczelnik Frake. Miałam wrażenie, że żołądek jeszcze bardziej podjechał mi do gardła. Sprawa musiała być naprawdę poważna, skoro wezwano mnie przed szefową ochrony.

Chrząknęłam.

– Jeśli chodzi o tę gumę do żucia... – zaczęłam, ale zanim dokończyłam zdanie, naczelnik Frake dopadł gwałtowny atak kaszlu.

Wtedy do mnie dotarło, że znalazłam się tutaj nie dlatego, że mam problem. Zostałam wezwana, bo jestem lekarzem.

– Amando, mogłabyś zbadać Vanessę? Marnie się czuje.

– Oczywiście – potwierdziłam. – Tylko skoczę po stetoskop.

– Nie ma o co robić szumu – powiedziała między jednym kaszlnięciem a drugim naczelnik Frake. – Nie znoszę chodzić do lekarza.

Podejrzewałam, że w naturze naczelniczki nie leży branie zwolnień i że zapewne dopiero o włos od śmierci poprosiłaby o pomoc.

– To tylko lekki kaszel! – oświadczyła, zapluwając cały pokój. – Od lat choruję na astmę. – Wyglądała na tyle chorą, że nawet bez osłuchiwania jej mogłam stwierdzić niemal z pewnością, iż męczy ją paskudna infekcja.

Kobieta zdjęła czarną marynarkę, przewiesiła ją przez oparcie krzesła i podniosła koszulę na tyle, bym mogła osłuchać jej płuca. Cerę miała bladą, pokrytą kropelkami potu spowodowanego gorączką, a wyglądała na skrajnie wyczerpaną. Brakowało jej tchu i nawet kończenie zdań stanowiło dla niej wysiłek. Posłuchałam, jak oddycha. W jej obecności odczuwałam dziwne zdenerwowanie – była kimś niezwykłym, darzonym przeze mnie ogromnym szacunkiem.

– Proszę oddychać głęboko, ustami.

Oddech naczelniczce nie do końca wyszedł, bo przerodził się w napad kaszlu. W płucach zaczęło jej rzezić i świszczuć. Szczytowego przepływu powietrza nie byłam w stanie zbadać, bo nie miałam przy sobie miernika, ale wszelkie oznaki wskazywały na infekcyjne zaostrzenie astmy.

Wyjęłam z uszu słuchawki stetoskopu i zawiesiłam go sobie na szyi. Patrzyła na mnie, jakby wiedziała, o co zapytam.

– Pani pali?

Zarechotała.

– Niech pani mi tutaj pokaże kogoś, kto nie pali. Wiem, wiem, pani doktor, to zły nawyk, ale pozwala nie zwariować. Zresztą próbuję ograniczyć.

Lepiej ode mnie wiedziała, że powinna to rzucić.

Wypisałam jej prywatną receptę na antybiotyki oraz sterydy i ją jej podałam. Leki do inhalacji już miała. Pierwszy raz, odkąd pracowałam w Scrubs, naczelniczka obdarzyła mnie skąpym, ale jednak uśmiechem. Swoim grobowym głosem powiedziała: – Dzięk, pani doktor.

Poczułam się tak, jakby naczelniczka Frake mnie zaakceptowała i uznała za godną pracy w Scrubs, co zaskakująco mnie uszczęśliwiło. Wyczuwałam czasem istnienie przepaści dzielącej strażników więziennych i personel medyczny, jako że zakres naszych zadań tak bardzo się różnił, toteż słowa uznania od kogoś, przed kim czułam mores, wprawiły mnie w dobry nastrój.

– Vanesso, weźmiesz wolne na resztę dnia? – zapytała Karen.

Naczelnik Frake parsknęła śmiechem.

– Do zobaczenia, moje panie. Jeszcze raz dzięki, pani doktor. – Po tych słowach zniknęła za drzwiami. Bez wątpienia po to, by wrócić do patrolowania bloków, a nie z myślą o położeniu się do łóżka.

Po zbadaniu naczelniczki poszłam na izol, gdyż rano byłam zbyt zajęta, by tam dotrzeć. Kiedy tam przyszłam, przekonałam się, że na oddział wrócił fotel BOSS (skrót od Body Orifice Security Scanner). Ten wielki szary tron wyglądał na masywne krzesło elektryczne, ale w rzeczywistości był nad wyraz czułym wykrywaczem metalu, zaprojektowanym z myślą o wyłapywaniu szczególnego rodzaju przemytu.

– Kiedy podejrzewamy, że więzień chowa w dupie telefon lub jakąś broń, sadzamy go na BOSS-ie – wyjaśnił mi Ed niedługo po tym, jak zatrudniłam się w Scrubs. – Jeżeli fotel coś wykryje, to brzęczy, a z tyłu miga czerwona lampka. Czasem brzęczek wyłączamy i polegamy tylko na migaczu, żeby klient nie wyczał, że wiemy, że coś ukrywa! A potem musi siedzieć na izolu, aż to wysra.

Świat, w którym pracowałam, zdecydowanie nie był śliczny. Obchód izolu zwykle obfitował w naprzemienne ignorowanie mnie i obrzucanie przekleństwami. Jeśli miałam szczęście, do tej mieszanki dochodziła

jeszcze specyficznie okazywaa wdzięczność. Tego dnia to, na co szarpnął się jeden z więźniów, żeby mi podziękować, rozwaliło mnie na kawałki.

Ed, pilotujący mnie po piętrze, walił w drzwi cel, powiadamiając osadzonych, że jeśli czegoś potrzebują, jestem tu, by im pomóc.

Załomotał do kolejnej celi. Człowieka, który ją zajmował, znałam, bo przebywał na izolu od kilku tygodni. Miał pięćdziesiąt kilka lat, a na sumieniu agresywne czyny, ale wobec mnie zawsze zachowywał się dobrze. Podczas pobytu na izolu cierpiał na ataki nerwowe, ale robiłam, co w mojej mocy, żeby podtrzymać go na duchu, i przepisałam mu leki mogące pomóc.

– Przyszedł lekarz! – Ed uchylił klapkę wizjera, zajrzał do wnętrza, a gdy zyskał pewność, że więzień nie zachowuje się groźnie, uchylił drzwi.

Zatrzymaliśmy się na progu, wpatrując się w półmrok.

– Jak się dzisiaj czujesz? – zapytałam.

Tamten wszedł w krąg światła, padającego od drzwi. Był krępej budowy, łysy, skóra na karku marszczyła mu się w fałdy. Miał zakrzywiony nos, możliwe, że kilkukrotnie łamany, oraz zaskakująco jasne brwi. Lewą rękę niepewnie chował za plecami.

– Jest lepiej – oznajmił. – Tabletki bardzo pomogły.

– A z twoją lewą ręką wszystko w porządku?

Więzień uśmiechnął się nieśmiało, odsłaniając tylko koniuszki zębów. Wyciągnął przed siebie ukrywaną dotąd i zaciśniętą dłoń i unosząc kolejno palce, zaprezentował mi samochodzik wyścigowy, pięknie wyrzeźbiony w mydle.

– Pani doktor, zrobiłem go dla pani – oznajmił, podsuwając mi otwartą dłoń.

Było to bardzo wzruszające i aż nie chciało mi się wierzyć, że poświęcił czas na mozolne rzeźbienie kół, kierownicy, a nawet bocznych lusterek, w

marnie oświetlonej celi na izolu, i to dla mnie. To było miniaturowe arcydzieło.

– Jest naprawdę piękny. Dziękuję bardzo – powiedziałam. – Czym sobie na niego zasłużyłam?

– Tym, że była pani dobra i mnie nie osądzała – odparł.

Mocno odchrząknęłam, bo ścisnęło mnie w gardle.

Ostrożnie osłoniłam ten prezent dłońmi. Od pierwszej chwili wiedziałam, że to zawsze będzie dla mnie skarb. Zanim Ed zamknął drzwi, jeszcze raz mu podziękowałam.

Resztę piętra pokonałam uskrzydłona, rozmyślając o wszystkich ludziach poznanych podczas pracy w więzieniu – nie tylko o osadzonych, ale też o osobach, z którymi pracowałam i które mnie inspirowały. Większość z nich – i to znaczna – traktowała więźniów uczciwie i profesjonalnie, a swoją pracę wykonywała najlepiej, jak potrafiła. Czasami wymagało to surowości, często jednak wyraźnie dostrzegało się życzliwość i współczucie.

Sporadycznie trafiałam na kogoś zachowującego się nieprzyjaźnie i nieczule. Jeden z takich delikwentów był, jak ja, lekarzem kontraktowym i w Scrubs, na szczęście, przepracował jedynie około czterech miesięcy.

Człowiek ten był chamidłem, wyraźnie upajającym się władzą, którą dawało mu jego stanowisko. Więźniów jawnie nienawidził. Nie tylko ani trochę im nie współczuł, ale traktował ich z najgłębszą wzdą. Sam rzadko przepisywał środki przeciwbólowe, a do tego próbował blokować recepty innych lekarzy, nawet na tak pospolite leki jak paracetamol.

Więźniowie nienawidzili go, wielu strażników zaś żaliło się na jego arogancję. Wszystkich nas ogromnie ucieszyły wieści, że odszedł i nigdy już nie wróci.

Moje rozmyślenia przerwał Ed.

– Pani musi mieć w sobie coś szczególnego, pani doktor – stwierdził. –
Mnie nigdy nie dają takich prezentów.

Zamieszałam kawę, postukałam łyżeczką o krawędź kubka i odstawiłam go na biurko. Gdy upiłam łyk, gorący płyn poparzył mi usta, ale rozpaczliwie pragnęłam dawki kofeiny przed zejściem na obszar przyjęć.

Kiedy tam dotarłam, Haj oznajmił, że wszyscy nowo przybyli już weszli, a nikogo więcej dzisiaj się nie spodziewamy.

– Dużo ich? – zapytałam.

Skrzywił się.

– Obawiam się, że tak.

Zalogowałam się na swoim komputerze i przygotowałam psychicznie na kilka godzin przyjęć.

Jak zwykle punktualnie o dwudziestej wszyscy przenieśliśmy się do OPN, by tam kontynuować badanie nowych przybyszów.

Pierwszy człowiek, którego Haj wprowadził do mojego gabinetu, niczym się nie wyróżniał. Był wysoki i chudy, o spokojnym sposobie bycia. Miał na sobie cokolwiek nadzarty przez mole rybacki sweter o grubym splocie i ogólnie sprawiał wrażenie nieco zaniedbanego.

Wydawał się tak odprężony, że zastanowiło mnie, czy nie był wielokrotnym bywalcem więzień, co miało miejsce często, zwłaszcza w przypadku ludzi bezdomnych.

Przy jego nazwisku nie miałam żadnych adnotacji, a więc przestępstwo, które popełnił, według pielęgniarki nie zasługiwało na to, by mnie o nim uprzedzić.

Przystąpiłam do wypytywania go według listy: czy nałożono na niego areszt, czy też jest już po wyroku, czy miał na koncie samookaleczenia, jaki

jest stan jego zdrowia i tak dalej.

Jak podejrzewałam, Kai siedział już w więzieniach, ale jak dotąd nie w Scrubs. Odchylił się na krześle i ziewając, wyciągnął ręce za głowę. Jego twarz nic nie wyrażała, rozmowa ze mną zaś wyraźnie go nudziła.

– Leczył się pan psychiatrycznie? – kontynuowałam.

Podrapał się w skroń.

– Zdiagnozowano u mnie schizofrenię.

– Bierze pan na nią leki?

Przytaknął. Patrzył przed siebie szklanym wzrokiem, jakby miał za sobą tysiące takich rozmów.

– Aha. Depixol.

– I jak się pan po nim czuje? – zapytałam.

– Świetnie. Absolutnie świetnie. – Znowu ziewnął, osłaniając usta dłonią.

Udawał apatycznego? A może po prostu starał się pozorować spokój? Czy była to oznaka czegoś więcej?

Schizofrenia, wbrew temu, co często sugerują programy telewizyjne lub filmy, to nie przypadek pacjenta uważającego siebie za dwie różne osoby. Ta choroba psychiczna jest o wiele bardziej złożona i ma różnorakie potencjalne objawy, w tym omamy wzrokowe i słuchowe oraz narastające oderwanie od rzeczywistości.

W zapanowaniu nad tą chorobą pomagają leki antypsychotyczne, niekiedy też wymagane jest podawanie ich kombinacji. Pacjenci zwykle znajdują się pod opieką psychiatry, a dopóki biorą lekarstwa, ich stan pozostaje stabilny.

Uzupełniałam notatki, a Kai wędrował wzrokiem po gabinecie.

– Na jak długo pana skazano? – spytałam.

– Na dwanaście tygodni.

– To nie tak źle.

Zaśmiał się bez przekonania.

Moje początkowe obawy o jego zachowanie wydały się nieuzasadnione. Wyglądało na to, że leki na niego dobrze działają, współpracuje ze mną i odpowiada na pytania. Pozostało mi tylko zapisać lekarstwo i skierować go do psychiatry. Tyle że gdy kończyłam uzupełnianie dokumentacji, czułam na sobie jego wzrok. Zaczęło to budzić mój niepokój.

Nagle zerwał się z krzesła i zaczął walić głową o ścianę! Raz po raz, z impetem, tłukł nią w cegły, aż cały gabinet wypełnił się straszliwym odgłosem uderzeń czaszką o mur.

– Przestań! – wrzasnęłam.

Nie miał zamiaru. Uderzał głową znów i znów, mrużąc oczy i zaciskając zęby. Wpatrzony we mnie, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Czy zamierzał przenieść swój gniew na mnie?

Uderzyłam dłonią w przycisk alarmu po lewej stronie biurka. Chwilę później do gabinetu wtargnęło co najmniej dziesięciu strażników więziennych. Usiłował się przed nimi bronić – kopiąc, gryząc, boksując.

W końcu zmusili go do położenia się na podłodze i skuli mu ręce za plecami. Dźwignęli w górę i wynieśli. Wił się i szarpał w ich rękach, a jego krzyki niosły się echem po korytarzu. Najpierw zabrano go do celi, a nieco później, tego samego wieczoru, po opatrzeniu głowy został przyjęty na obserwację na oddziale opieki zdrowotnej.

– Pani doktor, nic pani nie jest? – Terry natychmiast się przy mnie znalazł.

Zatroskany dotknął mojego ramienia.

Krew przez chwilę tak głośno tętniła mi w uszach, że nie bardzo słyszałam, co mówi.

– Pani doktor? Pani doktor? Dobrze się pani czuje?

Potrząsnęłam głową, starając się skupić wzrok.

Nagle się zawstydziałam. To nie w moim stylu wołać o pomoc.

– Przepraszam, że narobiłam zamieszania! – powiedziałam, udając, że mnie to nie ruszyło.

– To nic złego się przestraszyć – zapewnił mnie Terry. – Postąpiła pani właściwie. Mógł się na panią rzucić.

To prawda i bardzo się tego bałam, ale zadziałałam też ze względu na bezpieczeństwo więźnia. Tak mocno bił głową w ścianę, że obawiałam się, iż uszkodzi sobie czaszkę.

Z ulgą się z tego otrząsnęłam. Otaczający mnie system wsparcia sprawdził się w ciągu sekund; wspólnie działaliśmy na rzecz tego, by wszyscy pozostali bezpieczni. Mimo to, chociaż lubiłam widzieć w sobie twardzielkę, po raz pierwszy od podjęcia pracy w więziennictwie poczułam strach. Prawdziwy strach. Strach o życie.

Kiedy kończyłam uzupełniać notatki na temat Kaia, palce mi drżały. Zajrzał Haj, by sprawdzić, czy doszłam do siebie.

Doszłam. Sprawa była zamknięta, a praca trwała dalej. Na badanie czekało jeszcze wielu ludzi. W tej robocie liczyło się nie to, jak bardzo się boisz, ale ile jeszcze trzeba zrobić.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

David, gdyby go zapytać, przyznałby, że mój język zszedł na psy. Trudno nie zacząć przeklinać, jeżeli słyszy się tyle wulgaryzmów, co ja w Scrubs. Na szczęście mąż jest bardzo wyrozumiały, uznał nawet, że nie skomentuje wiązki epitetów, którą puściłam w stronę damy w aston martinie za nami, niecierpliwie trąbiącej, bym się włączyła w ruch uliczny.

– Głęboki oddech – poradził za to ze swoją miękką intonacją z Yorkshire.

We mnie narastało nieprzejednanie wobec mieszkańców mojego bogatego sąsiedztwa oraz, choć to może dziwne, życzliwe nastawienie do więźniów, z którymi miałam styczność. Ludzie będący pod moją opieką w zakładzie karnym wydawali się prawdziwsi. Ich życie, trudności, z którymi się mierzyli, ich niesamowite historie – wszystko to było o wiele ciekawsze od pogaduszek, w jakich kiedyś uczestniczyłam przy okazji lokalnych zakrapianych imprezek.

Następnego dnia, pod koniec zmiany w Ośrodku Pierwszego Noclegu, język i nastrój miałam nadal równie paskudne. Na tym etapie nie potrafiłam już zliczyć wieczorów spędzonych na przyjmowaniu przybyłych do Scrubs.

Po takim czasie dałabym radę pracować na tym programie komputerowym z zamkniętymi oczami, pomyślałam, patrząc złym okiem na monitor, gdyż system się zawiesił.

– Do kurwy nędzy! – syknęłam na komputer.

Zawstydzona, spojrzałam zaraz na siedzącego naprzeciw mnie więźnia.

– Przepraszam!

– Niby za co? – odparł. Był to bezdomny, któremu zostało tylko kilka przednich zębów. – Ma mnie obchodzić, że pani przeklina?

Widywałam go już niejedyn raz i zawsze okazywał się cichym, pocziwym człowiekiem. Prawie się przyjaźniliśmy. Mimo to zaskoczyło mnie, gdy wyznał: – Dobrze panią znów widzieć, pani doktor Brown. Jakby w sraczu napotkało się anioła.

Nie mogłam się nie zaśmiać, na co on odpowiedział uśmiechem. Był to chyba jeden z najmiłszych komplementów, jakie kiedykolwiek otrzymałam!

– Dzięki, stary – powiedziałam.

Kiedy do gabinetu wszedł kolejny więzień, na mojej twarzy wciąż jeszcze malował się uśmiech. Zniknął momentalnie, gdy zobaczyłam, z kim będę miała do czynienia.

Mężczyzna wpatrywał się we mnie lodowato. Dłonie wepchnął głęboko w kieszenie dżinsów, usta wykrzywił w szyderczym uśmieszku.

Przeszedł mnie dreszcz. Po Kaiu trochę bardziej nerwowo reagowałam na więźniów budzących grozę lub onieśmienie.

Uśmiechnęłam się, próbując rozładować napięcie.

– Może pan usiądzie? – Wskazałam krzesło po drugiej stronie biurka.

Był ogolony do skóry, a tatuaże włąziły mu na szyję. Rękawy, podwinięte do łokci, ujawniały, że takich ozdób jest dużo więcej. Lat miał prawdopodobnie trzydzieści kilka. Biały. Średniego wzrostu i budowy.

Czułam się coraz bardziej nieswojo, ale starałam się udawać odprężoną. Opadł na krzesło. Założył ręce na piersiach, piorunując mnie wzrokiem, z którego niechęć niemal aż biła. Z notatek wykonanych przez pielęgniarki

wiedziałam, że na imię mu Ian, a jedyne, co trzeba mu przepisać, to leki inhalacyjne na astmę.

Zaczęłam przepisywać medykamenty i przeszłam przez całą resztę rutynowych pytań. Nauczyłam się już, że więźniowie okazywaniem złości często maskują urazę. Jak zawsze wołałam zrozumieć, a nie poprzestawać na strachu, a także zaoferować nie tylko wypisanie recepty, ale i inną pomoc.

Zapytałam Iana o sieć wsparcia. Czy ma na zewnątrz kogoś, komu na nim zależy?

– Mam dziewczynę. I dzieciaka – odpowiedział bez emocji.

– Ile lat ma twoje dziecko?

– Trzy. Nazywa się Mia.

Zaczynał czuć się swobodniej, z jego czoła zniknął mars.

– Na pewno za nimi tęsknisz?

– No, wszystkim nam jest trudno, kiedy siedzę.

– Przyjadą cię odwiedzić? Na jak długo tu jesteś?

– Na pięć miesięcy. – Na myśl o partnerce i Mii pojawił się u niego cień uśmiechu. – Obiecały, więc mam nadzieję.

Czułam ulgę, bo powoli się odprężył i otwierał przede mną.

Zajrzałam do swoich notatek.

– Zawsze mieszkałeś w Acton?

– Nie, wychowałem się w Sunderland. W domu dziecka.

– To przykre. Znasz w ogóle swoich rodziców?

Ian rozłożył ręce i gwałtownym gestem otarł oczy.

– Moją prawdziwą mamę. Niedawno się odezwała. Pierwszy raz.

Mimo że praktycznie nie znałam tego człowieka, ogarnęła mnie radość.

– A więc się zobaczycie?

Kopnął tenisówką nogę biurka.

– Nie, nie jestem zainteresowany. Nie mam zamiaru się z nią widzieć.

Zaczął go uwierać krzesło. Widać było, że czuje się coraz bardziej niezręcznie, i z tego powodu coraz bardziej mu współczułam.

– Jaka szkoda. Dlaczego tak do tego podchodzisz?

Zapadło krępujące milczenie. Patrzył w podłogę i gryzł się z myślami.

W końcu podniósł na mnie wzrok. Oczy wypełniał mu smutek.

– Bo się boję, że znów mnie odrzuci.

Robiło się późno, a ja byłam wyczerpana. Historia Iana mnie poruszyła.

Niespodziewanie owładnęło mną poczucie utraty czegoś, smutku i bezsilności. Czułam wręcz, że to we mnie wzbiera. Nie mogłam uwolnić się od myśli, jak byłoby okropnie, gdybym nie miała już nigdy ujrzeć moich synów. Sercem byłam teraz z matką Iana. Bóg jeden wiedział, co przed laty skłoniło ją do wyrzeczenia się dziecka. Z jakiegoś powodu i jej chciałam pomóc, tak samo jak Ianowi.

Przypomniał mi się Jared z więzienia Huntercombe. On także dorastał w domu dziecka i możliwe, że też tęsknił za kontaktem z mamą.

Ian miał przed sobą cudowną okazję do zaleczenia ran z przeszłości. Nie byłam aż tak naiwna, by sądzić, że gdy spotka się z mamą, będą już tylko cud, miód i orzeszki; ona przecież mogła mieć swoje problemy. Widziałam jednak, jak bardzo go to boli i że mocno pragnie uzyskania odpowiedzi na pytania dręczące go może od lat.

Ostrożnie zasugerowałam: – Jako że też jestem matką, stawiałabym na to, że ona prawdopodobnie też niecierpliwie czeka, aż się odezwiesz. Może więc warto zaryzykować odtrącenie?

Moje emocje w końcu wyrwały się spod kontroli i w oczach zebrały mi się ciche łzy. Ian musiał dostrzec tę moc matczynej miłości, bo chyba i w nim coś się przestawiło. Ten młody człowiek, na pierwszy rzut oka tak

przerazający i gniewny, wyczuł mój smutek i role jakby się odwróciły, bo wyciągnął rękę, żeby mnie pocieszyć.

Uściskał mnie mocno, serdecznie.

Otarłam oczy. Jego twarz wydawała się ciepła i przyglądał mi się z czułością. Nie powiedział słowa więcej, tylko odwrócił się do wyjścia, ale byłam pewna, że w głowie kotłuje mu się teraz masa sprzecznych myśli oraz uczuć.

– Ian – zatrzymałam go przy drzwiach. – Powodzenia we wszystkim.

Wszelkie ślady agresji wyparowały. Obdarzył mnie pięknym uśmiechem.

Kiedy kończyłam rozmowę z Ianem, była godzina dwudziesta druga, pora na powrót do domu. Razem z Hajem wyszliśmy z OPN, pokonaliśmy korytarz na czwartym piętrze bloku B, a potem niekończące się metalowe schody wiodące do wyjścia. Przechodzenie przez bramki zawsze szło szybciej w dwie osoby.

Haj musiał jeszcze pójść po coś do szafki, toteż dalej ruszyłam sama, wzdłuż na pozór bezkresnych rzędów okienek na czterech piętrach bloku B, w stronę głównej bramy. Po lewej miałam wspaniałą kaplicę.

Czasami więźniowie wołali: „Dobranoc, pani doktor”, „Dobrej nocy, pszepani”, niekiedy też „Z Bogiem”.

Właściwie nigdy się nie dowiedziałam, z którego okna płynęły te ostatnie życzenia, ale zawsze rozpały we mnie mały płomyk szczęścia i wzmacniały moje poczucie przynależności do tego miejsca.

Niestety, tego wieczoru nie padły. Czułam na ramionach ciężar całego dnia.

Ciaśniej owinęłam się płaszczem, bo wiatr był tak zimny, że aż kąsał. Kiedy mijałam kilka ostatnich cel izolu, na samym końcu bloku B czyjś

gruby głos ryknął: – Spieprzaj na chatę, stara pizdo. Oby cię po drodze autobus rozjechał.

Nie podniosłam wzroku. Poszłam dalej.

Byłam niemal zbyt zmęczona, by mnie to obeszło, a do tego wypruta z emocji. Miałam za sobą ciężki dzień i marzyłam o powrocie do domu – mimo to te krzywdzące słowa więźnia nie chciały wyjść mi z głowy.

Niedługo miałam zostawić za sobą ten monumentalny budynek i znaleźć się przy bramie. Wychodząc poza mury więzienia, z dala od tych niekończących się rzędów okien, zza których śledzą człowieka nie wiadomo czyje oczy, zawsze doświadczało się ulgi.

Prawie na porządku dziennym było obrzucanie przechodzących, czym popadło. Jedna z pielęgniarek oberwała pomarańczą, pewnego lekarza obsypano curry.

Dla więźniów była to bez wątpienia dobra rozrywka, gorzej, że towarzyszyła jej nasza obawa przed bezpośrednim trafieniem tym czy owym.

Mnie omal to nie spotkało jeden jedyny raz, kiedy przechodziłam z jedną z pielęgniarek pod blokiem C i ktoś cisnął w nas wodą – bo wolałyśmy wierzyć, że to była woda, a nie mocz! Przyspieszyłyśmy kroku, nie mając odwagi spojrzeć w górę.

Tego wieczoru nie miałam nastroju na grę w uskakiwanie. Wieczorne powietrze było zimne i wilgotne. Gdy wpatrywałam się w złowrogie mury, para z moich ust ulatywała w niebo. Jeszcze jedna brama i znalazłam się na dziedzińcu dochodzącym do wartowni.

Wręczyłam klucze oficerowi dyżurnemu, przypięłam numerek do łańcuszka i życzyłam strażnikowi dobrej nocy.

– Do jutra, pani doktor – odpowiedział, a jego głos zanikał, bo za mną już zamykały się solidne żelazne wrota.

Zacisnęłam powieki i głęboko nabrałam powietrza. Przez chwilę przytrzymałam to zimno w płucach, a potem je z siebie wydmuchnęłam wraz z całym łajnem dzisiejszego dnia.

Upchnęłam poduszki za plecami, podniosłam kubek słabej herbaty i napiłam się, rozkoszując się cudownym odprężeniem, jakie dawało mi siedzenie w łóżku.

David już odpłynął w sen u mojego boku.

Ja, po swojej stronie łóżka, otworzyłam książkę, w nadziei że kilka ostatnich stron rozdziału ukołyszże mnie do snu. Poskutkowało. Oczy szybko się zmęczyły. Na oślep zgasłam nocną lampkę i ułożyłam się wygodnie. Mój organizm mnie jednak zdradził. Około drugiej w nocy obudziłam się gwałtownie i pomimo nocnej ciszy mój mózg nie chciał się uspokoić.

Przyszli mi na myśl więźniowie na izolu, wpatrujący się w sufit. Nic innego nie widywali, więc dni i noce musiały ciągnąć się tam jak wieczność.

Desperacko pragnęłam zasnąć, ale chociaż byłam strasznie zmęczona, a wstać musiałam o czwartej trzydzieści, sen nie nadchodził. Kiedy wierciłam się w pościeli, wszystkie moje problemy wracały zwielokrotnione. Zaczęłam pytać siebie, co robię ze swoim życiem. Dlaczego pracuję tak ciężko, skoro ktoś, komu mam pomóc, życzy mi śmierci? Czy w życie któregośkolwiek z tych więźniów wniosłam coś dobrego, czy to wszystko jest tylko stratą czasu?

Niechętnie myślałam o odejściu stamtąd, ale równocześnie zastanawiałam się, czy nie nadeszła już pora.

David poruszył się i przewrócił na bok. Pozazdrościłam mu, że śpi tak spokojnie. Gdybym nie czuła się tak obolała, zesłabym na dół, do gabinetu, i przelałabym całą swoją złość w linijki komputerowego tekstu – chociaż nauczyłam się nieco ostrożniej podchodzić do takiego wyrażania emocji; ostatnim razem właśnie dzięki niemu trafiłam na okładkę magazynu.

Zamiast tego przetoczyłam się na bok i w końcu udało mi się odpłynąć w sen. Kiedy się obudziłam mniej więcej godzinę później, czułam się zaskakująco rześko.

Kładłam się z myślą, że nic nie jestem warta, i oto zbudziłam się zdeterminowana, by nie dać się złamać żadnymi bolesnymi słowami nieznannej mi osoby.

Cicho zamknęłam za sobą drzwi wejściowe, żeby nie budzić rodziny, i w mroźnym porannym powietrzu ruszyłam zwawo do samochodu. Zapaliłam silnik, włączyłam ogrzewanie i obserwowałam w lusterku wstecznym, jak wyziewy z rury wydechowej unoszą się w powietrze. Czułam się zadziwiająco spokojna i pozytywnie nastawiona. Podczas czterdziestominutowej podróży do Londynu miałam mnóstwo czasu na przygotowanie tego, co powiem, oraz na namierzenie celi, z której najprawdopodobniej wyszła tamta obelga.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Pewnym krokiem podeszłam do drzwi i dałam głową znak Edowi, żeby zaczynał.

Łup! Łup!

– Przyszedł lekarz! – oznajmił.

– Niezainteresowany – padło w odpowiedzi.

Bez dwóch zdań, to zdecydowanie był on. Nieprzyjemny ton. Ten sam tubalny głos, chrapliwy przez papierosy. Tak podejrzewałam, bo tamten krzyk dobiegł z tego końca, a jego odpowiedź w pełni to potwierdziła. Delikwent był potężny, ubranie go opinało, a prycza pod nim zatrzeszczała. Dostał dożywocie za morderstwo i czekał na przeniesienie do więzienia kategorii A. Umieszczono go na izolu, gdyż został uznany za zbyt groźnego, by trzymać go gdzieś indziej.

Kilkukrotnie już się widzieliśmy i zawsze był wobec mnie względnie uprzejmy, toteż tamto sypnięcie bluzgami podwójnie mnie zabolowało.

Ed przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

Spiorunowałam więźnia wzrokiem.

– Dlaczego zeszłego wieczoru życzyłeś mi, żebym wpadła pod autobus?

– zapytałam.

Wytrzymałam jego spojrzenie, nie odwracając oczu, zdecydowana, że nie dam się zastraszyć. W każdym razie nie stawiał się, mina momentalnie mu zrzędała, a słownictwo złagodniało.

– To była pani? – wymamrotał. – Ja przepraszam, pani doktor, nie wiedziałem. Jak się ktoś napatoczy, to w nocy tak wrzeszczę, żeby zabić nudę.

Wyglądał na zawstydzonego i nieco ogłupiałego.

– No, to naprawdę zabolalo, ale dzięki za przeprosiny – powiedziałam, czując w duchu wielką dumę z tego, że się postawiłam. Przypomniała mi się rada, którą otrzymałam, gdy zaczynałam pracę w Scrubs: chodzić pewnie, okazywać władzę. Tu chodziło o to samo: nie pozwolić więźniowi, by po mnie jeździł.

Lekko złagodniałam.

– Skoro już tu jestem, potrzebujesz czegoś ode mnie?

– Nie, dzięki – odpowiedział, wciąż gapiąc się w podłogę, wyraźnie skrepowany.

– Dobra, no to do jutra.

Ed zatrzasnął drzwi celi.

– Lepiej się pani czuje? – zapytał.

– O wiele! – przyznałam, szeroko uśmiechnięta.

Pięć lat w Scrubs może i doprowadzało mnie czasem do ostateczności, ale też uczyło mnie wyrażać własne zdanie. Nabywałam pewności siebie i asertywności.

Na pewno jednak nie uodporniłam się na widok bólu i cierpienia. Wątpliwe zresztą, czy miało to kiedykolwiek nastąpić. Choćbym uważała siebie za nie wiadomo jak silną, w konfrontacji z nimi nie zdołałabym w pełni zapanować nad emocjami. Nie sądzę też, by kiedykolwiek ogarnęła mnie większa litość niż pewnego mroźnego zimowego wieczoru na

obszarze przyjęć. Właśnie zamykałam swoje sprawy, żeby przejść na górę do OPN, gdy w drzwiach pojawiła się głowa Haja. Po jego minie było widać, że coś go niepokoi.

– Mam tu dla pani jeszcze jednego, pani doktor. – Wszedł do gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Zniżył głos. – Najwyraźniej doznał licznych obrażeń w wyniku skoku z okna na trzecim piętrze bloku mieszkalnego.

Próbował uciec policji. Jest na wózku i właśnie wypisali go ze szpitala, łatwiej więc będzie zbadać go tu, na dole.

– Okej – odparłam, ponownie włączając komputer i wpisując hasło.

Właśnie wpatrywałam się w ekran, gdy Haj wrócił, pchając człowieka na wózku inwalidzkim.

Odwróciłam się, a obrażenia przewiezonego okazały się, o zgrozo, znacznie gorsze, niż się spodziewałam. Amputowano mu obie nogi. Pozostały po nich jedynie dwa krótkie kikuty.

Więzień miał trzydzieści kilka lat i paraliżował go strach. Oczy mu się rozszerzyły, a ręce drżały. Na jego twarzy malował się paniczny lęk. Miałam ochotę przytulić go i pocieszyć. Tyle że mnie nie rozumiał, bo ani w ząb nie znał angielskiego.

Mimo to próbowałam, w nadziei, że dźwięk mojego głosu i uśmiech go ukoją.

– Nie musisz się bać – powiedziałam.

Przyjrzałam się jego kikutom, owiniętym bandażami po niedawnej operacji. Obrażenia musiały być skrajnie poważne, skoro nogi amputowano tuż poniżej poziomu bioder. W wyniku wypadku kości pewnie połamały się na kawałki.

Całe jego życie stanęło na głowie. Nie dość, że właśnie odarto go z wolności, to jeszcze musi się godzić z utratą obu nóg. W głowie mi się nie mieściło, jak wielkie odczuwa przerażenie, zamknięty w ogromnym,

przytłaczającym więzieniu, nierozumiejący ani słowa z tego, co się do niego mówi, i bez szans na opowiedzenie innym o swoim bólu. Samo godzenie się z prawdą o straszliwych obrażeniach każdego mogłoby zdruzgotać.

Normalnie zadzwoniłabym na Language Line po tłumacza ale brakowało na to czasu. Była już dwudziesta i strażnicy oraz reszta nowo przybyłych przenosili się do OPN.

Dopiero rano, dzięki wsparciu służb translatorskich, poznam ze szczegółami historię tego człowieka. Przed nadejściem nocy powinnam tylko zadbać o to, żeby był bezpieczny, nie cierpiał z bólu i miał pod ręką kogoś mogącego mu pomóc w zaspokojeniu potrzeb fizycznych, choćby korzystania z toalety i opuszczania łóżka oraz powrotu do niego. Zdecydowanie należało mu się miejsce w celi dla osób niepełnosprawnych, ale obawiałam się, że żadna nie będzie wolna, gdyż mieliśmy ich tylko kilka. Zadzwoniłam na oddział opieki zdrowotnej, jednak, co nietypowe, nikt nie odebrał telefonu.

Niepokoiliam się coraz bardziej, ponieważ na całym, mrocznym teraz i brudnym obszarze przyjęć zostaliśmy, poza jednym strażnikiem, tylko Haj, ja i ten nowo przyjęty. Poprosiłam Haja, żeby postarał się skontaktować z dyżurnym naczelnikiem, a sama w międzyczasie wypisałam receptę na te same silne środki przeciwbólowe, które podawano mu w szpitalu. Zwykle nie przepisuję analgetyków opioidowych, gdyż bywają silnie uzależniające, a do tego w więzieniu mogą służyć za „walutę”, ale okoliczności były szczególne.

Temu człowiekowi najpewniej przyjdzie jeszcze niemało przez jakiś czas wycierpieć. Siedział teraz w ciszy na wózku inwalidzkim, wpatrzony w przestrzeń. Miałam chęć odezwać się do niego i wyrwać go z tego transu,

wiedziała jednak, że nie ma na to szans. Usłyszałam odgłos kroków, a potem w drzwiach gabinetu zamajaczyła czyjaś sylwetka.

– Doktor Brown.

Lakierek.

Podniosłam się.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Musimy coś omówić.

Naczelnik skinął głową.

– Słucham – zachęcił.

– Byłby pan łaskaw? – Dałam mu do zrozumienia, że tę rozmowę wolałabym kontynuować poza zasięgiem uszu więźnia. Zapewne nie rozumiałby, o czym mówimy, ale choćby szacunek dla niego sprawiał, że niezręcznie bym się czuła, omawiając potrzeby tego człowieka w jego obecności.

Strażnik pilnujący drzwi wszedł do środka, a my z Lakierkiem przeszliśmy na koniec korytarza. Byłam zła i zrozpaczona, że tego osadzonego szpital wysłał do nas o tak późnej porze, a do tego bez uprzedzenia, które umożliwiłoby nam przygotowanie odpowiedniej celi.

Jego operacja niewątpliwie była sprawą zbyt świeżą, by dało się przystąpić do dopasowywania protez, potrzebowałyby więc asysty przy wszelkich codziennych czynnościach. Wyjaśniłam Lakierkowi, że oddział opieki zdrowotnej nie odpowiada na moje próby kontaktu i że jego pomoc jako naczelnika zapewni więźniowi miejsce we właściwej dla niego celi.

Lakierek palcem wskazującym i kciukiem potarł oczy. Widocznie jak ja miał za sobą wyczerpujący dzień. Głęboko westchnął.

– Zdecydowanie musimy znaleźć mu celę dla niepełnosprawnego. Coś wyszukam. Jakoś.

Widział, jak mój niepokój narasta.

– Doktor Brown – powiedział – nie powinna pani tak tego przeżywać.

Odpowiedziałam jedynymi słowami, które przysły mi wtedy do głowy i którym po dziś dzień jestem wierna.

– Dzień, w którym zatracę zdolność współczucia, będzie dniem, w którym pożegnam się z pracą. Obawiam się, że przeżywać będę zawsze.

Lekko się uśmiechnął, wiedziałam więc, że rozumiał. Oczywiście, jako kierujący więzieniem miał do tego właściwe podejście. Ci ludzie byli przestępcami i ponosili karę za swoje czyny, a on nie mógł sobie pozwolić na uczuciowość. Rozumiałam to. Tyle tylko, że ja nie potrafiłabym się taka stać. Gdyby to nastąpiło, zatraciłabym to, kim jestem.

Lakierek skontaktował się z oddziałem opieki zdrowotnej i zarządził zorganizowanie odpowiedniej celi. Haj i strażnik odwieźli osadzonego.

– Niech pani da znać, gdyby czegoś jeszcze potrzebowała – powiedział Lakierek. Spojrzał na zegarek, a wyraz jego twarzy uległ zmianie. Myślami był gdzieś indziej – bez wątpienia rozwiązywał już kolejny problem, dotyczący innej części więzienia.

Wreszcie zostałam sama w mrocznym i ponurym gabinecie, chyba że liczyć obecność myszki, która właśnie przez niego przemknęła. Wyczerpana i osłabiona nadmiarem smutku usiadłam, ukryłam twarz w dłoniach i płakałam bez końca. Przez tych wszystkich ludzi, przez te wszystkie niedole, a szczególnie przez tragedię tamtego poznanego dziś młodego człowieka.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wezwanie do próby samobójczej nie było, niestety, niczym niezwykłym. Ogłoszenia kodu niebieskiego bał się każdy. Pędząc długimi korytarzami na blok C, nie miałam pojęcia, czy nie dotrę za późno. W to samo miejsce zmierzali zbiegający się z różnych stron strażnicy i personel pielęgniarstwa.

Co roku uczestniczyłam w szkoleniach odświeżających z zakresu natychmiastowej pomocy w stanach zagrożenia życia, ponieważ w więzieniach ta wiedza potrzebna była na co dzień, i zawsze bardzo sobie chwaliłam te cykliczne aktualizacje.

Tłumek na piętrze pod celą nie był jeszcze zbyt liczny, założyłam więc, że tego nieszczęśnika dopiero co znaleziono.

Kiedy dobiegłam tam bez tchu, z ulgą odkryłam, że nieznany mi jeszcze lekarz zajmował się uciskaniem klatki piersiowej. Spojrzał na mnie spod opadających mu na czoło ciemnych włosów, teraz sklejonych potem.

Resuscytacja krążeniowo-oddechowa wymaga solidnego wysiłku, dlatego zwykle przestrzega się tego, by się przy niej zmieniać.

– Dzięki Bogu, że pani tu jest – powiedział.

Klęknęłam, gotowa przejąć czynność. Cela wydawała się mniejsza od innych, ale prawdopodobnie było to złudne wrażenie. Młody lekarz musiał

obejść leżącego, żeby przedostać się do przykucniętego pielęgniarza, który podawał więźniowi tlen za pośrednictwem worka samorozprężalnego.

Pielęgniarz podniósł się i wycofał w stronę drzwi.

– Nie sterczcie tam – zarządził młody lekarz. – Zasłaniacie cholerne światło.

W takich sytuacjach nerwy napinały się jak struny, ale to nie powód, by odnosić się do innych grubiańsko. Zateęskniłam za kolegą Zaidem i naszymi przerwami na lunch połączonymi z oglądaniem sznurów. Miał po uszy rozgrywek pomiędzy oddziałami ochrony i opieki zdrowotnej. Sfrustrowany trudnościami z dowożeniem pacjentów na wizyty w szpitalu, rzucił pracę w Scrubs, czym bardzo mnie zasmucił.

Zaida nie poniosłyby nerwy, pomyślałam sobie, krzyżując dłonie i rozpoczynając masaż serca.

Raz, dwa, trzy...

Ciekawiło mnie, czemu ten człowiek próbował się powiesić.

Cztery, pięć, sześć...

Był biały, na moje oko grubo po pięćdziesiątce. Jego szyję opasywał krąg wściekle czerwonych śladów po zadziergnięciu.

Siedem, osiem, dziewięć...

– Jak długo jest w takim stanie? – zapytałam.

Nowy lekarz się skrzywił.

– Ponad pięć minut.

– Och! – prychnęłam między jednym uciśnięciem a drugim, zaniepokojona przedłużającym się niedoborem tlenu. Pompowałam i liczyłam. Co trzydzieści uciśnień lekarz podawał resuscytowanemu dwie porcje tlenu z worka. Na szczęście bardzo szybko dotarło do nas wsparcie z defibrylatorem i do torsu osadzonego przyczepiono elektrody. Strażnik już wcześniej rozerwał mu koszulkę, żeby ułatwić nam dostęp.

Mechaniczny głos urządzenia informował:

– Konieczne wyładowanie.

Przygotowanie do wyładowania.

Wyładowanie.

– Odsuń się! – krzyknął nowy lekarz. Cofnęłam się szybko, a metalowa rama pryczy wpiła mi się w plecy. Lekarz wcisnął przycisk defibrylacji, a ciałem więźnia targnął wstrząs. Serce waliło mi jak szalone, ale kontynuowaliśmy nasze próby resuscytacji, dopóki – chwała Bogu – nie przybiegli ratownicy.

Do tego czasu pojawiło się też kilku strażników i jeszcze dwie pielęgniarki, w tym Sylvie. Kiedy ratownicy znosili więźnia do karetki, w celi panowało głucho milczenie, bo tego wymagało przetrwanie ostatnich dziesięciu dramatycznych minut. Przepęłniało nas poczucie ulgi, że udało nam się utrzymać go przy życiu.

Podniosłam się, by przywrócić krążenie w nogach, i podeszłam do Sylvie, opierającej się o poręcz. Dołączyłam do niej, dając przedramionom odpocząć na metalu. Zerknęła na mnie ze zrozumieniem, nie mówiąc słowa.

Najgorszego wprawdzie nie widziała, ale nie musiała. Wszyscy tu wiedzieliśmy, jak to jest być wezwanym do próby samobójczej. Kiedy się w końcu odezwała, jej słowa były dla moich uszu jak muzyka.

– Herbatka?

– Z rozkoszą – odparłam natychmiast.

Zanim powlokłyśmy się do pokoju pielęgniarek, odwróciłam się jeszcze do jednego z najbliższych strażników.

– Wiadomo, kto to jest albo cokolwiek o nim?

Pokręcił głową.

– Wiem tylko, że niedawno skazano go na dwanaście lat.

Pomyślałam, że niedoszły samobójca właśnie pokazał nam, jak to przyjął. Na ile czuł się zdolny do wytrzymania w Scrubs takiego szmatu czasu. Wracaliśmy z Sylvie w milczeniu, obie pogrążone w myślach.

Zastanawiałam się, co można czuć, kiedy człowiek dowiaduje się, że spędzi w więzieniu całe lata, i jak bardzo zdesperowany musiał być ten więzień – którego żadne z nas nie znało – żeby próbować uciec w jedyny dostępny mu sposób.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tęskniłam za spacerem po polach za moim domem. Odczuwałam ogromną potrzebę kontaktu z naturą, zdolnego oddalić brutalność minionych miesięcy i przenieść mnie w spokojne miejsce, hen, z dala od agresji i zgiełku.

Spacerowanie było dla mnie jak terapia. Potrzebowałam tego, by nie dręczyły mnie wszystkie te bolesne sprawy, które codziennie widywałam.

Praca w więzieniu bywała ponura, dołująca i wyczerpująca. Kontakt z urodą świata stał się dla mnie pokrzepieniem i zajął ważniejsze niż kiedykolwiek przedtem miejsce w moim życiu.

Kiedy szłam leśną ścieżką, na myśl nasunęły mi się słowa jednego z moich ulubionych wierszy: *Cóż warte nasze życie? Trosk w nim przecież tyle, Że brak czasu, by stanąć, zatrzymać się na chwilę* ^[1].

Wczasów Williama Henry'ego Daviesa nauczyłam się na pamięć jeszcze jako dziecko. Sens tych słów nigdy nie zatarł się w mojej pamięci.

Zatrzymałam się w pół kroku, sama w lesie, uważnie wsłuchując się w odgłosy tej krainy. Śpiew ptaków, szmery, szelest opadłych liści przeganianych jesiennym wietrzykiem.

Ze słowami wiersza na ustach wyciągnęłam szyję ku niebu, by przyjrzeć się baldachimowi puchatych białych chmur, sunących nad moją głową i

zmieniających kształty.

Świat nie jest jednak taki zły, powiedziałam sobie z uśmiechem. Ale nie wolno jego piękna brać za oczywistość. Dzień w dzień otaczali mnie ludzie pozbawieni wolności, którzy daliby wszystko, by stanąć tu, gdzie ja teraz, i rozkoszować się prostymi przyjemnościami życia.

Wystarczało, bym wyszła z domu drzwiami od ogrodu i już widziałam zieleń. Niektórzy z więźniów, z którymi się stykałam, na tę przyjemność musieli czekać pięć, dziesięć czy piętnaście lat. Niektórym już nigdy nie będzie dane chodzić po lesie. Najpiękniejszy widok, jaki ich czeka, to niebo nad spacerniakiem.

Głęboko zaciągnęłam się powietrzem, chłonąc w płuca czystą naturę. Poszłam dalej, rozmyślając o człowieku, który stracił nogi, o Azarze, tak bardzo walczącym o to, by się przystosować, o Jaredzie, nastolatku poznanym przed laty. Oni wszyscy na różne sposoby wzbogacili moje życie, sprawiając, że doceniłam wszystko to, co mam, a zwłaszcza moją cudowną rodzinę.

Nauczyli mnie nie zazdrościć nikomu majątku czy innych dóbr i nie uznawać wolności za coś oczywistego. Czasami takie myśli doprowadzały mnie do łez, ale słowa wiersza sprawiły, że poczułam się szczęśliwa i odżyłam.

Byłam wolna. Byłam zdrowa. Miałam wszystko, po co chce się żyć. Gdy zbliżałam się do skraju lasu, dookoła mnie zrobiło się jasno. Tunel z drzew otworzył się na padok, a ja musiałam zmrużyć oczy przed wspaniałym jesiennym słońcem. Owionął mnie słodki zapach dojrzałych jeżyn, powplatanych w żywopłoty.

Stałam i patrzyłam. Zwykły czterdziestopięciminutowy spacer przywrócił mi równowagę, czułam się spokojna i pojednana ze światem. O

swojej pracy myślałam pozytywnie i z nadzieją, że może od czasu do czasu udaje mi się coś nią zmieniać.

Moje pozytywne myśli odżyły następnego dnia, gdy szłam przez blok B na oddział opieki zdrowotnej. Więźniowie kręcili się tu wszędzie, jak to w czasie wspólnym. Na początku mojej pracy w Scrubs ostrzeżono mnie, że to niebezpieczna pora na spacer po blokach, podobnie jak swobodny przepływ (czyli godziny, gdy duże grupy więźniów przemieszczają się pod eskortą strażników w inne rejony zakładu na zajęcia edukacyjne albo do lub z pracy) to kiepski czas, żeby wychodzić na zewnątrz.

Ja jednak ani trochę się nie bałam. Czułam, że znajduję się na swoim miejscu. Osadzeni często przystawali, by się przywitać, pozdrowić mnie, powiedzieć, co u nich, lub pomarudzić na ten czy inny temat. Czasami nawet wspólnie się pośmialiśmy, bo niektórzy mieli cudowne poczucie humoru.

Lubiłam takie kontakty, bo potwierdzały, że jestem kimś stąd, a nie osobą z zewnątrz. Kiedy mijałam stół bilardowy, przez gwar przebił się dochodzący z góry, donośny głos.

– Pani doktor, pani doktor!

Odwróciłam się i podniosłam wzrok.

Wołający wychylał się za poręcz, o którą niedbale oparł rękę, i przyglądał się temu, co dzieje się dookoła.

Uśmiechnął się szeroko.

– Dzień dobry, pani doktor. Pamięta mnie pani?

Poznałam go od razu. Jego historia tkwiła we mnie od naszego pierwszego spotkania. Próbował coś powiedzieć, ale jego słowa pochłonął hałas – pogawędki, okrzyki, stukot uderzających o siebie bil, a wszystko to

jeszcze spotęgowane przez wysokie stropy, wzmacniające najdrobniejszy dźwięk.

Podniósł rękę.

– Minutkę, już schodzę.

Tak się palił do rozmowy ze mną, że spłynął po metalowych schodach z prędkością światła. Przywitałam go ciepłym uśmiechem, bo również cieszyłam się, że go widzę. Spotkaliśmy się tylko raz, ale wrażenie, jakie na mnie zrobił, pozostało ze mną do tej pory. Łapiąc oddech, sapnął: – Miałem nadzieję, że na panią wpadnę. W niczym nie przypominał tamtego gniewnego i rozgoryczonego młodzieńca, który parę tygodni temu wszedł do mojego gabinetu. Sprawiał wrażenie pozytywnie nakręconego.

– Co u ciebie, Ian? – zapytałam.

Nie posiadał się ze szczęścia. W lodowatobłękitnych oczach iskrzyła się radość, a to w Scrubs widok nadzwyczaj rzadki.

– Skontaktowałam się z mamą!

Zamurowało mnie. Za nic bym nie pomyślała, że Ian przyjmie wyciągniętą przez jego matkę oliwną gałązkę pojednania. Wydawał się tak na nią zły, tak pełen goryczy przez to, że go porzuciła, by dorastał w sierocińcu, że myślałam, iż nie ma szans na zmianę jego nastawienia. Czyżby moje słowa osiągnęły skutek?

Przyglądał mi się intensywnie.

– Miała pani rację, pani doktor. Warto było zaryzykować. Moja mama odwiedzi mnie w ten weekend.

Nagle jakby rozplynał się ze szczęścia i z roziskrzonym wzrokiem oznajmił: – Znowu będziemy rodziną.

Najchętniej bym go mocno uściskała, ale na środku bloku nie odważyłam się tego zrobić. Ta magiczna chwila potwierdziła, że często proste rzeczy, które robi się dla innych, drobiazgi, niemal zacierające się w pamięci z

upływem dnia, mogą powodować nawet największe zmiany. Kilka słów zachęty, wypowiedzianych podczas pierwszego spotkania z Ianem, być może na zawsze odmieniło jego życie. Chciałabym tak myśleć.

Posiadanie rodziny to dla więźniów zwykle jedna z najważniejszych spraw. Mieć kogoś, komu na nich zależy, kto ich odwiedza, czeka na nich i jest gotów pomóc im odnaleźć się w życiu, kiedy już wyjdą. To właśnie ta siła napędowa często pomagała im pogodzić się z tym, że siedzą.

Może nie lekami, ale czułam, że na swój sposób przywróciłam Ianowi zdrowie. On z kolei sprawił, że doceniłam robotę, którą tu wykonuję. Może rzeczywiście była coś warta, a trochę troski o innych naprawdę wносиło w życie niektórych ludzi zmiany.

– Ciesz się czasem z mamą. Życzę ci, żeby wszystko wam się ułożyło.

Chętnie dowiedziałabym się, jak poszło – powiedziałam, po czym ruszyłam dalej.

Bardzo chciałam usłyszeć, jak przebiegło to spotkanie po latach z mamą, ale bardziej prawdopodobne było, że nigdy już się nie zobaczymy. Niejeden więzień zniknął z mojego życia, ledwie się w nim pojawił. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że kilku z nich w jakiś sposób pomogłam w ich wędrówce.

Miałam jednak w więzieniu gościa, który chyba nigdy nas nie opuszczał. Przez większość czasu bardzo ładnie się mijaliśmy, nie wchodząc sobie w drogę. Ale w każdej udanej relacji towarzyskiej następuje punkt zwrotny, co potwierdziło się podczas pewnej przerwy na lunch.

Od jakiegoś czasu w porze lunchu wykradałam się na drzemkę. Trzymałam się tego samego rytuału, który wypracowałam rankami – rozwijałam śpiwór na trzech dość ponuro wyglądających krzesłach w jednej z cichych salek terapeutycznych w ośrodku Seacole. Ku memu zaskoczeniu

przez siedem lat pracy w Scrubs przeszkodzono mi tylko raz. Pielęgniarka w pierwszej chwili musiała pomyśleć, że znalazła trupa. „Ach, to pani, doktor Brown!”, zawołała, po czym zostawiła mnie w spokoju. Ponowne zaśnięcie było kwestią sekund, taka byłam zmęczona.

Był też jeden tajemny czynnik, który pomagał mi zasnąć jeszcze szybciej. W torbie, oprócz poduszki i śpiwora, zawsze trzymałam tabliczkę ulubionej mlecznej czekolady. Umościwszy się już w moim kokonie, z głową na podróżnej poduszce, opuszczałam na oczy maseczkę i na oślep sięgałam do torby, by odłamać jedną kosteczkę czekolady. To wrażenie roztopiania się w ustach... ten niebiańskosłodki smak... chwila moment i już spałam.

I dziś nie było inaczej. Czekolada się roztopiła.

Odpłynęłam.

Po obudzeniu, całkiem rześka, postanowiłam sprawdzić czekoladę – upewnić się, czy mam wystarczający zapas. Ku mojej zgrozie oprócz czekolady odkryłam w torbie mysie bobki – i to nie tylko w samej torbie, ale i wewnątrz opakowania! Dotarło do mnie, że niemal na pewno zjadłam jakieś z czekoladą! Odczułam niesmak. Tego wieczoru zabrałam torbę i całą jej zawartość do domu, wszystko wyszorowałam, a od tamtej pory wszelkie produkty spożywcze przechowywałam w dobrze zamkniętym plastikowym pojemniku.

Obwinałam siebie. Byłam głupia, skoro myślałam, że myszy nie dobiorą się w nocy do mojej torby, by coś sobie skubnąć, choć przecież panoszyły się w całym więzieniu.

Niedługo potem więzień z bloku E poskarżył mi się, że miał na półce czekoladowe jajko Creme Egg, które oszczędzał na specjalną okazję, i mocno się skonsternował, kiedy obudziwszy się w nocy, odkrył, jak radośnie chrupie je mysz.

Jakże ja go rozumiałam!

Praktyka lekarska, którą prowadziłam w Scrubs, dalece się różniła od tej dawnej, z przychodni. Leczenie w więzieniu przypominało pracę strażaka; gaszenie jednego kryzysu po drugim. Uwielbiałam ten dramatyzm i emocje, ale jakiejś części mojej natury brakowało tego aspektu medycyny, który polega na rozwiązywaniu problemów. Dlatego poproszona o zbadanie cierpiącego młodego człowieka chętnie powitałam wyzwanie.

Więzień wtoczył się do gabinetu, dygocząc i pocąc się. Był to wysoki, żyłasty Somalijszyk – jak wynikało z dokumentacji, przeniesiony z innego więzienia dwa dni wcześniej. Odruchowo podeszłam do niego z boku, by go wesprzeć, bo chwiejnie trzymał się na nogach, i delikatnie pomogłam mu ulokować się na kozetce. Przedstawiłam się i poprosiłam, żeby opowiedział mi o objawach. On jednak przeszywał mnie na wylot szklistym spojrzeniem i nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Wyczytałam, że ma dwadzieścia trzy lata.

O zbadanie go poprosiła Sylvie, bardzo zaniepokojona jego stanem.

– Od jak dawna utrzymuje się ten stan?

Wzruszyła ramionami.

– Odkąd przyjechał, ale nie wiemy, kiedy przed przewiezieniem poczuł się źle, bo notatki są bardzo lakoniczne.

Abdi leżał na kozetce. Trząśł się, pocił i miał wysoką gorączkę. Z czasem zaczął kontaktować i odpowiadać na moje pytania. Powiedział, że bardzo bolała go głowa i wymiotował oraz że od kilku tygodni czuł się zmęczony, ale szczególnie źle, no i kiedyś kaszłał.

Kark miał lekko zeszywniały, ale nie zaobserwowałam wysypki. Potem z badałam mu oczy i odnotowałam, że miał oczopląs – niekontrolowane

ruchy gałek. Poza tym mrużył oczy, gdy mu w nie świeciłam, co oznaczało światłowstręt. Było z nim bardzo niedobrze i pilnie potrzebował przewiezienia do szpitala.

Wiedziałam, że jak zawsze będę musiała stoczyć o to walkę. Abdi tymczasem leżał na kozetce. Był tak wysoki, że jego długie, chude nogi zwisały z jej końca. Ledwie skończyłam go badać, przyszedł do mnie starszy oficer zarządzający blokiem C. Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać, choć byłam przekonana, że przechodząc koło jego biura, słyszałam odbijający się echem silny akcent z okolic Newcastle.

– Co jest grane, pani doktor? – zapytał, biorąc się pod boki. – Sylvie mówi, że chce pani, żebyśmy zabrali go do szpitala. – Ruchem głowy wskazał Abdiego. Ze zmęczenia robiło mi się niedobrze na myśl o spieraniu się o to, co uważałam za słuszne.

– On pilnie potrzebuje opieki medycznej i musi być przyjęty dzisiaj!

Podejrzewam, że ma poważną infekcję, wpływającą na jego układ nerwowy. Prawdopodobnie potrzebuje dożylnych antybiotyków. Zerknęłam na Abdiego, ale tak odleciał, że nie reagował na to, co mówiłam. Nawet mnie to ucieszyło, bo nie chciałam go niepokoić. Wiedziałam jednak, że muszę przedstawić silny argument za przewiezieniem go do szpitala.

Oficer zatoczył się w tył, pękając ze śmiechu.

– Daj spokój, kobieto, żartujesz? – zadrwił. Stukając w zegarek, dodał: – Jest piąta po południu. To nie może zaczekać, aż zjawi się więcej strażników?

Do rana mu się nie pogorszy, pani doktor.

Byłam wściekła! Wkurzona, że ktoś bez żadnego przygotowania medycznego pozwala sobie na takie komentarze!

Czułam swą siłę, gniew i determinację. Po tych wszystkich bojach staczanych przez lata nie dawałam się już zastraszać strażnikom

więziennym, bez względu na ich rangę. Skopiowałam to jego oficerskie wzięcie się pod boki i prawie wysyczałam: – Ma jechać dzisiaj!

Ilość jadu, którą wpuściłam w mój głos, podziałała.

– Jak pani każe, pani doktor – odparł strażnik i natychmiast wywołał przez radio oficera dyżurującego pod kodem Oscar One, żeby zorganizował karetkę.

Wróciłam do Abdiego.

– Dobra robota – powiedziała Sylvie. – Wiem, że czasem o to niełatwo.

Popatrzyła na chorego, który to odzyskiwał przytomność, to ją tracił.

– Dasz radę z nim zostać? – zapytałam ją. – Jestem potrzebna przy przyjęciach.

– Proszę iść. – Machnęła ręką, żebym się zabrała. – Oczywiście, że przy nim zostanę.

Właśnie napawałam się swoim zwycięskim przeforsowaniem podjęcia właściwych działań, gdy usłyszałam moje nazwisko, sunące echem przez blok C. Tylko jedna kobieta w całym więzieniu dysponowała płucami zdolnymi tego dokonać.

– Dzień dobry! – powitałam naczelnik Frake głosem podniesionym ze zdenerwowania mniej więcej o oktawę. Zaczekała, aż podejść bliżej. To niedorzeczne, że jej obecność nadal mnie onieśmiała, ale nic nie mogłam na to poradzić.

– Witam, doktor Brown – odparła. – Można prosić na słówko?

[1] Przekład: Jerzy Pietrkiewicz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Pani doktor – powiedziała niemal nieśmiało naczelnik Frake. – Muszę panią prosić o przysługę.

Zachodziłam w głowę, w czym, u licha, szefowa ochrony może potrzebować mojej pomocy.

Zniżyła głos.

– Przyznano mi Order Imperium Brytyjskiego.

– Och, to wspaniała nowina! Gratulacje! – Autentycznie się ucieszyłam, ale ani trochę nie byłam zaskoczona. Naczelnik Frake zmieniła Scrubs w jedno z najbezpieczniejszych brytyjskich więzień, a dla kobiety dopracowanie się wysokiej pozycji w świecie tak zdominowanym przez mężczyzn, jak ówczesny, było wielkim osiągnięciem, za które niewątpliwie należał się taki dowód uznania.

Ja sama byłam przejęta i pełna podziwu.

– Dzięki – ucięła. – Rzecz w tym, że nie mam co na siebie włożyć na spotkanie z królową! Nie posiadam ani jednej sukni, nigdy żadnej nie miałam.

Wyglądam w nich śmiesznie. Dlatego potrzebuję gustownego kostiumu, ale nie mam pomysłu, gdzie taki kupić. – Wydawała się nadzwyczaj

speszona. – Zastanawiałam się, czy pani może wie, dokąd się wybrać po coś takiego.

Zamurowało mnie. Myśl o pójściu na zakupy z wszechwładną naczelniczką wydała mi się surrealna!

– Pani zawsze się nosi tak schludnie i profesjonalnie, że uznałam, iż najlepiej mi coś doradzi! – oznajmiła.

– Pomogę, oczywiście – potwierdziłam, nedorzecznie podekscytowana tą perspektywą.

Następowało to powoli, ale jednak czułam się coraz bardziej akceptowana jako swój człowiek w tej ekipie, a nie tylko jeden z lekarzy. Płaciłam za to cenę. Stopniowo zrywałam ze światem, w którym żyłam.

Każdego lata mój dawny współpracownik Peter wyprawiał przy swoim pięknym domu w Bucklebury wystawne garden party.

Był bardzo dobrze prosperującym chirurgiem i ortopedą, moim znajomym od wielu lat. Poznaliśmy się na stażu chirurgicznym w 1980 roku. Na swoją imprezę zapraszał wszystkich znaczących członków społeczności, a także wielu dawnych i obecnych kolegów po fachu. Nadarzała się więc okazja do wymieniania się opowieściami, a dla zenującej grupki nielicznych – do chełpienia się pieniędzmi lub tym, jak świetnie spisują się ich dzieci.

Dzień był piękny i powinnam się cieszyć tym oderwaniem od więziennych brudów. Mimo to, kiedy wjeżdżaliśmy z Davidem na urządzony na padoku parking, czułam nieokreślony strach.

– Skąd taka mina? – zapytał mąż.

Westchnęłam.

– Jestem zmęczona i nie mam siły na coś takiego.

– Daj spokój, nie musimy siedzieć długo – odparł.

Z Peterem znaliśmy się dobrze i naprawdę doceniałam to, że co roku zapraszał nas na swoje party. Zawsze dbał, żebym czuła się u niego dobrze, chociaż moja praca zdecydowanie nie była ani tak chlubna, ani też tak prestiżowa jak posady większości towarzystwa. Wielu ludzi zwyczajnie nie potrafiło zrozumieć, dlaczego chcę się otaczać kryminalistami, zamiast kontynuować praktykę lekarza pierwszego kontaktu. Bolało mnie, a nawet martwiło, że tak trudno im jest dostrzec sens tego, co robię.

Przeczesałam dłonią włosy, rozciągnęłam usta w uśmiechu i klepnęłam Davida w kolano, sygnalizując, że jestem gotowa na inny rodzaj zmagania.

Trawnik zmienił się w pełen znajomych twarzy kalejdoskop barw i olśniewających kreacji od projektantów.

Wzięłam Davida pod ramię i powędrowaliśmy jak po sznurku do Petera, stojącego tuż przy piramidzie szampanek. Pomachał nam po przyjacielsku i gestem przywołał do siebie.

Czułam się wybitnie nieswojo – jak ryba wyrzucona z wody – co było dość dziwaczne, skoro w tym towarzystwie obracałam się od dziesięcioleci.

Porwałam mijającemu mnie kelnerowi kieliszek szampana i wychyliłam połowę. Bąbelki połaskotały mnie w wyschniętą krtań.

– A co trzeba zrobić, żeby dostać piwko? – mruknął David. Za szampanem nie przepadał.

Nagle stanął nam na drodze ktoś bardzo wysoki.

– Amanda! – zawołał z entuzjazmem.

Twarz była mi znana, ale nie potrafiłam powiązać jej z imieniem. Na szczęście ten człowiek oszczędził mi wstydu.

– Graham – przedstawił się, wyciągając dłoń do Davida.

Poznałam go na poprzedniej letniej imprezie Petera; uczył czegoś w pobliskim szpitalu uniwersyteckim.

Miło się uśmiechnęłam.

– Cudownie znów cię widzieć.

Zanim któreś z nas zdołało coś jeszcze dodać, Graham przystąpił do szczegółowej opowieści o swoich dzieciach. Córce, która ukończyła ekonomię na Oksfordzie, a teraz pracuje w mieście, i synu, który z wyróżnieniem...

Odpłynęłam myślami gdzieś indziej. Zrobiło mi się z lekka niewyraźnie. To naprawdę nie było miejsce dla mnie.

David dzielnie przerwał Grahamowi, napomykając coś o Wimbledonie, ale skutek osiągnął tylko taki, że Graham tematem rozmowy uczynił siebie.

– O tak – powiedział, odrzucając głowę w tył i zanosząc się śmiechem. – Za starych dobrych lat studenckich grało się w tenisa w pierwszym składzie Guy's!

Naprawdę trudno było mi to strawić.

Udało nam się dyskretnie odsunąć od Grahama i David natrafił na znajomych, z którymi pływał kiedyś na żaglach... a ja poczułam się dziwnie pusta i osamotniona, bo dotarło do mnie, że to po prostu już nie mój świat.

I co ważniejsze, nie tęskniłam za nim. Marzył mi się jedynie powrót do domu.

Szepnęłam na ucho Davidowi: – Dłużej tego nie zniosę.

Zmieniła się moja hierarchia wartości i sercem byłam całkowicie gdzie indziej. To dawne życie jawiło mi się jako płytkie i puste.

– To twój pierwszy pobyt w więzieniu? – zadałam pytanie z listy zadawanych wszystkim nowym więźniom.

Było późno, dochodziła dwudziesta druga. Wszyscy sprawiali wrażenie zmęczonych, tylko ze steranej życiem twarzy Davida Westa biło co innego.

– Tak – potwierdził spokojnie.

Bardzo spokojnie. Oderwałam wzrok od ekranu.

Z miejsca zwrócił moją uwagę swoją odmiennością.

Ubrany był swobodnie, jasne włosy miał w nieładzie, nie ogolił się. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak masa bezdomnych, z którymi często miałam do czynienia, ale jego sposób bycia pasował raczej do człowieka przy forsie.

Jak na kogoś, kto jeszcze nie zaznał więzienia, był nienaturalnie spokojny. Myślałam, że może jest w szoku, ale w jego szaroniebieskich oczach nie znalazłam śladu lęku czy paniki. A nawet, jeśli się nie myliłam, ulgę. Poczulałam się zmuszona dowiedzieć się o nim więcej.

– Trafiłeś tu jako aresztowany?

– Tak – odpowiedział po swojemu, czyli niespiesznie i bez emocji. – Oskarżają mnie o morderstwo.

Pielęgniarki z jakiegoś powodu nie uprzedzili mnie o tym. Przestałam stukać w klawiaturę i odchyliłam się na krześle, poświęcając Davidowi całą uwagę. Wyczuwałam, że pali się do wyjaśnienia, czemu popełnił tak straszną zbrodnię, bo gdyby nie chciał o niej mówić, nawet słowem by o tym nie napomknął.

– Chcesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło? – zapytałam łagodnie.

Ciekawiło mnie, czy księża słuchający spowiedzi czują się tak jak ja teraz. David na chwilę zamknął oczy, przywołując tamto wspomnienie.

– Nie zamierzałem tego zrobić. Nie planowałem. Ogarnęła mnie wściekłość i po prostu złapałem za nóż, i... – zniżył głos tak, że ledwie go słyszałam. – Zadźgałem go. Zadźgałem mojego ojca.

Patrzył mi w oczy, oczekując reakcji. Nie doczekał się. Nie speszył mnie tym, do czego się przyznał, do tego z całą pewnością nie wyczuwałam z jego strony żadnego zagrożenia. David wydawał się chodzącą łagodnością. Oczy przepelniała mu dobroć. Zastanawiałam się, co mogło doprowadzić takiego człowieka do zabicia własnego ojca.

– Miałem dosyć – ciągnął, a głos mu troszkę drżał. – Gnębił mnie i upokarzał przez całe moje życie. To narastało latami. Ja po prostu... Zanim to do mnie dotarło, już nie żył.

Wziął głęboki oddech, ale mimo takiego wyznania zachowywał zaskakujący spokój. Nie wyglądało mi to na zaburzenia psychiczne, raczej na zwykłą ulgę, że tamte lata udręki są już za nim.

Uśmiechnęłam się współczująco. Co więcej mogłam zrobić?

Byłam pewna, że ten spokój, którym emanował, wynikał z tego, że jeszcze do niego nie dotarło w pełni, co zrobił i gdzie się znajduje. Ta świadomość z pewnością przyjdzie po jakimś czasie, zwłaszcza że za zabicie ojca niewątpliwie otrzyma wieloletni wyrok.

Na tę chwilę, jak się zdawało, chciał zamieść cały swój ból pod dywan i opowiedzieć o swoim życiu. Pogawędziliśmy więc jak para znajomych, którzy wpadli na siebie w pubie. Dziwnie to wyglądało.

Wyjawiał mi, że zawsze współpracował z ojcem i że prowadzili w Calais świetnie prosperujący magazyn bezcłowy Eastenders, umożliwiający tanią sprzedaż alkoholi i papierosów, a jego ojciec został nawet okrzyknięty „Królem rejsów alkoholowych”.

Bywałam przed laty w tym ich magazynie; co roku robiliśmy sobie z Davidem wycieczkę, zaopatrującą nas w wino i piwo. Cokolwiek niesamowicie było siedzieć naprzeciwko człowieka, od którego wtedy je kupowaliśmy. A on tymczasem kontynuował opowieść o tym, jak ojciec

dręczył go, poniżał i kontrolował, wyrabiając w nim poczucie, że nie jest nic wart i nigdy nie będzie wystarczająco dobry.

Najsmutniejszą rzeczą w tym wszystkim była świadomość, jak ogromną ulgę odczuwał teraz David. I to, że odsiadka w Scrubs była czymś lepszym od wykorzystywania, które przez tyle lat znosił.

Możliwe, że wielu z nas jest w stanie przywołać taki moment w życiu, gdy ktoś, rodzina, współpracownik lub ukochana osoba, doprowadzał go do ostateczności. Ale tylko nieliczni, jak sądzę, zostali zagnani tak daleko, że zrodziła się w nich desperacka, wszechogarniająca potrzeba położenia kresu tej udręce bez względu na cenę.

Koniec mojej rozmowy z Davidem nastąpił nagle. Objawił się eksplozją krzyków i szczęku bramek, towarzyszących przeganianiu przez strażników nowych więźniów do cel.

Pod moimi drzwiami pojawił się Terry.

– Pani doktor, zamykamy!

– Dwie sekundy – odparłam, kupując sobie chwilę na upewnienie się, że Davidowi nic nie będzie. Zawsze mnie bowiem niepokoiło, gdy ludzie pierwsze chwile w pudle przyjmowali z nienaturalnym spokojem.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, personel pielęgniarski będzie tu przez całą noc i ktoś ci pomoże – zapewniłam go.

Kiwnął głową i mi podziękował. Podniósł się powoli, a potem wyszedł z gabinetu tak samo niespiesznie, jak się w nim pojawił, wlokąc za sobą plastikowy worek wypełniony wszystkim, co pozostało po jego dotychczasowym życiu.

Szanse, że się jeszcze zobaczymy, były nikłe. Cieszyłam się jednak z naszego spotkania i życzyłam mu, by odnalazł spokój.

Terry ponownie wsadził nos w szczelinę w drzwiach.

– Zamykamy, pani doktor! – oznajmił ze szczególnym naciskiem, szeroko uśmiechnięty. – Niech się pani zbiera.

– Dwie minuty – powiedziałam, zyskując jeszcze trochę czasu. Przed wylogowaniem się z komputera musiałam coś sprawdzić.

Pokręciłam głową w niedowierzaniu.

– No proszę!

Miałam rację, że Abdi jest poważnie chory, ale zaskoczyło mnie, że cierpi na gruźlicze zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Gruźlica płuc – a więc atakująca właśnie ten organ – nie byłaby w Scrubs niczym nowym, jednak w trzydziestoletniej praktyce lekarskiej nigdy jeszcze nie widziałam przypadku gruźlicy opon mózgowych – o wiele poważniejszej, zagrażającej życiu choroby powodującej zapalenie błon w mózgu i rdzeniu kręgowym.

Szpital podał, że pacjent wymaga długiego leczenia. Do Scrubs już nie wróci; kuracja miała potrwać dłużej, niż pozostało mu do końca odsiadki.

Nigdy więc się nie dowiem, czy całkiem wydobrzał, ale przynajmniej otrzymałam potwierdzenie, że moje upieranie się przy skierowaniu go do szpitala było uzasadnione.

– Pani doktor, idziemy! – To Terry znów po mnie wrócił.

Zdjęłam z oparcia krzesła żakiet i przepchnęłam zmęczone ręce przez rękawy. Zrzuciłam torbę na ramię i skinęłam głową Terry'emu, żeby ruszał.

Razem kończyliśmy zmianę, a miło będzie mieć w drodze do samochodu towarzystwo.

Zajechałam na stację benzynową coś przekąsić. Żołądek od kilku godzin przypominał o sobie głuchym burczeniem. Z niewiadomej przyczyny

klimatyzacja pracowała tu pełną parą. Zapięłam żakiet i opasałam się rękoma, żeby w kolejce było mi ciepło.

Na prawo ode mnie ciągnęły się rzędy czekoladowych batonów i innych słodczy, kuszących mnie, bym uzupełniła o nie wieczorną przegryzkę. Nad głową miałam monitory wewnętrznej telewizji, pokazujące stojące na podjeździe dystrybutory.

Mężczyzna przede mną zamówił paczkę marlboro lights i zdrapkę. Wszyscy tu wyglądaliśmy jak zombi, błakające się późną porą w bezlitosnym świetle lamp.

Zapłaciłam za kanapkę i ruszyłam z powrotem przez sklep, by wsiąść do samochodu, jak najszybciej ruszyć i dojechać do domu.

Przy drzwiach czekały na przemiał obwiązane sznurkiem sterty gazet z poprzedniego dnia. Patrzyła z nich na mnie twarz Davida Westa.

Nagłówek nad nią głosił: *Syn ekstrawaganckiego samozwańczego „króla” Davida Westa oskarżony o morderstwo ojca. „Zadźgał na śmierć” właściciela nocnego klubu w jego domu w Mayfair.*

Wcześniej nie dotarło do mnie, że ojciec Davida nadał synowi swoje imię. Mniejszym drukiem gazeta informowała, że David West senior, lat 70, zmarł od jednego ciosu nożem w swoim domu wartym dwa i pół miliona funtów.

Zawahałam się, czy nie poprosić sprzedawcy o wydobycie dla mnie egzemplarza gazety, ale zrezygnowałam. Nie musiałam wiedzieć o Davidzie więcej, niż sam mi powiedział. Nie interesowało mnie wczytywanie się w makabryczne szczegóły. Minęłam kupy papierów i szklane drzwi i poszłam dalej, w noc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Czarny czy niebieski? – zapytałam Davida, machając trzymanymi w rękach kostiumami ze spodniami.

Mój mąż, mrużąc oczy, wychrypiał; – Według mnie wyglądają identycznie.

– W takim razie czarny – zdecydowałam, chowając drugi wieszak z powrotem w szafie.

Przewrócił się na bok, a ja kontynuowałam ubieranie się. Ze zdenerwowania łaskotało mnie w brzuchu. Spryskałam się perfumami i podkrađłam do Davida, który zdążył już ponownie zasnąć. Gdy pocałowałam go w policzek, poruszył się.

– Powodzenia. Będzie dobrze.

Miałam nadzieję, że tak. To pewnie tylko formalność, przez którą muszę przejść, ale i tak byłam niespokojna. Słowa Davida, jak zawsze, podziały na mnie kojąco.

Przez całą drogę do Londynu słuchałam Classic FM. Dźwięki pięknej muzyki były jak balsam na moją duszę.

Mimo iż wyjechałam wcześniej, by wyprzedzić godzinę szczytu, miejsce do parkowania znalazłam z największym trudem. Wcześniej musiałam zaliczyć kilka okrążeń, a z każdym mój niepokój odrobinę wzrastał. Nie

wolno mi było się spóźnić. Wsiadłam prosto w słoneczny blask. Rozprostowałam dłońią zagniecenia na spodniach i podniosłam wzrok.

Tego ranka jednak nie padł on na monumentalne mury zakładu karnego Wormwood Scrubs. Znajdowałam się na wysadzonej drzewami ulicy, wzdłuż której ciągnęły się same bliźniaki, w zamożnej części Fulham w zachodnim Londynie.

Za dwadzieścia minut miałam wystąpić jako świadek przed sądem koronera. Ogarnęła mnie kolejna fala niepokoju. Trzeba było się ruszać, zaparkowałam kilometry od celu.

Niedługo potem, bez tchu, z walącym sercem, rozglądałam się na lewo i prawo na skraju ruchliwej głównej ulicy.

– Prędzej, prędzej – syczałam na sygnalizację świetlną, niecierpliwiąc się na przejściu.

Znowu zerknęłam na zegarek. Nienawidziłam się spóźnić. Wypatrzyłam lukę w ruchu ulicznym i zaryzykowałam. Przebiegłabym przez ulicę, ale zaczepiłam obcasem o nogawkę spodni i wyłożyłam się jak długa na twardym asfalcie. Podniosłam głowę, a tu, ku memu przerażeniu, zza rogu wyjechał motocykl. Nastawiłam się na uderzenie, ale ryk silnika przeszedł w pomruk, bo maszyna zatrzymała się koło mnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał motocyklista, unosząc szybę kasku, by zsiąść i pomóc mi się podnieść.

– Tak, nic mi nie jest, dziękuję – odparłam, głęboko zawstydzona. Kiedy kuśtykałam na chodnik, czułam mrowienie w kolanach i dłoniach.

Podziękowałam motocykliście za uprzejmość i ruszyłam dalej, próbując ratować resztki godności rozprostowaniem żakietu i otrzepaniem spodni.

Szok wywołany przez upadek spotęgował mój niepokój i roztrzęsienie, w połączeniu z adrenaliną wyzwoloną przez perspektywę spóźnienia się

zmienił mnie w kłębek nerwów. Oglądając ręce w poszukiwaniu skaleczeń, stwierdziłam, że się trzęsą.

– Głęboki oddech – powiedziałam sobie, podchodząc do wejścia do budynku mieszczącego sąd koronera dla dzielnicy Londyn Zachodni.

Był to szpetny gmach z czerwonej cegły, odróżniający się od spokojnych i ładnych domów mieszkalnych, wśród których go ulokowano.

Przypominał mi baseny publiczne, na które chodziłam w dzieciństwie. Na schodach dopalał papierosa mężczyzna sprawiający wrażenie nie mniej ode mnie zestresowanego. Zastanawiałam się, czy to nie ktoś z rodziny zmarłego.

Skinęłam mu głową i pchnęłam wielkie czarne drzwi wiodące do wnętrza. Na białym korytarzu roiło się od ludzi. Kręcili się tu radcy prawni i adwokaci. Wszyscy wyglądali bardzo dostojnie i oficjalnie, dźwigali też teczki dokumentów. Przy drzwiach do pierwszej sali skupiła się grupka elegancko ubranych ludzi, którzy rozmawiali przyciszonym tonem. Możliwe, że to rodzina. Albo gorzej – dziennikarze. Szukałam w tym tłumie znajomej twarzy, ta jednak znalazła mnie pierwsza.

– Amanda! – Karen, mój szefowa, zamachała do mnie.

– Jest opóźnienie o piętnaście minut. – Zauważyła, że jestem roztrzęsiona.

– Wyglądasz tak, że bez kawy ani rusz. Na pewno nic ci nie jest?

– Nie, wszystko gra – odparłam. – Po prostu miałam po drodze drobne przeboje. Ze zdenerwowania słabo spałam, bo całą noc gryzłam się tym, co się może dzisiaj wydarzyć.

– Jestem przekonana, że nie ma się czym przejmować – zapewniła mnie Karen.

Miałam wystąpić jako świadek w sprawie zgonu, który miał miejsce w Wormwood Scrubs mniej więcej półtora roku wcześniej. Mężczyzna zmarł

w OPN, a ja byłam jedynym lekarzem, który go badał.

Drzwi sali nagle się otwały – nasza kolej.

– To nie potrwa długo – powiedziała Karen, gdy stawałyśmy w kolejce do wejścia.

– Mam nadzieję – przyznałam. – Taka jestem niespokojna, że ledwie myślę z sensem.

Zachowanie Daniela Cravena, gdy wszedł tamtego wieczoru na obszar przyjęć, ciągnąc wór ze swoimi rzeczami, niczym się nie wyróżniało.

Był uprzejmy i przyjazny, ale najbardziej zapamiętałam to, że chociaż wyglądał na bardzo zaniedbanego, miał na sobie elegancką marynarkę od projektanta. Jedno do drugiego jakoś nie pasowało.

Daniel nie znalazł się w więzieniu po raz pierwszy. Rozpoznał go Bill, jeden ze strażników. Gawędzili sobie jak starzy znajomi, gdy ja kończyłam notatki. Włączyłam się potem w rozmowę, napomykając Billowi o kapitalnej marynarce Daniela, co tamtego wyraźnie ucieszyło, bo na twarzy rozlał mu się szeroki uśmiech, a potem z dumą oświadczył, że nabył ją tydzień wcześniej w sklepie z darami.

Powiedział mi, że nie wie nic o tym, by na cokolwiek chorował, narkotyków nie używa i nie jest na żadnych lekach. Uzyskanie od niego konkretnej odpowiedzi stanowiło chwilami drobne wyzwanie, bo miał tendencję do zbaczania z tematu i mówienia o rzeczach przypadkowych, ale z pewnością nie zachowywał się niezwyczajnie i nic w nim nie budziło niepokoju. Można sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy następnego dnia o dziewiątej, akurat gdy szłam zrobić obchód izolu, usłyszałam wycie syren alarmowych i dobiegający z korytarzy tupot strażników krzyczących: „Kod niebieski!”.

Zwłoki Daniela odkryto skulone wokół klozetu w jego celi. Z raportów personelu obsługującego wtedy Ośrodek Pierwszego Noclegu wynikało, że

z każdą godziną tamtego wieczoru był coraz bardziej ożywiony, i to do tego stopnia, że podejrzewano, iż palił spice.

Badania toksykologiczne nie wykazały jednak w organizmie śladów jakiegokolwiek narkotyku. Myślałam, że może miał zawał, udar lub atak serca, ale to również nie wchodziło w grę. Miesiącami czekaliśmy na raport z sekcji zwłok, a kiedy się pojawił, wynikało z niego, że przyczyny śmierci nie ustalono.

Zagadka więc była totalna, a ja po raz pierwszy, odkąd zdobyłam uprawnienia lekarskie, zetknęłam się ze zgonem, którego przyczyn nie dało się określić.

Siedziałam na drewnianej ławie, z nogami skrzyżowanymi i rękoma na kolanach. Sala była wysoka, o ścianach pokrytych boazerią, jasno oświetlona.

Przede mną znajdował się pulpit dla świadków, zza którego wszyscy ludzie objęci dochodzeniem mieli kolejno zdawać relacje z tego, co działo się tamtej nocy. Naprzeciwko pulpitu dla świadków stała ława sędziowska, a po lewej rzędy miejsc dla rodziny zmarłego i jego znajomych. Za nimi przygotowano miejsca dla publiczności.

Ekipy prawników siedziały w dwóch przednich rzędach. Za pulpitem dla świadków, na podwyższeniu, stało biurko koronera.

Na jego wejście wszyscy wstaliśmy. Był to niski mężczyzna w okularach, o czarnych włosach przyprószonej siwizną. Twarz miał pomarszczoną, wzrok lodowaty. Jego rolą było zbadanie okoliczności śmierci i upewnienie się, czy nie doszło do zaniedbań lub manipulacji. Dopilnowanie, żeby w razie doszukania się czyjejś winy wszyscy wyciągnęli z niej naukę. Po zapoznaniu się ze sprawą miał przedstawić

swoje zalecenia – najprawdopodobniej zasugeruje zmiany procedur więziennych, by udało się uniknąć kolejnej tragedii.

Zerknęłam na ławę, na której miała siedzieć rodzina, ta jednak była pusta, co mnie przygnębiło. Zastanawiałam się, czy Daniel, jak wielu więźniów, których poznałam, nie miał żadnych krewnych, czy też nie zależało im na nim na tyle, by chcieli przyjechać na to dochodzenie. Ta ostatnia myśl wzbudziła we mnie smutek.

– Doktor Brown – moje nazwisko odbiło się echem od wysokiego sufitu.

Powoli wstałam, ściskając w prawej ręce notatki, i podeszłam do pulpitu. Gdy spojrzałam na Karen, uśmiechem dodała mi otuchy. Serce mi galopowało, a ręce się trzęsły. W ustach miałam tak sucho, że bałam się, iż nie będę w stanie mówić.

Zaczął się dobrze. Przesłuchiwał mnie adwokat reprezentujący Scrubs. Był tu po to, żeby mnie bronić, a nie na czymś przyłapywać. Powiedziałam sądowi tyle, ile wiedziałam o Danielu Cravenie, czyli niewiele.

– Naprawdę nic więcej nie mogę dodać – zakończyłam definitywnie.

– Dziękuję pani, doktor Brown – powiedział adwokat, dając znać koronerowi, że nie ma więcej pytań.

Teraz wstała prawniczka występująca w imieniu Koronnej Służby Prokuratorskiej. Była młoda, po trzydziestce, nienagannie ubrana. Jasne włosy upięła w ciasny kok. Wpatrywała się we mnie zimnym, stalowym spojrzeniem.

Odchrząknąwszy, powiedziała: – Doktor Brown, czy byłaby pani łaskawa ponownie zapoznać nas ze swoimi wrażeniami na temat pana Cravena z wieczoru, w którym go pani badała?

Zerknęłam na notatki, balansując na drewnianym stopniu umocowanym za pulpitem dla świadka.

– Oczywiście – odparłam uprzejmie, choć narastała we mnie frustracja, że muszę wrócić do opowieści, która miała znikomy związek ze sprawą. Na ile bowiem się orientowałam, należało się skupić na reszcie owego wieczoru, czyli na tych godzinach, gdy Daniel przebywał w Ośrodku Pierwszego Noclegu, jak stwierdzono, coraz bardziej ożywiony.

Do tamtej pory nie do końca rozumiałam, o co chodzi z krzyżowym ogniem pytań. Półtorej godziny później wciąż jeszcze tkwiłam za pulpitem dla świadków, po raz kolejny przywołując ze szczegółami każdą z piętnastu minut, które spędziłam z więźniem na obszarze przyjęć.

Pod koniec wszystko już zlewało mi się w jedno. Czułam się atakowana, krytykowana, a przede wszystkim byłam zła, że na oczach wypełniających tę salę ludzi wzbudza się we mnie poczucie winy, jakbym zrobiła coś niewłaściwego. Tylko jedno z tamtych pytań pamiętam wyraźnie: to, które zraniło mnie głęboko.

Koroner przerwał prokuratorce, żeby samemu zadać mi pytanie. Przyglądając mi się znad okularów, ten człowiek o lodowatym spojrzeniu zapytał: – Jaki miała pani powód, by wrócić do notatek, doktor Brown?

Nawiązywał do faktu, że po zakończeniu badania Daniela zalogowałam się do jego dokumentacji medycznej. Robiłam to niemal zawsze po tym, jak kogoś zbadałam, żeby się upewnić, że prawidłowo przepisałam notatki, że zdania mają sens i nie ma w nich literówek. Strażnicy zwykle chcieli jak najszybciej zakończyć procedurę i poddawali lekarzy presji, dlatego przeważnie przeglądałam jeszcze notatki, by mieć pewność, że mimo pośpiechu nie popełniłam błędów.

Zdezorientowała mnie jednak intencja stojąca za pytaniem. Miałam wrażenie, że sugeruje, iż próbowałam coś zatuszować. Może potraktowałam to zbyt osobiście, a on chciał po prostu zrozumieć moje powody, ale napięcie, które czułam, nie pozwalało mi myśleć jasno.

Oczekiwaniu na moją odpowiedź towarzyszyła wisząca w powietrzu grobowa cisza. A ja zamarłam. Słowa utknęły mi w gardle i nie byłam w stanie przemówić.

Z każdą mijającą sekundą byłam coraz bardziej świadoma, że wszyscy na tej sali myślą, iż zrobiłam coś złego. Bardzo mnie to bolało, bo wiele wysiłku wkładałam w to, by postępować właściwie, ale w tamtej chwili czułam się nic niewarta i bezużyteczna.

W głowie kotłowały mi się myśli, ale wciąż nie potrafiłam ich ubrać w słowa. W głębi serca wiedziałam, że gdybym tamtego wieczoru postąpiła inaczej, i tak nic by to nie zmieniło.

Czułam się, jakbym zaraz miała stracić przytomność. W końcu udało mi się odpowiedzieć na pytanie koronera i jakoś dotrzeć do końca tego koszmaru.

Odchodząc od pulpitu, trzymałam formę. Moje nogi jednak z każdym krokiem coraz bardziej zmieniały się w galarete.

Karen dała znak, że spotkamy się przed salą. Wyszłam za nią w milczeniu, czując, że wszystkie spojrzenia mnie odprowadzają, osądzają.

W rzeczywistości zapewne utkwione były w następnym świadku, którego właśnie zaprzysięgano. Kiedy dotarłam na gwarny korytarz, pozwoliłam sobie na małe westchnienie ulgi. Znowu mogłam oddychać.

– Dobra robota – powiedziała cicho Karen. – Świetnie się spisałaś.

Uśmiechnęłam się słabo i nagle do mnie dotarło, jak skrajnie jestem wyczerpana. Kiedy Karen mnie uściskała, pękłam. Objęłam ją i się rozplakałam.

– Już nie dam rady – szepnęłam, gdy już mogłam mówić.

Kojąco gładziła mnie po plecach.

– Już dobrze, minęło, jest po wszystkim.

Ale dla mnie to doświadczenie trwało nadal. Nie potrafiłam strząsnąć go z siebie, jak robiłam to z całym mnóstwem więziennych dramatów.

Podważyło moją pewność siebie. A przede wszystkim dogłębnie zachwiało moją wiarą we własne siły, bo nigdy jeszcze nie czułam się tak niedoceniana i niepotrzebna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Przez całe trzydzieści lat mojej praktyki lekarskiej poprzedzającej pracę w więzieniach, nigdy nie musiałam stawać przed sądem koronera. A w ciągu tych siedmiu spędzonych w Scrubs wymagano tego ode mnie czterokrotnie.

Z jakiegoś powodu zamiast coraz mniej mnie onieśmielać, za każdym razem stawało się to jeszcze bardziej stresujące.

Magia Scrubs prysła.

Tak się bałam konieczności następnego stawienia się w sądzie koronera, że niemal wpadłam w paranoję na punkcie sporządzania jeszcze bardziej drobiazgowych notatek na temat każdego badanego.

Strach przed przegapieniem czegoś prawie mnie paraliżował. Bałam się, że ktoś dopatrzy się u mnie niedociągnięć. Kiedyś powiedziano mi, że po więzieniu mam chodzić pewnym krokiem. Teraz czułam się tak, jakbym przez cały czas stąpała po kruchym lodzie.

Niedługo po tamtej rozprawie sądowej sytuacja się pogorszyła, bo w obieg weszła szczególnie perfidna partia spice'a. Skutki bywały krańcowo różne, ludzie, którzy po niego sięgali, albo zachowywali się jak zombi, albo szaleli i byli bardzo agresywni. Niektórzy dostawali ataków i tracili przytomność.

Drżałam o ich bezpieczeństwo i bałam się, że prędzej czy później palenie spice'a skończy się czyjąś śmiercią. Było tak źle, że syreny alarmowe rozlegały się wszędzie, a mnie cały czas pochłaniało przemieszczanie się z jednego bloku na drugi, aby doglądać więźniów, którzy albo dochodzili do siebie po tym narkotyku, albo musieli być obezwładniani przez strażników.

Jako lekarze byliśmy praktycznie bezradni. Czasami wysyłaliśmy ich do szpitala, ale tylko po to, by tamtejsi lekarze od razu odesłali pacjentów z powrotem do więzienia, twierdząc, że nie są w stanie pomóc: narkotyki musi sam opuścić ich organizmy.

Lęk przed następnymi zgonami pozbawił mnie radości z pracy, którą kiedyś przecież pokochałam. Kropla przepelniła czarę pewnego popołudnia, gdy zostałam pilnie wezwana na blok C. Dzięki pomocy pielęgniarki trafił tam do gabinetu jeden z więźniów, który zasnął na półpiętrze. Udało im się umieścić go na kozetce i nadal tam leżał. Był wychudzony i blady, całą jego twarz pokrywały krosty, a na dolnej wardze paskudnie jątrzyła się opryszczka. Wyglądał na niedożywionego, a zarazem na kogoś, kto od tygodni nie zaznał snu. Była już przy nim Sylvie, czekająca na to, by wprowadzić mnie we wszystko, co się tu stało.

– Dzięki Bogu, że pani jest – powiedziała. – Dzisiejszy dzień to koszmar.

Jedna akcja po drugiej. Co się porobiło z tym miejscem? – Potrząsnęła głową, ciężącą jej ze zmęczenia. – Znaleźliśmy Alexa, kiedy dostał ataku na półpiętrze. Jego kartotekę ma pani na ekranie.

Przeglądając tę dokumentację, przekonałam się, że dla Alexa więzienie to nie pierwszozna. To zamykano go, to wypuszczano, odkąd ukończył piętnaście lat, miał też bogatą historię medyczną. Początkowo myślałam, że może dostał ataku padaczki, ale w jego kartotece nie było nic o epilepsji.

– Sądzę, że odleciał na tym starym... – Sylvie, sfrustrowana, przewróciła oczami, kierując je w stronę sufitu. Instynkt podpowiedział mi, że ma na

myśli spicie.

– Nigdy więcej tego nie ruszę, pani doktor – wymamrotał więzień, a potem zaczęły nim targać gwałtowne odruchy wymiotne. – Tak strasznie mi źle.

Złapał się za brzuch, a z jego ust na kozetkę wyciekła gruba nitka śliny. Włosy miał jasnorude, twarz zaś wydawała się tak biała, że wyglądał jak trup. Nawet jego wargi utraciły kolor. W bezwzględnym świetle więziennych deali narkotykowych cierpieli zwykle ci najbardziej bezbronni. Handlarze czasami chcieli przetestować swój towar, by sprawdzić, jakie efekty wywoła. Często oferowali wtedy „darmowe” próbki więźniom mniej rozgarniętym lub pod innym względem ułomnym. Albo po prostu zmuszali ich do zażycia narkotyku, żeby zobaczyć, co się stanie. Zastanawiałam się, czy ten młody człowiek nie został wybrany na królika doświadczalnego.

On, z niepokojem w głosie, wyjaśnił: – Jednej nocy nie mogłem zasnąć. Ktoś poczęstował mnie jointem i to mnie uspiło. Następnej nocy pomyślałem, że to dobry pomysł, i tak się wciągnąłem. – Patrzył na mnie z rozpaczą, szukając współczucia.

– Kiedy nie możesz spać, to tak jakbyś zaliczał podwójną odsiadkę.

Termin „podwójna odsiadka” słyszałam przez te lata wielokrotnie, zwykle wtedy, gdy więźniowie desperacko liczyli na to, że przepiszę im środki nasenne. Mogłam sobie wyobrazić, że gdy noce dłużą się tak samo jak dni, wyrok musi wydawać się dwa razy dłuższy. Jeszcze boleśniej przeżywają to zapewne ci na izolu.

– Kiedy ćpam, nic nie czuję, nic nie widzę. Dlatego biorę... Narkotyki pozwalają zapomnieć, że tu jestem. Odcinają od wszystkiego. Zamykam oczy.

Czuję się spokojny i zrelaksowany. Nawet nie mogę się poruszyć. Odpływam, a czas leci, normalnie śmiga – wyznał Alex, zanim znów chwyciły go torsje.

– Ale nigdy przedtem nie brałem spice’a i nigdy więcej tego nie zrobię.

Nigdy!

Nic nie mogłam dla niego zrobić. Nie wiedziałam, jak podziałał tamten narkotyk, a w życiu nie podałam mu innego środka, bo to mogłoby pogorszyć jego stan. Pozostawało jedynie pozwolić, by jego organizm sam sobie poradził.

Ceniłam to jego szczere przyznanie się do zażywania narkotyków, zwłaszcza że wiedział, że może go za to spotkać kara. Mówiąc prawdę, oszczędził mi masę czasu, który straciłabym na rozważanie możliwych przyczyn jego ataku i prawdopodobnie na wysłanie go do szpitala na dalsze badania i obserwację. Tego dnia uświadomiłam sobie, że zatrważająco gwałtowny wzrost spożycia spice’a na obszarze całego więzienia wymknął się spod kontroli i że ja nie jestem w stanie dłużej tu pracować.

Mój czas dobiegł końca.

Kochałam pracę w Scrubs. Kochałam przekomarzanki, zgiełk, podekscytowanie. Kochałam to, że gdzieś przynależę. Uwielbiałam fakt, że strażnicy i wielu więźniów mnie znali. Stałam się w tym zakładzie karnym tak swojskim widokiem, że czułam się, jakbym w niego wrosła. Moja decyzja była naprawdę trudna, ale wiedziałam, że słuszna. Po siedmiu latach w osławionym wiktoriańskim więzieniu uznałam, że nadszedł czas je opuścić.

Nie lubię wielkich pożegnań, bo się za bardzo rozczulam. Dlatego tylko nielicznych powiadomiłam, że odchodzę. Jedynie moi najbliżsi przyjaciele

ze Scrubs wiedzieli, że sierpniowe Święto Bankowe w 2016 roku będzie moim ostatnim dniem w pracy.

David jak zawsze poparł to, że się zwalniam, a także to, że nie rezygnuję z pracy za kratami. Zdecydowałam się bowiem zmierzyć z tym, czego najbardziej się bałam – z pracą w więzieniu dla kobiet.

Wielu strażników i ludzi z personelu medycznego przestrzegało mnie przed tym, mówiąc, że więźniarki mogą stanowić znacznie większe wyzwanie, a poziom samookaleczeń jest wśród nich bardzo wysoki. Naczelnik Frake przekazała mi kilka gorzkich prawd wynikających z jej szesnastoletniej pracy w niesławnym Holloway. Wyznała, że zdecydowanie woli mieć do czynienia z mężczyznami i że musiałabym być stworzona do tej roboty. Ale nadeszła pora na spróbowanie czegoś nowego, zapisałam się więc na dyżury w HMP Bronzefield, więzieniu dla kobiet typu zamkniętego, mieszczącym się w Ashford. Od zamknięcia HMP Holloway jest to największe w Europie więzienie o zaostrzonym rygorze dla kobiet.

Więzienia dla kobiet nie podlegają takiej samej klasyfikacji jak te dla mężczyzn, dzieli się je jedynie na zakłady typu zamkniętego i typu otwartego.

Ten nowoczesny kompleks budowli, otwarty w 2004 roku, niemal w niczym nie przypomina Scrubs. Więzienie składa się z liczących po cztery budynki bloków, z których każdy mieści do stu trzydziestu pięciu kobiet. Mają tam także liczący dwanaście łóżek oddział matki i dziecka, na którym malcy przebywają do ukończenia osiemnastu miesięcy. Inaczej niż w Scrubs, naczelnik numer jeden jest tu nazywany dyrektorem, więźniarki to rezydentki, a izol to oddział separacji i opieki.

Moim ostatnim krokiem na pożegnalnej zmianie w Scrubs towarzyszył niewiarygodny smutek. Oto kończyła się pewna era, ale podjęłam już decyzję i myślami byłam przy następnym rozdziale mojego życia.

Akurat gdy schodziłam po schodach z metalowej kratki na parter bloku B, z torbą przerzuconą przez ramię i stopami zmęczonymi po kolejnym długim dniu, cały budynek eksplodował łomotaniem i dobiegającymi zewsząd krzykami. Brzmiało to tak, jakby wybuchły zamieszki.

– Pierdolony ślepunder! – dobiegło z prawej strony.

– Dawaj! – Z lewej.

– Aaanglia! – To dla odmiany z góry.

Przywykłam do takich wybuchów, zawsze towarzyszących meczom piłkarskim w telewizji. Ilekroć padł gol, zrywali się chyba wszyscy, a hałas był ogłuszający. To zawsze wywoływało u mnie uśmiech. W takich chwilach w Scrubs mnóstwo ludzi było szczęśliwych.

Kiedy doszłam do bramy, jeden ze strażników wyszczerzył się w uśmiechu.

– Anglia właśnie strzeliła! – powiedział. – Najgorsze jest to, że człowiek nie obejrzy meczu.

– Jak pech, to pech – odparłam, sięgając po moje klucze, on jednak okazał się na tyle miły, że podszedł.

– Pani pozwoli. – Jego klucze zagrzechotały w starym zamku. Ostatni raz słyszałam ten dźwięk. – Dobranoc, pani doktor – dodał. – Bezpiecznej drogi do domu.

Odzwajemniłam jego uśmiech, chociaż mój nie sięgał w głąb.

– Dobranoc.

Tak oto zniknęłam z tego więzienia. Nie wiem, czy zostawiłam tam po sobie jakiś ślad, miałam jednak nadzieję, że na swój skromny sposób niektórym z tych ludzi pomogłam.

Będzie za czym tęsknić.
Za wszystkim.

CZĘŚĆ TRZECIA

HMP BRONZEFIELD

2016–do teraz

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Był Nowy Rok, a we mnie zaświtała niezwykła nadzieja, gdy otwierałam ostatni zestaw żelaznych drzwi i bram wiodących do ośrodka opieki zdrowotnej.

Nadzieja, że może, po prostu może, niektóre z kobiet co jakiś czas na moich oczach ponownie trafiających do więzienia już tu nie wrócą. Że chociaż kilku uda się wyrwać ze złowrogiego kręgu narkotyków, przestępstw i bezdomności, w którym tak wiele z nich od lat tkwiło.

Listę porannych przyjęć miałam całkiem zapełnioną, a mój pogodny nastrój szybko prysł, gdy zobaczyłam na niej nazwisko Jane.

Bardzo polubiłam Jane i ogromnie było mi jej żal.

Miała dwadzieścia jeden lat, była wysoka, atrakcyjna, nader inteligentna i elokwentna. Niestety miała też nadzwyczaj złożone problemy ze zdrowiem psychicznym oraz bogatą i urozmaiconą historię samookaleczeń, obejmującą cięcia na rękach, polewanie się wrzątkiem oraz połykanie sztućców i długopisów.

Mimo młodego wieku połknęła już tyle ciał obcych, że w celu ich wydobycia przeszła dwadzieścia gastrokopii. Podczas ostatniego pobytu w szpitalu usłyszała, że w jej przypadku zabiegi stają się coraz bardziej ryzykowne i że ma jakoś spróbować z tym skończyć. Jak tylko weszła do

mojego gabinetu, z obojętnością wymalowaną na twarzy i pustym spojrzeniem, wiedziałam, że znów coś sobie zrobiła. Tym razem połknęła plastikowy nóż i widelec. Mówiła bardzo mało, ale nauczyłam się już ją rozumieć i nie musiałam za dużo pytać, co zresztą doceniła. Co za smutne, tragiczne życie, pomyślałam, uzgadniając jej kolejne przyjęcie do szpitala.

Po lunchu poszłam do recepcji, zobaczyć nowo przywiezione z sądu, i tam powitała mnie Helen.

– Szczęśliwego Nowego Roku, pani doktor! – powiedziała z radosnym uśmiechem. Niedługo czekało ją wyjście po odsiedzeniu dwóch lat za oszustwo.

Była jedną z więźniarek, które pracowały w recepcji – zarabiały od dwóch funtów czterdziestu pensów do trzech funtów dwudziestu pensów dziennie, w zależności od rodzaju roboty. Do Helen należało wydawanie nowo przybyłym „pakietów powitalnych”. Każdy pakiet zawierał: nóż, widelec, talerz i kubek (wszystko z plastiku); szampon, pastę do zębów i szczoteczkę, mydło, odżywkę i szczotkę do włosów bez żadnego logo; sześć nowych par majtek, sześć par skarpet, dwa T-shirty, dwa dresy, dwie bluzy i koszulę nocną; do tego po paczce herbaty i cukru. Dobytek własny więźniarki musiał się zmieścić w jednej białej siatce.

Na ulokowanie się w małym gabinecie bez okien miałam około dziesięciu minut, bo potem zacznie się badanie rzeki nowych więźniarek skierowanych tu przez sąd. Wiele z nich najprawdopodobniej wyląduje na odwyku od narkotyków lub alkoholu.

Ruszyłam w głąb znajomego korytarza, oblewanego surowym światłem nieosłoniętych niczym lamp, przy wtórze popiskiwania butów na niebieskim nakrapianym linoleum pokrywającym podłogę. Sfatygowane białe ściany, poznaczone czarnymi rysami. Owionęła mnie lekko mdląca mieszanina zapachów posiłków z mikrofali i kawy rozpuszczalnej. Tymi

daniami częstowano nowo przybyłe, jako że na swoje bloki miały trafić za późno, by móc liczyć na posiłek ze stołówki.

Po lewej minęłam tablicę z przedstawionym w formie obrazków systemem rozliczeń finansowych z osadzonymi.

Dalej, po prawej, znajdował się pokój, w którym czekały na badanie nowe rezydentki, a na lewo ode mnie coś na kształt lady sklepowej, przy której sprawdzano i zbierano ich rzeczy. Hajon i Jenny, dwie urocze strażniczki, uśmiechnęły się i powitały mnie radosnym: – Pani doktor, witamy.

– Duży ruch dzisiaj? – zapytałam je. Miałam nadzieję, że w Nowy Rok będzie nie za dużo przyjęć.

– Nie jest tak źle, pani doktor – odparła Hajon. – Jedyne dziesiątka.

W Święta Bankowe pracowały tylko sądy magistrackie, nie zaś koronne.

W normalny dzień przywożono nawet do trzydziestu rezydentek, toteż z dziesięcioma łatwo było sobie poradzić. Kiedy przechodziłam obok oszklonego okna poczekalni, przez gwar przebił się jeszcze jeden głos, naglący i z silnym akcentem z hrabstwa Essex.

– Elo, doktor Brown...

Tak dobrze był mi znany, że nie patrząc, wiedziałam, do kogo należał. Ręce mi opadły.

Poprzedni raz Paulę widziałam zaledwie pięć dni wcześniej. Dostała ode mnie receptę, bo wypisywano ją z więzienia. Pięć dni temu wyszła na wolność. Kiedy się ostatnio widziałyśmy, była umalowana, gęste kasztanowe włosy miała umyte i zaplecione w zgrabny warkocz, a oczy żywe i pełne nadziei. Powiedziała, że tym razem po tamtej stronie jej się uda.

Teraz wyglądała całkiem inaczej – zgarbiona, już w przysługującym jej dresie. Oczy miała zapuchnięte i czerwone, a długie włosy, brudne i

skołtunione, w połowie przesłaniały jej twarz. Rąk nie widziałam, ale podejrzewałam, że przybyło na nich śladów po igłach.

Paulę już przepytала pielęgniarka w recepcji, więc miała być przebadana jako pierwsza. Wezwałam ją do siebie.

– Jak dobrze panią widzieć, pani doktor – powiedziała przez łyzy.

Przyjrzałam się jej czołu i ucieszyło mnie, że tym razem się nie pocięła, ale wiedziałam, że to może nastąpić, jeżeli nie podam jej szybko odpowiedniego środka. Samookaleczenia Pauli sprowadzały się zwykle właśnie do cięcia czoła. Nasilało się to, ilekroć popadała we frustrację i ulegała emocjom, a także, oczywiście, kiedy źle się czuła na głodzie narkotycznym i alkoholowym.

Wyszła z receptą na pięćdziesiąt mililitrów metadonu, sądziłam jednak, że zapewne nawet nie zgłosiła się z nią do apteki, albo dlatego, że nie chciała sobie zawracać tym głowy, albo, co bardziej prawdopodobne, ponieważ znów zaczęła brać heroinę, jak wtedy, gdy jeszcze była bezdomna.

Bardzo wiele spośród kobiet, które leczyłam w więzieniu z uzależnienia od narkotyków i alkoholu, nie miało domu. Wcześniej pojęłam, że to właśnie bezdomność leżała u podstaw błędnego koła prochy–przestępstwo–więzienie.

Jedna z pań powiedziała mi kiedyś, że jeśli po wypuszczeniu z więzienia nadal będzie bezdomna, prawie na pewno wróci do ćpania, ponieważ jedynym dachem nad głową, jaki znajdzie, będzie narkotykowa melina. Żeby zaś się do niej dostać, będzie musiała mieć narkotyki, których część da osobie prowadzącej metę, a z reszty skorzysta sama.

Wiele mówiło mi też, że chciały wrócić do więzienia, żeby znów spać w łóżku. Kartoteka medyczna Pauli była bogata. Miała trzydzieści osiem lat, a od ponad dwudziestu była uzależniona od alkoholu, kokainy i heroiny. W

2010 roku wykryto u niej żółtaczkę typu C, ale nigdy nie przeszła leczenia, głównie z uwagi na chaotyczny tryb życia.

Do więzień zaczęła trafiać w wieku osiemnastu lat. Najdłuższy wyrok otrzymała jako dwudziestojednolatka – sześć lat, z czego odsiedziała cztery i dziesięć miesięcy. Większość jej przestępstw sprowadzała się do kradzieży na potrzeby zaspokajania nałogu narkotykowego. Wynoszenie ze sklepów i supermarketów – zgarniała wszystko, co wpadło jej w ręce, by mieć na życie i przehandlowywać to za crack lub heroinę.

W odróżnieniu od większości kobiet, które tu poznałam, miała dobre dzieciństwo i uczęszczała do szkoły podstawowej dla dziewcząt. Zawsze miała poczucie bezpieczeństwa, ale potem jej życie całkiem się wykoleiło, bo gdy miała piętnaście lat, jej ojciec porzucił dom dla innej kobiety. Ten szok pozbawił ją gruntu pod nogami.

Zacząła się obracać w nieodpowiednim towarzystwie, w grupie starszych tak zwanych przyjaciół, którzy wciągnęli ją w narkotyki. Pierwsza była marihuana, która rychło przeszła w palenie, a potem wstrzykiwanie heroiny i cracku, co doprowadziło ją do uzależnienia.

Zalewając się łzami, relacjonowała ze zgrozą, jak to została naszprycowana narkotykami, potem wykorzystana seksualnie, a jeszcze później wpadła w rozpacz, bo prochy przestały działać i dotarło do niej, co się wydarzyło.

– Zostawili mnie w parku, żebym umarła – łkała, opowiadając mi, jak po ocknięciu się w mroźny dzień odkryła, że guziki bluzki ma oberwane.

Biustonosz był tak przekrzywiony, że każdy przechodzień mógł widzieć jej piersi.

– To traciłam przytomność, to odzyskiwałam, ale czułam w sobie ból zaczynający się tam, gdzie mnie gwałcono. Paliło, a nie mogłam się ruszyć.

Pomógł jej przypadkowy przechodzień, który zawiózł ją do szpitala, ale żadna ilość leków nie wystarczyłaby na rany zadane jej psychice. Poczucie własnej wartości prysło, a życie Pauli wymknęło się spod kontroli.

– Moim prawdziwym demonem jest crack, pani doktor.

Opowiedziała mi, jak wydawała na skryzalizowaną postać kokainy nawet dwieście funtów dziennie.

– Blokuje wspomnienia. Przegania ból. Pani rozumie, prawda, pani doktor?

Niestety, dzięki opowieściom wielu kobiet aż za dobrze rozumiałam ten rodzaj autodestrukcji.

Paula była osobą ciepłą, inteligentną i błyskotliwą, z uroczym poczuciem humoru, i wielokrotnie słyszałam, jak mówiła, że chciałaby przemodelować swoje życie. Autentycznie pragnęła je zmienić, ale po wyjściu z więzienia zawsze wracała do starych nawyków, bo tylko je znała. Śledziłam jej wzloty i upadki i z czasem naprawdę ją polubiłam. Chciałam zobaczyć, jak staje na nogi, i za każdym razem, gdy znikwała z mojego gabinetu, życzyłam jej, by znalazła dość sił, żeby coś zmienić.

Przygotowałam się teraz na najnowszy rozdział jej tragicznej historii. Wyglądała na wyczerpaną. Ostre światło nikomu nie służy, ona jednak wyglądała wyjątkowo biednie; wyraziste zmarszczki pod oczami postarzały ją o co najmniej dziesięć lat.

– Pani doktor, ja już nie wiem, jak sobie radzić, kiedy stąd wychodzę. – Paula znowu się rozplakała, zaczęłam więc rozglądać się po gabinecie w poszukiwaniu pudełka chusteczek. Ku mojej rozpaczy niczego takiego nie było. Oderwałam więc kawał niebieskiego papierowego ręcznika, zakrywającego kozetkę, i go jej podałam.

– Masz, kochana – powiedziałam.

Głośno wydmuchwała nos, a potem udało jej się wycisnąć z siebie uśmiech. Otoczyłam ją ramieniem, próbując pocieszyć. Powinnam przejść teraz przez rutynowe pytania komputerowego kwestionariusza: dlaczego znalazłaś się w więzieniu? Skazana czy aresztowana? Jeśli skazana, to na jak długo, i tak dalej.

Widziałyśmy się teraz tu, w recepcji, po raz dziewiąty w ciągu osiemnastu miesięcy i niemal każdą z tych rubryk mogłam wypełnić, nawet nie pytając o szczegóły.

Paula, kryjąc twarz w dłoniach, powtarzała: – Ja nie wiem, jak przetrwać. Po prostu nie wiem, jak to zrobić.

Było jasne, że Paula chce zmienić swoje życie, ale nie widzi na to sposobu. U mnie szukała odpowiedzi, ale ja żadnych nie miałam. Przez lata nauczyłam się, że często najlepszą i najbardziej użyteczną rzeczą, jaką mogę zrobić, jest słuchanie, pozwalanie, by ludzie wylewali przede mną swoje problemy.

– To co zrobiłaś tym razem? – zapytałam łagodnie.

Paula wbiła wzrok w podłogę. Widziałam, że się wstydzi, bo wtuliła się w oparcie twardego krzesła z brązowego plastiku. Szarpiąc za jeden ze swoich skołtunionych kosmyków, zaczęła opowiadać mi, jak wszystko zaczęło się sypać, gdy wyszła z więzienia.

– Planowałam zostać u mamy, ale to nie wypaliło, więc wróciłam na ulicę, a tam panował mróz. Spałam pod wiatą śmietnikową w Ashford, niedaleko więzienia.

Strach było pomyśleć, jak się czuła, dwa dni po Bożym Narodzeniu, samotna i bezdomna. Tak się uzależniła od instytucji, że bezpieczniej czuła się w pobliżu więzienia niż w swoim rodzinnym mieście.

Jak podejrzewałam, Paula nie poszła do apteki, żeby zostać przy metadonie, a wróciła do heroiny. Do więzienia trafiła tym razem, ponieważ

zwinęła gorzałę i żarcie z miejscowego supermarketu.

– Pomyślałam, że mam załamanie nerwowe, bo wyobrażałam sobie, że jacyś ludzie mnie śledzą, a nikogo nie było. Mam paranoję. Jak pani sądzi, mam paranoję? – trajkotała bez tchu.

W jej dokumentacji medycznej nie odnotowano żadnych psychoz, ale już wielokrotnie miałam do czynienia z nieprzewidywalnymi zachowaniami towarzyszącymi głodowi narkotykowemu i alkoholowemu. Paranoja była dość powszechnym objawem.

Ręce kobiety były poznaczone bliznami po głębokich ranach od noża, które z rozpaczy sama sobie zadawała. Ślady skaleczeń krzyżowały się na skórze.

Nacięcia na czole były bardziej powierzchowne, ale niestety i lepiej widoczne – jakby tatuaż na cześć jej udręki.

Gdyby nie poróżniła się z mamą i miała gdzie mieszkać, niemal na pewno skorzystałaby z szansy na zerwanie z narkotykami i trzymałaby się z dala od więzienia. Ale jak wyznała mi jakiś czas przedtem, choć matkę uwielbiała, z trudem z nią wytrzymywała z uwagi na jej partnera.

– Dobierał się do mnie, kiedy mama wyszła po zakupy. Powiedziałam mu, żeby trzymał łapy przy sobie i że parszywy z niego sukinsyn, skoro napala się na mnie, choć żyje z moją mamą. Poniosły go nerwy i dał mi z liścia w twarz.

Upadłam, waląc głową w róg kanapy. Złapał mnie za włosy i wlaź mi na plecy, pchając głowę w dół, ale nie dałam mu się dorwać. Kopałam go i gryzłam w rękę, aż udało mi się uwolnić i pobiec do drzwi.

Oto kolejna opowieść o mężczyźnie wykorzystującym słabość. Wyczułam, że to spotkanie zraniło ją bardziej od innych prób wykorzystania – zapewne dlatego, że narzucono jej sytuację mogącą pogorszyć jej już i tak nadwątlone relacje z matką.

Paula, choć ledwie uniknęła zgwałcenia, nie mogła zdobyć się na to, by jej o tym powiedzieć.

– I tak by mi nie uwierzyła, pani doktor. Zrobi wszystko, żeby go zatrzymać.

Paula jednak nie tylko ze względu na przyjaciela matki miała opory przed odwiedzinami u niej. W wielkim stopniu powstrzymywało ją przed tym poczucie wstydu. Nie chciała, żeby jej mama widziała, do jakiego stanu się doprowadziła – fizycznego i psychicznego. Wstydziła się kobiety, jaką się stała, i to dlatego kryła się wśród ludzi, którym zależało nie na niej, a na podsycaniu jej nałogów.

Nie wnikałam zbyt w kwestię jej ostatniego przestępstwa. W przypadku Pauli zwykle chodziło o jedno – kradła alkohol. Piła tego, żeby znieczulić ból przeszłości. Jedzenie kradła, bo przymierała głodem.

W policyjnym areszcie spędziła dwie noce poprzedzające rozprawę przed sądem magistrackim, który – ze względu na wcześniejsze wyczyny Pauli – wymierzył jej karę sześciu tygodni więzienia.

Widziałam, jaka jest zażenowana tym, że wróciła za kratki tuż po tym, jak się zarzekała, że tym razem będzie inaczej. Oczywiście wtedy w to wierzyła.

Nadal wpatrywała się w podłogę, bo zadawałam pytania o to, do czego nie chciała się odnieść – o żółtaczkę typu C.

Trudno jej było na mnie patrzeć, ponieważ wiedziała, że wymaga leczenia, i czuła się winna, że nie zrobiła nic, by sobie pomóc.

Żółtaczką typu C można się zarazić, dzieląc z kimś igły, dlatego niestety nie jest ona w kręgach narkomanów problemem niezwykłym. Na szczęście wątroba Pauli jeszcze funkcjonowała normalnie, a krew miała badaną podczas ostatniego pobytu w więzieniu i żadnych anomalii wtedy nie stwierdzono. Nie widać było też u niej żadnych oznak dysfunkcji wątroby i

choć pewien niewielki procent chorych na tę postać żółtaczkę wychodzi z niej bez leczenia, bała się, że jeśli prędzej czy później nie otrzyma pomocy, ta choroba może ją zabić. Niestety, zamiast zmierzyć się z tym problemem, chowała głowę w piasek i nic w tym kierunku nie robiła.

Za to, jeśli akurat nie przebywała w więzieniu, nadal bardzo dużo piła, próbując się w ten sposób rozgrzewać, a także blokować lęki, myśli i wspomnienia – oczywiście z wielką szkodą dla wątroby, dlatego niezwykle było, że nadal funkcjonowała normalnie. Jedyną szansę na leczenie dawałby Pauli kilkumiesięczny pobyt w jednym miejscu, ale nigdy nie przebywała w więzieniu lub poza nim tak długo, by można było jej pomóc. Sześć tygodni za kratami komuś mogłoby się wydawać prawie dożywociem, ale mnie nie dawało wystarczająco wiele czasu, by pomóc Pauli w rozpoczęciu kuracji.

Mogłam tylko liczyć na to, że pod koniec tej odsiadki w Bronzefield przestawi się już na metadon. Tylko ona bowiem mogła zdecydować, kiedy zapragnie odmienić swoje życie.

Przepisałam jej wszystkie leki, a ona tuż przed wyjściem mocno mnie uściskała ze łzami w oczach.

– Niech Bóg panią błogosławi, pani doktor – powiedziała.

Z ulgą wymalowaną na twarzy odwróciła się jeszcze do mnie i wyznała:
– Czuję się tutaj jak w domu.

Dotarło do mnie, że jej nałóg nie sprowadzał się tylko do narkotyków. Uzależniła się od poczucia bezpieczeństwa, które dawało jej więzienie. To było niemiłosiernie smutne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Trzeba by zacząć od tego, że moja praca w Bronzefield skupiała się na oddziale opieki zdrowotnej, dyżurach internistycznych i badaniu nowo przybyłych w recepcji. Bardzo rzadko wzywano mnie w pilnych sprawach na bloki. Tym, generalnie, zajmował się personel pielęgniarski.

Moja zmiana trwała od dziewiątej trzydzieści do szesnastej trzydzieści w dni powszednie (choć nigdy nie udawało mi się kończyć jej o czasie) lub do dwudziestej pierwszej, jeżeli obejmowała też wieczorne sesje na recepcji. Praca była urozmaicona, męcząca i często wyczerpująca pod względem emocjonalnym, ale niewątpliwie dawała też ogromną satysfakcję.

Obowiązki dzieliłam z pięcioma innymi lekarzami, pracując średnio trzy dni w tygodniu. Pierwszym zadaniem każdego dnia były odwiedziny u rezydentek na oddziale separacji i opieki lub u tych umieszczonych na oddziale opieki zdrowotnej. Robiliśmy to na przemian, jednego dnia w jednym z tych miejsc, następnego w drugim. Potem zaczynałam przyjmować pacjentki, zapoznawać się z najróżniejszymi problemami także tych osób, które dowieszone zostały poprzedniego dnia zbyt późno, by mógł je zbadać internista w recepcji. Tymi, którym odstawiono narkotyki lub alkohol, po dwudziestej pierwszej zajmował się przywołany lekarz, ale

tylko pod kątem przepisania niezbędnych lekarstw, a sporządzanie pełnego wywiadu medycznego odkładano na następny dzień.

Na popołudnie była przewidziana kolejna seria wizyt pacjentek z rutynowymi problemami zdrowotnymi, z wynikami badań, które należało odnotować, oraz po odnowienie skierowań i recept.

Dni były pełne pracy, ale zachwycało mnie, jak wiele kobiet chce się przede mną otworzyć. Ich historie okazywały się fascynujące, często tragiczne, a czasem niemal zbyt szokujące, by w nie uwierzyć. Dla wielu z nich stałam się ramieniem, na którym mogły się wypłakać, i wcale mi to nie przeszkadzało. Wprost przeciwnie, czułam się uprzywilejowana możliwością wysłuchiwania tych opowieści, które zawsze kończyły się tak samo: dostawałam lekcję pokory. Czasami nawet dzieliłyśmy chwile cudownego rozbawienia, zwłaszcza gdy posługiwały się wyrażeniami (często bardzo dosadnymi!), z którymi nigdy przedtem się nie zetknęłam.

Moje obawy przed pracą w więzieniu dla kobiet okazały się całkowicie nieuzasadnione. Od dnia jej rozpoczęcia czułam, że jestem przez nie akceptowana i pochlebiano mi, gdy uznawały, że mogą mi się zwierzyć. Jedną z najmilszych rzeczy, które słyszałam na zakończenie badań, było: „Dziękuję, że mnie pani nie osądzała”. Niektóre z więźniarek były samotne i wystraszone, ale wiele spośród stałych bywalczyń wydawało się cieszyć możliwością pogawędki i często zdobywały się na żarty. Zdumiewało mnie też to, jak wiele kobiet ujawniało, że w więzieniu czuje się bezpieczniej niż za murem.

Jedna z pań wyjawiała mi, że od siedmiu lat tkwiła w związku opartym na przemocowej kontroli i że dopiero pierwszej nocy w zakładzie karnym poczuła się w swoim łóżku bezpieczna!

Inna stwierdziła, że za kratami zaznaje więcej wolności niż poza więzieniem, bo znajduje się poza zasięgiem mężczyzny

podporządkowującego ją sobie od dwunastu lat.

Straszne i szokujące.

Szybko się zorientowałam, że znaczny procent kobiet przebywających w tej placówce to w rzeczywistości ofiary. To może najbardziej uderzający fakt odnoszący się do więźniarek. Ich opowieści o wykorzystywaniu, biciu, gwałceniu i podporządkowywaniu zarówno fizycznym, jak i psychicznym, były ogromnie przejmujące.

Zanim podjęłam pracę tam niepokoiło mnie, że te kobiety mogą postrzegać mnie jako kogoś ze sfer uprzywilejowanych i zakładać, że nie będę w stanie zrozumieć ich bolączek. To, że decydowały się mi zaufać, było cudowne.

Przestępstwa, za które je karano, stanowiły często bezpośrednie konsekwencje przemocy, której były poddawane. Słyszałam kobiety wyjaśniające, że zabiły swoich partnerów po latach dręczenia, by chronić siebie albo zapewnić bezpieczeństwo dzieciom. Niezliczone wyjawiały, jak Paula, że tkwią w kręgu nałogu narkotykowego i zbrodni, w którym znalazły się na skutek przemocy. Jej wspomnienie nadal je nawiedzało i nie mogły zerwać z narkotykami stępiającymi ich ból, wymazującymi czas, kasującymi wspomnienia. Do wyboru miały albo to, albo samookaleczenie. Albo jeszcze gorzej: targnięcie się na własne życie, a dla wielu z tych kobiet przychodziła chwila, gdy podejmowały takie próby.

W kwietniu 2017 roku poproszono mnie, bym poprowadziła na bloku pierwszym badania pod kątem szkodliwego używania substancji psychoaktywnych. To może dziwne, ale dostrzegłam w tym najgorszego z demonów, z jakimi się mierzyłam, bo choć miałam niezbędne kwalifikacje, autentycznie nie chciałam podjąć się tego zadania.

Wynikało to z faktu, że do tamtej pory jedyny mój kontakt z osobami nadużywającymi środków psychoaktywnych następował w recepcji, kiedy

to czuły się one nadzwyczaj niedobrze z uwagi na symptomy odstawienia.

Niektórym udawało się wchodzić w kontakt ze mną w uprzejmy i spójny sposób, wiele jednak było grubiańskich, roszczeniowych, pałających złością, wkurzonych albo po prostu desperacko złaźnionych leku, który położył kres okropnemu samopoczuciu. Rozumiałam je i im współczułam, ale szczerze mówiąc, nie podobała mi się perspektywa pracy z tak gniewnymi i agresywnymi więźniarkami. Ku memu zdziwieniu przekonałam się, że ta robota cieszy, a wkrótce też pojęłam, jak urocza jest większość tych kobiet, gdy nie cierpią z powodu odstawienia. Ich historie były okropne i smutne, ale też poruszające i na tyle ważne, że należało się nimi dzielić. Zaczynałam coraz lepiej rozumieć, na czym polega ich fizyczne i emocjonalne uzależnienie od narkotyków.

Czarująca dama imieniem Andrea wyjaśniła, że branie heroiny było dla niej niczym owijanie się ciepłym kocem, pod którym czuła się bezpieczna i otoczona opieką.

– To jak jedzenie ready brek.

– Ready brek? Tej śniadaniowej owsianki? – zapytałam.

– Tak, też sprawia, że rodzi się w tobie blask. Jak w tej reklamie, gdzie kiedy ją jedzą, zaczynają świecić. To uczucie obejmuje jak kokon, tuli i sprawia, że wszystko wydaje się bezpieczne. Kiedy weźmiesz heroinę, dasz radę stawić czoła najgorszym demonom. Obdarza cię siłą. Jest twoją najlepszą przyjaciółką. Jest dla ciebie mamą, tatą, całą rodziną, jaką masz... wszyscy w jednym i tylko dla ciebie. Tak właśnie odczuwa się heroinę.

Wszystkie moje problemy, depresje, niepokoje zamyka jak w pudle. Na heroinie możesz odejść kawałek, popatrzeć na nie z daleka i pomyśleć, że same się sobą zajmą.

– Daje ci fałszywe pojęcie o życiu. Nic nie jest takie, jak ci się zdaje.

Spojrzała na mnie głęboko osadzonymi oczyma.

– Daje mi życie, o jakim marzę.

Te słowa zawisły w powietrzu, nagle gęstym jak jej dramat. To, czego nie powiedziała, powód, dla którego kryła się w kokonie narkotyku, był tak oczywisty, że nikt nie zaprzętał sobie tym głowy. Andrei przytrafiło się coś okropnego. Była boleśnie chuda, a w jej oczach widziało się udrękę. Kiedy siedziała naprzeciw mnie, odniosłam wrażenie, że emocje i uczucia już się w niej wypaliły, jakby życie całkiem ją wyczerpało.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Od jak dawna bierzesz?

Andrea odsunęła za ucho kosmyk potarganych jasnych włosów. U nasady były tłuste, końcówki miały przesuszone i rozdwojone, zresztą nie zostało ich wiele.

– Dwadzieścia pięć lat – powiedziała ze spokojem. – Chociaż miałam krótkie okresy, gdy byłam czysta.

Niektóre spośród przyznających się do brania, wstydziły się swojego nałogu i stylu życia, krępowwały się też mi o tym mówić w obawie przed osądzeniem.

– Rozumiem – zapewniłam ją.

Odrobinę się rozluźniła, a potem podwinęła rękawy swetra i pokazała mi ręce pokryte bliznami i odbarwieniami.

– Tu już nie wkłuję, robiłam to tyle razy, że wszystkie żyły w rękach i nogach za bardzo zmasakrowałam. – Walcząc ze łzami wstydu, powoli podniosła palec i wskazała maleńkie żyłki, biegnące pod oczami. – Wstrzykuję więc tutaj, w jedyne miejsce, jakie zostało.

To mnie przeraziło.

– Och, Andrea!

Pokręciła głową, usiłując przegnać łzy, i mocno odchrząknęła, z determinacją biorąc się w garść. Wiele spośród kobiet, które badałam w

Bronzefield, broniło się przed opuszczeniem gardy. Przypuszczam, że kiedy to robiły, spotykało je za dużo okropnych rzeczy.

Moja rola ograniczała się do przepisania Andrei odpowiedniej dawki metadonu, aby zapobiec objawom odstawienia heroiny, przez które tak źle się czuła. Chciałam też jednak zrozumieć, dlaczego w ogóle sięgnęła lata temu po narkotyki. Zapytałam ją, czy coś konkretnego spowodowało, że zaczęła brać, czy to po prostu wpływ życia, jakie wtedy wiodła.

– Zaczęłam, kiedy miałam dwadzieścia siedem lat – powiedziała. – Po tym, jak mnie zaatakowano młotkiem ciesielskim.

Wytrzeszczyłam oczy, zaszokowana tym, co słyszę.

– Miałam wykład na temat programowania komputerowego, a firma, która mi go zleciła, ulokowała mnie w jednym z londyńskich hoteli. Wieczorem, kiedy do niego wracałam, dwóch mężczyzn próbowało wyrwać mi torebkę, a ja nie zamierzałam im jej oddać. Chociaż niewiele w niej miałam, nie chciałam, żeby dostała się w ich ręce. – Nagle jej głos zaczął się łamać. – Pani doktor, ma pani chusteczkę?

Przyszłam zaopatrzona w kilka paczek. Pogrzebałam w torbie i jedną jej podałam. Osuszyła łzy, które zebrały się w kąciakach jej oczu. Z wysiłkiem wydobywając z siebie słowa, dodała: – Teraz żałuję, że im jej po prostu nie dałam. Pokiwałam głową ze współczuciem. Tylko tyle mogłam zrobić.

– Kiedy im się postawiłam, jeden z nich wyciągnął młotek ciesielski. To wszystko stało się tak szybko, odchylił rękę i walnął mnie nim bardzo mocno w głowę.

Zmrużyłam oczy, wyobrażając sobie tę okropną scenę. Andrea powoli opuściła głowę i trochę rozchyliła włosy, ukazując wyraźne wgniecenie u góry czaszki.

– O mój Boże – szepnęłam.

– Strasznie zabolęło, a potem już nic nie czułam. Tylko krew, ściekającą mi po twarzy. Pamiętam jej ciepło na skórze. Próbowałam wstać, ale nie mogłam poruszyć nogami. Nie działały. Myślałam, że ci mężczyźni uciekli z moją torebką, a mnie zostawili, ale potem zobaczyłam ich buty, bo stali nade mną.

Chciałam krzyczeć, ale nie mogłam otworzyć ust. Po prostu się nie otwarły. Ręce Andrei drżały, nerwowo owijała sobie chusteczkę wokół palców.

– Jeden z tych mężczyzn postawił mnie na nogi, złapał za obie ręce i pociągnął wzdłuż ulicy. Nie mogłam utrzymać głowy w pionie i byłam ledwie przytomna. Wciąż chciałam krzyczeć, ale usta miałam jak zasznurowane.

Po twarzy Andrei płynęły łzy, wzbierały też w moich oczach.

– Wtedy pewnie film mi się urwał, bo nie pamiętam, jak znalazłam się w pomieszczeniu. Kiedy otworzyłam oczy, widziałam, że jestem w jakiejś sypialni. Był tam brązowy dywan, a na łóżku żadnej pościeli, tylko poplamiony materac. Jedne z drzwi szafy były otwarte i wydaje mi się, że wisiały tam ubrania. Spróbowałam poruszyć nogami, ale wciąż nie działały.

Chciałam poruszyć rękoma i wtedy się zorientowałam, że przywiązali mnie do kaloryfera. Musieli usłyszeć, że się ruszam, bo w drzwiach pojawiło się dwóch ludzi mówiących w jakimś obcym języku. Jeden z nich zaczął się śmiać. Miał brodę i krótkie włosy, a kiedy do mnie podszedł, poczułam, jak od niego cuchnie. To był ohydny smród wody, którym na mnie zionął.

Andrea potrząsnęła głową, łkając, i zgmiotła chusteczkę w ciasną kulkę.

Potem kontynuowała: – Złapał za moje dzinsy, ściągnął mi je do kostek, a ja nie mogłam nic zrobić. Nic nie mogłam zrobić, żeby go powstrzymać. Tamto uderzenie w głowę częściowo mnie sparaliżowało. Widziałam

wszystko, co się ze mną dzieje, ale nie mogłam krzyczeć. Nie mogłam się ruszyć. Musiałam pozwolić, żeby to się działo. On rozpiął pasek, a potem swoje dzinsy, a ja już wiedziałam, co się szykuje. Mogłam jeszcze zamknąć oczy i to zrobiłam.

Zacisnęłam je mocno i modliłam się, żeby to wszystko szybko się skończyło. Łzy płynęły strumieniami po policzkach Andrei i moich.

– Przetrzytywali mnie i gwałcili przez trzy dni.

Jej głowa zapadła się w dłonie. Nie przestawała płakać. Słuchając jej opowieści, czułam się chora. Nie wydaje mi się, bym zetknęła się wcześniej z czymś równie wstrząsającym. Jakikolwiek był powód tego, że Andrea znalazła się w więzieniu, w niczym nie umniejszało to koszmaru, który przecierpiała.

Podaliśmy jej moją całą paczkę chusteczek.

– Dziękuję. – Pociągając nosem, ocierała łzy z twarzy.

Chwilę siedziałyśmy w ciszy – Andrea uspokajała swoje emocje, ja przetrawiałam grozę tego, co mi opisała.

Kiedy w końcu przemówiła, opowiedziała mi, jak tamci ludzie, skończywszy znęcanie się nad nią, porzucili ją w jakimś zaułku, koło worków ze śmieciami. Ocknęła się w szpitalu, czując potworny ból.

– Lekarze musieli usunąć mi część czaszki. Niezbędna była poważniejsza operacja. Połowę ciała miałam sparaliżowaną, w szpitalu spędziłam całe miesiące, od nowa uczyłam się chodzić i mówić.

– W głowie mi się to nie mieści – przyznałam. – Złapano tych ludzi?

– Nie, policja nigdy ich nie znalazła, chociaż na tamtej ulicy był monitoring. Byli nawet jacyś świadkowie.

Pokręciłam głową, załamana.

Andrea spojrzała mi prosto w oczy.

– Powinam się chyba cieszyć, że żyję. Mogli mnie zabić. – A potem szepnęła: – Czasami żałuję, że tego nie zrobili.

Okropnie było usłyszeć coś takiego, ale ją rozumiałam. Andrea nie musiała tłumaczyć, czemu sięgnęła po narkotyki – chodziło o znieczulenie ran, fizycznych i psychicznych.

– Na jak długo tu trafiłaś? – zapytałam.

– Zostałam skazana na osiemnaście miesięcy – odparła.

– Popełniłaś to przestępstwo, żeby mieć pieniądze na prochy?

Przytaknęła z zakłopotaniem.

– Kiedy poprzednio byłaś w więzieniu?

– Piętnaście lat temu. Spędziłam sześć miesięcy w Holloway.

– Długo ci się udało trzymać z dala od więzień.

– Staralam się, owszem. Miewalam pracę – głęboko westchnęła. – Ale zawsze kończyło się powrotem do heroiny, no i traciłam robotę. Najgorszą rzeczą jest spanie. Nadal ciężko mi zasnąć, bo wracają wspomnienia. A kiedy się nie wyśpię, wszystko wydaje się gorsze i wracam do dragów, żeby się od tego oderwać. Nienawidzę prosić ludzi o pieniądze, więc skończyło się tak, że umawiam się z ludźmi poznanymi przez internet na lunche i kolacje jako dama do towarzystwa. W godzinę potrafię zarobić sto dziesięć funtów – dodała zawstydzona.

– Za seks?

– Przeważnie nie chodzi o prawdziwy seks, taki zdarzył się tylko raz.

A i tak to było lepsze niż kłopoty z policją.

Wiele kobiet opowiadało mi, że zajęły się nierządem, żeby mieć z czego żyć. Jedna nieszczęsna, zagubiona dusza powiedziała, że od lat jest prostytutką, i doprecyzowała: „Jestem jak automat. Nic już nie czuję”.

Inna wyjawiała, że to matka kazała jej, wtedy czternastolatce, zarabiać tak na rodzinę; kolejna, że dorastała w burdelu, bo mama była prostytutką.

To wyjaśniało, jak Andrei udawało się tak długo unikać więzienia, pomimo braku stałej pracy.

– Ale że nałóg był wielki, a pieniędzy nie wystarczało, znów popełniłam przestępstwo.

Andrea przebywała w więzieniu od dwóch tygodni i trzydzieści mililitrów metadonu jej nie wystarczało. Nadal czuła się niedobrze, łamało ją w kościach, oblewał ją pot, to gorący, to znów zimny, miała biegunki i skurcze żołądka.

– Tak naprawdę to nie chcę jechać na metadonie – powiedziała. – Najchętniej natychmiast rzuciłabym ćpanie, bo wiem, że w ten sposób tylko zamieniam jeden nałóg na inny, ale czuję się tak potwornie. Myślę, że jedyną szansą dla mnie jest zwiększenie dawki metadonu, a potem, gdy wszystko się ustabilizuje, powolny detoks.

Słyszałam taki plan już wiele razy, zresztą, pracując z osobami nadużywającymi środków psychoaktywnych, szybko się przekonałam, że każda z nich ma własny patent na walkę z uzależnieniem. Jedne mówiły mi, że nie wyobrażają sobie życia bez prochów, inne zaś, że są nimi zmęczone i chcą odzyskać swoją dawną egzystencję. Nauczyłam się też, że tylko one same mogą zdecydować, że są już gotowe rzucić.

Wyroki bardzo często bywały zbyt krótkie, by dać tym ludziom szansę na całkowite odtrucie, nierzadko też trzeba było zwiększać dawkę metadonu – nazywano to „miareczkowaniem” – do takiego poziomu, który uchroni przed ewentualnym przedawkowaniem po zwolnieniu z więzienia. Przystąpiłam na zwiększenie dawki i wyznaczyłam Andrei wizytę kontrolną w ciągu trzech tygodni.

Uśmiechnęła się słabo.

– Okej, pani doktor.

Metadon to zielony syrop, wyglądem trochę przypominający płyn do naczyń Fairy i, o ile mi wiadomo, bardzo niesmaczny. Więźniarkom podają go pielęgniarki około dziewiątej rano, ale jeśli dawka okazuje się niewystarczająca, nie pozwala im przetrwać bez bólu pełnych dwudziestu czterech godzin, jak teraz Andrei.

Dawniej oczekiwano, że wszyscy więźniowie trafiający do zakładu karnego na więcej niż trzy miesiące będą przechodzić detoksykację od metadonu, ale dziś już takie wymogi nie obowiązują.

– Dzięki, pani doktor.

Kiedy Andrea podnosiła się z krzesła, chusteczka, którą tak kurczowo trzymała, spadła na podłogę. Schyliła się, żeby ją podnieść, a mnie po raz drugi mignęło przed oczami to wgniecenie w jej czaszce.

– Raz jeszcze dziękuję – dodała, i jej boleśnie chuda sylwetka zniknęła za drzwiami.

Miałam półtora roku na postawienie jej na nogi. W przypadku Andrei coś można było zdziałać, inaczej niż w odniesieniu do mnóstwa innych kobiet, które tylko przewijały się przez więzienie.

Nie mogłam jednak nie zadać sobie pytania: czy zakład karny to dla Andrei najodpowiedniejsze miejsce? Albo dla Pauli? Dla tych wszystkich kobiet, które popełniły drobne przestępstwa, by móc zaspokoić głód narkotyku?

Gdyby zaoferowano im lepszy system wsparcia po opuszczeniu więzienia, może nie musiałyby wracać do prochów?

Spoglądałam na świat po obu stronach więziennego muru nowym okiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Suzanne stawiała mnie w bardzo trudnym położeniu.

– Pani doktor, proszę, bez niej nie dam sobie rady, musi mi ją pani dać – błagała.

Uprzedzono mnie, że blok narkotykowy to w więzieniu dla kobiet najtrudniejsze miejsce pracy, gdyż wiele z jego rezydentek to osoby chwiejne emocjonalnie, a do tego zmagające się z nałogami. Zdolne posunąć się do wszystkiego, żeby uzyskać środki, od których się uzależniły. Przekonałam się, ile w tym prawdy, gdy w desperackich próbach przymuszenia mnie do wypisania im tego, czego pragnęły, nader często grały na moich uczuciach.

Leczenie ich z uzależnienia od heroiny sprowadzało się w praktyce do podawania metadonu. Lekami, z którymi miałam najwięcej trudności, były jednak wysoce uzależniające diazepam i pregabalina, przepisywanie ich bowiem wymagało ode mnie przestrzegania bardzo ścisłych reguł.

Osoby przebywające w więzieniu czekał detoks od tych leków, chyba że mogły dowieść, iż przechodzą specjalistyczne leczenie i lekarz przepisał im je nie więcej niż sześć miesięcy przed osadzeniem w zakładzie karnym.

Pregabalinę stosuje się przy leczeniu padaczki, zespołu lęku uogólnionego oraz bólu neuropatycznego. Okazała się, niestety, mocno

uzależniająca, a całe mnóstwo więźniarek opowiadało mi, że objawy jej odstawienia po nagłym przerwaniu kuracji bywają dużo gorsze niż przy odtruciu heroinowym.

Chociaż niektórym przepisywali ją lekarze jeszcze przed więzieniem, wiele osób kupuje ją też na ulicy lub przez internet i bierze w ogromnych ilościach.

W więzieniach stała się chodliwym towarem, toteż często jest kupowana ją od współwięźniów, ale jeśli taki dostawca zostanie zwolniony, przeniesiony do innego zakładu karnego albo do izolatki, źródło wysycha. Przez brak tego leku osoby uzależnione cierpią straszne męczarnie, a mnie błagają o pomoc.

Suzanne kupowała ją na bloku, aż jej dostawczyni wyszła na wolność, a ją samą zaczęły dręczyć groźne skutki odstawienia, przede wszystkim wszechobecny i paraliżujący lęk.

– Proszę, doktor Brown, proszę! – nalegała rozpaczliwie. – Ja wiem, że nie powinnam się w to cholerstwo pakować, ale pani musi mi pomóc z niego wyleźć.

Kręciłam głową, bezradna. Nie znosiłam widoku cudzego cierpienia, ale nie mogłam łamać przepisów. A widząc, w jakim jest stanie, wiedziałam, że nie udaje. Trzęsła się, pociła się, płakała.

Znałam jej historię i wiedziałam, że ten lęk bierze się ze strachu przed perspektywą opuszczenia więzienia: przed bezdomnością i tym, że na mieście znowu będą ją napadać albo i gwałcić, jak to miało miejsce w przeszłości.

Podobne opowieści słyszałam od tak wielu kobiet, że nie wątpiłam w ich prawdziwość. Suzanne była nad wyraz niepokorna i emocjonalnie krucha, doceniłam też szczerść, z jaką opowiedziała mi o swoich pokątnych zakupach, i dlatego zawarłam z nią układ. Zgodziłam się

przepisać jej pregabalinę pod warunkiem, że podda się odtruciu od niego i że pod żadnym pozorem tego nie powtórzę, jeśli wróci do nałogu.

Przystąpiła na to i wylewnie mi dziękowała.

– Ale proszę, nie zbieraj tego ani nie sprzedawaj – ostrzegłam. Mogłam dać jej jedną – i ostatnią – szansę.

Kiwnęła głową na potwierdzenie.

– Uważaj na siebie, Suzanne – westchnęłam.

– Niech Bóg panią błogosławi, pani doktor – odparła.

Podniosłam roletę zakrywającą kwadratowe okienko w drzwiach i wyjrzałam. Pod moim gabinetem w bloku pierwszym tłoczyło się co najmniej tuzin kobiet domagających się mojej uwagi, nie było natomiast pielęgniarki ani strażnika.

Powinna znajdować się tam pielęgniarka kierująca porządkiem badań i dbająca o to, żeby do gabinetu zgłaszali się tylko pacjenci z listy, w wyznaczonym im czasie.

– Doktor Brown! – zawołała jedna z pań, gdy zobaczyła moją twarz w okienku. Dołączyła do niej cała reszta.

– Pani doktor, pani doktor, musi mnie pani dzisiaj zbadać.

Wzięłam głęboki oddech i otworzyłam drzwi.

– Wszystkie panie są umówione? – zapytałam, prawie pewna, że większość nie jest. – Naprawdę mi przykro, ale jeśli waszych nazwisk nie ma na liście, nie mogę was dziś przyjąć.

Nie należały do tych, co uznają odpowiedzi przeczące, i gotowe były się pchać, aż uzyskają to, czego chciały. Zaklęłam pod nosem.

Strażniczka Becky zobaczyła, jak się z nimi męczę.

– Odsunąć się, dziewczyny – krzyknęła, przychodząc mi z odsieczą.

Becky była mocna i bardzo dobra w tym, co robi. Miała wprawdzie tylko dwadzieścia dwa lata, ale też spojrzenie typu „nie chcesz ze mną zadrzeć” i łatwo było ją wziąć za bramkarza z klubu nocnego. Krótkie brązowe włosy miała podgolone, do tego kilka kolczyków – jeden w brwi, drugi w języku.

Rysy twarzy były za to elfickie. Wyróżniały ją piękne duże oczy, jak u jelonka Bambi, i maleńki skrzaci nosek. Stała przed moimi drzwiami z rękami założonymi na piersiach, a nogami szeroko rozstawionymi.

– Która nie jest umówiona, iść sobie – warknęła.

– Dzięki, Becky – powiedziałam, zanim schroniłam się w zaciszu gabinetu.

Oparłam się o drzwi i westchnęłam ciężko. Moja zmiana jeszcze się nie zaczęła, a już czułam się wyczerpana. Zalogowałam się do komputera, a przedstawienie pod moimi drzwiami trwało w najlepsze.

– Nigdzie się, kurwa, nie ruszę, dopóki doktor Brown mnie nie przyjmie – wydarła się któraś kobieta. – Doktor Brown!

– Jeżeli się nie odsuniesz, zawieszę przyznane ci przywileje.

– Nie do mnie z taką pieprzoną gadką, ty lesbo!

– Uważaj, to jest...

Potem usłyszałam tylko stłumione krzyki, pisk butów na linoleum i: „Odpierdol się ode mnie!”.

Roleta zagrzechotała na drzwiach, bo ktoś nagle w nie zastukał.

Westchnęłam.

– Kto tam?

– To Rhianna. Rhianna James, proszę pani.

Zerknęłam na listę nazwisk i zobaczyłam, że figuruje na niej.

– Okej, proszę wejść – powiedziałam.

– Tam na zewnątrz jest zadyma, proszę pani. – Rhianna ostrożnie zamknęła drzwi. Była potężną kobietą o mięsistych ramionach, które

wyglądały, jakby nieźle umiały przywalić. Gdy kuśtykała w moja stronę, oklapłe, skołtunione włosy opadały jej na oczy.

Powoli opuściła się na krzesło. Prawą nogę trzymała wyprostowaną.

Przyszła porozmawiać o metadonie. Ale wyraźnie coś też doskwierało jej nodze.

– Co słyhać, Rhianna? – zapytałam ostrożnie.

– Bywało lepiej, pani doktor. Trzydzieści mililitrów metadonu wcale mi nie pomaga.

Wyczytałam z jej dokumentacji, że przyjęto ją do Bronzefield trzy dni wcześniej i że lądowała w więzieniach i z nich wychodziła, zupełnie jak jo-jo. Powiedziała mi, że przed odsiadką miała receptę na siedemdziesiąt mililitrów, toteż jej dawkę należałoby zwiększyć.

Jej głównym powodem do niepokoju był jednak bolesny wrzód na dolnej części prawej nogi, w który wdała się jakaś infekcja, przez co wydzielał ohydny woń, bardzo ją krępującą.

Zamachała prawą ręką, próbując rozwiać ten smród, a jej policzki spurpurowiały. Poprosiłam ją o podciągnięcie nogawki.

Tak się wstydziła, że ledwie podnosiła na mnie wzrok. Powoli podwinęła szary dres, odsłaniając cztery podpaski przyklejone do nogi. Odór zaczynał wypełniać ten pozbawiony wentylacji pokoi.

– Tylko na coś takiego wpadłam – wyjaśniła – bo jestem bezdomna i nie mam swojego lekarza. Użyłam ich, żeby pochłaniały ropę, no i żeby tak strasznie nie śmierdziało.

Po pokoiku rozchodziła się woń gnijącego mięsa, zmuszająca mnie do tego, bym odwróciła głowę, powstrzymując odruch wymiotny.

– Ja przepraszam.

– Nic się nie stało, Rhianna. – Wreszcie przyszła pielęgniarka, podała mi rękawiczki chirurgiczne, potem udało się jej jeszcze znaleźć kilka

woreczków soli fizjologicznej i gazę. Zaczęłam delikatnie zdejmować te podpaski, powoli, jedną po drugiej. Robiąc to, wstrzymywałam oddech. Pod nimi krył się rozległy, głęboko zainfekowany wrzód, zaczynający się nad kostką i rozciągający się niemal aż pod kolano.

Z żywego mięsa sączyła się ropa i wodnista żółta ciecz. Zapach przyprawiał o mdłości.

– Och, Rhianna. Czemu nie próbowałaś szukać pomocy? – zapytałam.

Jej oczy wypełniły łzy.

– Za bardzo było mi głupio przez ten smród.

Od wystąpienia o pomoc powstrzymywał ją wstyd.

Krążenie w nodze zostało zaburzone wskutek wykonywania zastrzyków w pachwinę, w tkanki skóry przenikała bowiem niewystarczająca ilość tlenu.

To powodowało pęknięcie i stworzyło warunki do powstania wrzodu. Kobieta zdążyła już pojąć, że musi skończyć z zastrzykami, bo może się to skończyć amputacją kończyny.

Rhianna nie była tu jedyną, która żyła w przeświadczeniu, że ocenia się ją po wyglądzie, po tym, że cuchnie, że jest bezdomna i ćpa. Wiele kobiet mówiło mi, że wstydzą się tego, kim się stały, i dlatego unikają zwracania na siebie uwagi. Wolały cierpieć w ciszy, a nawet ryzykować życie, niż poprosić o pomoc. Bezgranicznie żał mi było i jej, i wszystkich bezdomnych.

Uśmiechnęłam się.

– Nie przejmuj się, coś poradzimy. Od jak dawna bierzesz?

Rhianna podniosła wzrok na sufit, jakby tam szukała odpowiedzi., – Zdaje się, że z piętnaście lat.

Uzgodniłyśmy, że ustabilizujemy jej stan metadonem, zadbałam też o skierowanie prosto na oddział opieki zdrowotnej, aby wrzód został

oczyszczony i odpowiednio opatrzony.

– Bardzo pani dziękuję – powiedziała, kuśtykając do drzwi.

Wizja Rhianny śpiącej w jakiejś bramie z tym wielkim ropiejącym wrzodem towarzyszyła mi jeszcze długo po jej wyjściu.

Niestety, ten smród również.

Perspektywa siedzenia w nim przez najbliższe parę godzin była nie do zniesienia, zrzuciłam więc pantofle, wspiłam się na krzesło i sięgnęłam po wentylator, kurzący się na najwyższej półce.

Uruchomiłam najwyższe obroty, w desperackiej nadziei, że uda mi się przywrócić normalny obieg powietrza jeszcze przed wejściem następnej pacjentki.

Podniosłam kubek, żeby napić się kawy, ale sam powiew tej mieszaniny zapachów wystarczył, by zrobiło mi się niedobrze. Odstawiłam go akurat wtedy, gdy ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W więzieniu przebywa całe mnóstwo osób przekonanych, że nie powinny były tam trafić, ale są tam też takie, które myślą inaczej. Jedną z tych kobiet była Amber.

Niedawno powierzono jej pracę w recepcji, gdzie pomagała nowym rezydentkom dowożonym z sądu. Była to bystra, elokwentna i śliczna młoda dama, odbywająca szokującą karę siedemnastu lat więzienia za przestępstwa, o które nigdy bym jej nie posądziła. Tyle w niej było słodczy i wyglądała tak niewinnie, że trudno było się pogodzić z tym, iż skazano ją za nielegalne przechowywanie broni palnej i posiadanie, w celu dystrybucji, szczególnie niebezpiecznych narkotyków. Była wplątana w układy mafijne.

Najbardziej jednak zaskakiwało mnie w niej to, jak akceptowała bolesną konieczność spędzenia większej części najbliższych dwóch dekad za kratami. Tego, że otaczający nas świat zobaczy dopiero dobrze po czterdziestce.

– Należało mi się – mówiła spokojnie, ani trochę nie litując się nad sobą.

O jej sprawie było głośno w prasie z uwagi na długość wyroku. A także dlatego, że mała która nauczycielka ze szkoły podstawowej trzyma w szufladzie z majtkami pistolet maszynowy.

Ani trochę jej nie peszyło to, że ktoś wie, czym się wsławiła, bardziej chyba skupiała się na tym, co może zrobić dla innych, przebywając w więzieniu.

Amber szkoliła się na doradczynię do spraw traumy, była więc w stanie udzielać wsparcia rezydentkom Bronzefield, które doświadczyły przemocy fizycznej i psychicznej.

Zajrzała do mojego gabinetu na krótką pogawędkę, kiedy czekałam na doprowadzenie kolejnej pacjentki. Zawsze dobrze mi się z nią rozmawiało, gdyż była nieustająco pogodna, pozytywnie nastawiona do życia i nieskora do użalania się nad sobą. Cudownie było móc pogadać z kimś po przyjacielsku, a nie tylko widywać inne osoby wyłącznie w roli pacjentek.

Miała gęste i lśniące ciemne włosy, sięgające za łopatki, piękne oczy, duże i brązowe, oraz cudowny uśmiech.

– Jeśli ktoś pyta, co robiłam, radzę, żeby mnie sobie wygugłował. Nie przeszkadza mi, że ludzie wiedzą. – Nonszalancko wzruszyła ramionami. – Akceptacja to podstawa. Jeśli chcesz przetrwać więzienie, musisz pogodzić się i z tym, co zrobiłaś, i z czasem, jaki jeszcze tu spędzisz – stwierdziła rzeczowo.

Zgodziłam się z nią. Przekonałam się, że ci, którzy nie godzą się ze swoją sytuacją, o wiele bardziej się szamoczą. Tak wielu więźniów prosi o leki na złagodzenie niepokoju, stresów czy bezsenności spowodowanych tym, że sobie nie radzą z pobytem w więzieniu. Tak jak Azar w Scrubs, z trudem oswajają się z miejscem i położeniem, w jakich się znaleźli.

Osoby z nastawieniem typu „się zawiniło, się odsiedzi” wydają się radzić sobie o wiele lepiej. Podziwiałam Amber też za to, że potrafiła szczerze przyznać, iż wiedziała, w co się pakuje, wiążąc się ze swoim przyszłym mężem, skazanym później na osiemnaście lat za udział w grupie przestępczej.

Amber dorastała w zamożnej rodzinie na peryferiach Londynu i jako dziecko miała wszystko, o czym tylko sobie zamarzyła. Życie w luksusie trwało, dopóki nie wyszła za mężczyznę z kręgów zorganizowanej przestępczości.

Wspominając minione dziesięć lat, powiedziała: – Jeśli chodzi o domy, w jakich mieszkaliśmy, i samochody, jakimi jeździliśmy, przyjęłam styl życia żony gangstera.

Ogromnie mnie ciekawiło, jak ktoś taki jak Amber mógł się wplątać w sprawy rodziny mafijnej. Uśmiechnęła się, a w tych wielkich brązowych oczach zaiskrzyło na wspomnienie mężczyzny, którego, jak widać, nadal kochała.

– Poznałam go tuż po ukończeniu podyplomowego kursu nauczycielskiego.

To była randka w ciemno, zaaranżowana przez znajomych moich znajomych z tego kursu. I naprawdę miłość od pierwszego wejrzenia. – Zarumieniła się.

Poczęstowałam ją herbatnikiem; zwykle nosiłam w torbie ich zapas, żeby się nimi dzielić.

– Dziękuję – powiedziała, wgrzyzając się w oblane czekoladą kruche ciastko. – Po tamtym pierwszym wieczorze non stop do siebie esemesowaliśmy. Półtora roku później zamieszkaliśmy razem.

– A jak się dowiedziałaś, kogo tak naprawdę wybrałaś sobie na męża? – zapytałam.

– Na tamtym etapie trochę wiedziałam, czym się zajmuje – odparła, oczyszczając kącik ust z okruchów. – Nie miałam jednak pojęcia, kim jest.

Ale gdy poznałam jego rodzinę, wszystko mi się poukładało w całość, a jego koledzy uzupełnili resztę.

– I nie przejęłaś się tym?

Potrząsnęła głową.

– Nie. – Amber założyła chyba, że takie postawienie sprawy mnie zaszokuje, bo rozwinęła: – Byłam całkiem niezależna i niezainteresowana jego pieniędzmi. Zakochałam się w człowieku, którym był, przebywając ze mną, a nie w mafiosie z przedstawianych mi opisów. Co tu mówić?

Zakochałam się i tyle.

Dziwne, ale na swój sposób mnie to rozculiło. Zapytałam, czy był od niej starszy.

– Jest. O sześć lat – odpowiedziała.

Niektóre dziewczyny, jak sądziłam, mogłyby pociągać odnoszący sukcesy, bogaty i nieco starszy od nich mężczyzna, pod pewnymi względami groźny.

– Tyle tylko – sprostowała – że ja nie byłam młodym naiwnym dziewczątkiem. Wiedziałam, za kogo wychodzę.

– Uważasz więc, że należy ci się odsiadka?

Amber bez wahania to potwierdziła.

– Na sto procent mi się należy. Nawet jeśli nie handlowałam ani nie brałam w tym udziału, wiedziałam, że mamy w domu narkotyki. Wiedziałam też o schowanej u nas broni i miałam świadomość, co się dzieje. Byłam współniczką i dlatego tu jestem.

Wyglądała młodo, mimo to sprawiała wrażenie zbyt dojrzałej na swoje dwadzieścia osiem lat. Z uwagi na długość wyroku umieszczono ją na bloku czwartym, pośród innych więźniarek skazanych na lata odsiadki, także tych, które odbywały karę za morderstwa, przestępstwa na tle seksualnym, podpalenia, nieumyślne spowodowanie śmierci czy terroryzm.

– Nie uważasz jednak, że otrzymałaś niesprawiedliwie długi wyrok?

Niektóre morderczynie skazano na mniej – spytałam.

– Broń palna jest bardzo niebezpieczna, a biorąc pod uwagę to, co się teraz dzieje na świecie... – Na chwilę zamilkła, zastanawiając się nad

odpowiedzią. – Nie, uważam, że mój wyrok był sprawiedliwy, bo musieliśmy posłużyć za przykład.

Takie wyznanie było czymś niezwykłym. Zastanawiałam się, czy dlatego szkoli się na doradczynię, że stara się zadośćuczynić społeczeństwu za swoje winy. Jakby czytając mi w myślach, szerzej opowiedziała o szkoleniu, które przechodzi, oraz o swoim pragnieniu pomagania innym, i nagle rzekła: – Nie robię tego po to, by poczuć się lepiej. Wybrałam tak, ponieważ chcę coś zmienić i wiem, że mogę pomóc tym kobietom.

Dowiedziałam się, że Amber pracuje też jako „słuchaczka”, podobnie jak robi to w ramach swojej cudownej działalności organizacja Samaritans.

Dwadzieścia cztery godziny na dobę jest do dyspozycji każdej osoby, którą coś męczyło, gotowa jej wysłuchać. Może to oznaczać także wizytę u takiej więźniarki nawet w środku nocy. Mogłam sobie wyobrazić, że ze swoim spokojem, serdecznością i pragmatycznym podejściem do życia sprawdza się w tej roli doskonale.

– Dzięki Bogu, ja, w odróżnieniu od tak wielu spośród tych nieszczęśnic, nie byłam ofiarą przemocy domowej – mówiła dalej. – Ale na własne oczy widziałam, jak bardzo coś takiego niszczy. Mam bliską przyjaciółkę tkwiącą w związku przemocowym. Ona zawsze usprawiedliwia swojego faceta.

Zupełnie jakby zrobił jej pranie mózgu. Powtarzałam jej, żeby go zostawiła i że musi myśleć przede wszystkim o sobie i dzieciach. A powinnam zamiast tego zawsze być dla niej pod telefonem, na wypadek gdyby potrzebowała się wygadać. Czuję, że ją zawiodłam i nie zawsze było mnie stać na takie współczucie, jakie powinnam była jej okazywać. Jako słuchaczka i po kursie na doradczynię do spraw traumy będę miała okazję coś z siebie dać.

Tak jak Amber była na sto procent pewna, że zasłużyła na pobyt w więzieniu, ja żywiłam przekonanie, że w swoim pragnieniu pomagania innym jest szczerą.

Podziwiałam ją też za to, że nigdy nie narzekała na wyrok ani na pozbawienie jej życia w luksusie. Wprost przeciwnie, powiedziała mi, że pojęła wreszcie, iż większości posiadanych przez siebie rzeczy nie potrzebuje.

– Nie skłamię, jak powiem, że to było jak wstrząs dla systemu. Człowiek nagle sobie uświadamia, jak mało mu trzeba. – Wzruszyła ramionami. – Przystosowałam się bardzo szybko. Nawet nie płakałam. Odkąd tu jestem, nie rozplakałam się ani razu. Nie byłabym sobą. Płaczem nic nie osiągnę. Ja muszę iść dalej, muszę sobie radzić.

– A jak tam z twoim mężem, będziecie razem?

Amber rozchyliła usta w uśmiechu.

– Zabawne, że wszyscy tutaj mnie o to pytają. Wyszłam za niego, wiedząc, jaki jest, i dlatego moich uczuć do niego nie zmieni to, że jesteśmy w więzieniu. Jestem lojalna, a małżeństwo traktuję bardzo poważnie. Też siedzę za kratami – dodała. – Jestem więc w tej samej sytuacji, co on. Raz na pół roku mogę go odwiedzać w jego więzieniu. Zezwolono nam na międzywięzienne połączenia telefoniczne; rozmawiam z nim co miesiąc.

I oczywiście wolno nam pisać listy. Jest dobrze, między nami pod każdym względem jest dobrze. – Znów się uśmiechnęła.

Ich związku nie można było nazwać konwencjonalnym. Ale z drugiej strony, jakie to miało znaczenie, skoro się kochali?

Amber niespodziewanie wstała. Powiedziała wszystko, co chciała, a ja widziałam, że dobrze jej zrobiło to, iż miała z kim pogadać. Mnie również.

Poczułam się uprzywilejowana tym, że tak się przede mną otworzyła, a zarazem zastanowiło mnie, czy trzymanie wszystkiego w sobie nie jest jej sposobem na utrzymywanie kontroli nad własnym życiem. Obdarzyła mnie kolejnym ze swoich słodkich uśmiechów.

– Będzie pani miała coś przeciwko, jeśli wezmę jeszcze jednego herbatnika? – zapytała.

– Ależ skąd!

Wręczyłam jej całą paczkę, żeby podzieliła się z innymi.

– Doktor Brown, pani ma dobre serce – powiedziała, po czym zniknęła za drzwiami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Przekonałam się, że większość kobiet, poznanych podczas moich regularnych badań ofiar szkodliwego używania środków psychoaktywnych, była fascynująca. Trudy nie stanowiła wyjątku.

Pomimo poważnego uzależnienia od heroiny całe lata udawało się jej pracować w pełnym wymiarze godzin jako gospodyni domowa. Dbała o luksusowe domy nadzwyczaj majątnej rodziny z Bliskiego Wschodu i przez parę dekad niczym im nie podpadła. Pracowała całymimi godzinami i udawała, że wszystko gra, choć w środku obracała się w ruinę.

To był jej pierwszy pobyt w więzieniu i gdy siedziała na krześle w moim małym gabinecie, widziałam na jej twarzy ulgę. Zmęczone kruche ciało, jakby uwolnione, niemal wtapiało się w mebel, i tylko oczy kobiety patrzyły bez wyrazu i emocji, jakby wszystkie swoje łyzy zużyła bardzo dawno temu.

Miała czterdzieści kilka lat, ale wyglądała starzej. Jej naznaczona plamami skóra łuszczyła się na nosie. Włosy, ciemne i przetykane siwizną, były potargane. Ochrypła przez papierosy, chrapliwie też kaszłała.

– Wreszcie się mogę odprężyć – powiedziała, uśmiechając się ze znużeniem.

Nadal dziwnie mi było słyszeć coś takiego – że zamknięcie w więzieniu może być lepsze od przebywania na wolności – ale zetknęłam się z tą opinią tak wiele razy, że już mnie nie zaskakiwała. Przypuszczam, że uzależnienie od narkotyków było dla niej swoistym dożywociem.

I wtedy powiedziała coś, co wywarło na mnie wrażenie. W moim pokoiku nie było okna, mimo to Trudy tęsknie zapatrzyła się w przestrzeń, jakby wyobrażała sobie najpiękniejszy z widoków.

– Chciałabym mieszkać za granicą, na łodzi. Niczego więcej mi nie trzeba.

Jej słowa przypomniały mi pejzaż morski, który wisiał kiedyś w mojej przychodni, przedstawiający parę ludzi wypoczywającą w blasku słońca, wpatrzoną w bezmiar pięknego ciemnoniebieskiego morza. Kiedy czułam, że świat wali mi się na głowę, wracałam spojrzeniem do tego obrazu i marzyłam o wejściu w niego tak, jak zrobiła to w pewnym filmie Mary Poppins.

– Chyba nam wszystkim? – Odpowiedziałam uśmiechem.

Powiedziała mi, że brała narkotyki głównie po to, by zatrzeć wspomnienia o przemocy domowej.

– Mój partner początkowo dbał o to, żeby bić mnie tam, gdzie nikt nie zauważy śladów. Walił mnie w brzuch. Po żebrach. Kiedyś pracowałam z trzema złamanymi żebrami. Tłukł mnie po plecach wszystkim, co podeszło mu pod rękę, czasem nawet patelnią albo rondlem. A im dłużej z nim byłam, tym mniej się przejmował, co ludzie pomyślą, i zaczął uderzać pięścią w twarz.

– Mój Boże – westchnęłam.

– Nabrałam wprawy w maskowaniu tego makijażem. Wokół oczu korektor, masa podkładu. Nie do końca ukrywało to podbite oczy, ale nikt nic nie mówił. Pani by coś powiedziała, prawda? Ale moi pracodawcy

praktycznie nie mieszkali w tych domach; kiedy się nimi opiekowałam, przebywali za granicą.

Umilkła, uświadomiwszy sobie nagle, do czego się właśnie przyznała.

Zmarszczyła brwi, krzyżując ręce w geście obrony.

– Nigdy ich nie okradłam, wbrew temu, co pani sobie może myśli. Ani razu. Nie zrobiłabym tego. Te wszystkie godziny przepracowałam, więc mogłam odebrać za nie zapłatę.

– Trudy, nic takiego sobie nie pomyślałam – zaprzeczyłam czym prędzej.

– I chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem tu po to, by cię osądzać.

Odpnęła się.

– Wiem, pani doktor. Widać, że pani jest w porządku. Po prostu nie chciałam, żeby pani źle o mnie myślała.

– No i nie myślę. – Uśmiechnęłam się. Zabawne, jak całe mnóstwo kobiet w Bronzefield wydawało się o wiele przejmować tym, co o nich sądzą, niż mężczyźni w Scrubs. Zastanawiałam się, czy czasami nie wynika to z tego, że bardziej mnie potrzebowały pod względem emocjonalnym.

– To jak doszło do tego, że zostałam z tak okropnym partnerem? Próbowалаś od niego odejść?

– Tyle razy, że straciłam rachubę! – wyrzuciła z siebie. – Ale on groził, że mnie zabije, jeśli go rzucę, a ja się bałam. W końcu się poddałam, łatwiej było już z nim nie walczyć. Zresztą coś we mnie uważało, że na nic lepszego mnie nie stać. Tak bardzo przez te lata zmiażdżył moją pewność siebie. Kiedy patrzyłam w lustro, nienawidziłam siebie... – głos Trudy zaczął się łamać.

Jej twarz stężała. – Nienawidziłam swoich włosów, swojej twarzy, swojego ciała. Widziałam, jaka jestem stara, zmęczona i posiniaczona, a kto zechciałby być z kimś, kto tak wygląda?

Spojrzała na mnie smutnymi, bardzo smutnymi oczyma.

– Kto by mnie zechciał?

Serce się krajało.

Nie ona pierwsza bała się zostać sama. Zerknięcie do kartoteki Trudy nasuwało myśl, że dorastała pośród przemocy. Ale nie musiałam o to pytać.

Trudy była bystrą kobietą i już zrozumiała, dlaczego godziła się na bicie.

– Jak sądzę, nie wiedziałam, że można inaczej. Mój tata był alkoholikiem.

Spuszczał matce taki łomot, że potem trudno było ją poznać. Próbował ją utopić, bił pogrzebaczem; to było potworne. A kiedy jej nie tłukł, gwałcił na oczach moich i moich sióstr. Cztery razy usiłował mamę zabić, zanim od niego odeszła.

Co można powiedzieć na coś takiego? Dalece odbiegało to od szczęśliwego życia rodzinnego, w którym ja dorastałam. Okropnie jest sobie uświadomić, że gdy ciebie tulą mama i tata, ktoś inny patrzy na takie katowanie swojej mamusi, że znajduje się ona o włos od śmierci. Ale takie jest życie. A mnie, dzięki pracy w więzieniach, otworzyły się wreszcie oczy na to, jak ono naprawdę wygląda.

– Na tym się nie skończyło – dodała Trudy tonem wyjaśnienia. – Niedługo potem mama znów wyszła za mąż. Miała Carla za dobrego człowieka, a okazał się równie podły jak tata. Miałam cztery lata, kiedy zaczął się do mnie dobierać.

– Och, Trudy. – Potrząsnęłam głową, przybita.

– Owszem, to było paskudne, ale nie wiedziałam, że bywa inaczej, rozumie pani? A moja mama myślała, że wszystko gra, bo idąc do łóżeczka, mówiłam: „Dobranoc, tatusiu”, jakby był moim prawdziwym ojcem. I jakbym była szczęśliwa. Moja wina, że nic nie powiedziałam.

– Żadna twoja wina – przerwałam natychmiast. – Byłaś jeszcze dzieckiem.

Trudy nerwowo obciągnęła rękawy aż po dłonie.

– Powinam była jej powiedzieć, ale ja naprawdę myślałam, że to normalne. Myślałam, że gwałt i przemoc to zwykła rzecz w rodzinie. Od dotykania przeszedł do pełnych stosunków, a ja błagałam go, by przestał, bo sprawia mi ból. Potrafił mnie wtedy uderzyć i mi groził. Ilekroć próbowałam go powstrzymać, zapowiadał, że pobije mamę – głos jej się łamał. – Co mogłam zrobić? Pozwalałam mu.

Przyjrzała się swoim rękom, szarpnęła za rękawy, walcząc z materiałem, który nie dawał się dalej rozciągać.

A potem z jadem w oczach oznajmiła: – Kiedy się mną znudził, zaczął sprowadzać swoich kolegów.

Przerażona, zakryłam usta dłonią.

– Nie puszczał mnie do szkoły, więc ci koledzy mogli przychodzić pod nieobecność mamy. Pracowała w trzech miejscach naraz, żeby nas wszystkich utrzymać. Brali mnie kolejno – umilkła. Potem, głosem cichym i martwym, dodała: – Wszyscy musieli się załapać, pani doktor. – Prychnęła. – Cóż, co człowieka nie zabije, to go wzmocni.

Wzruszyła ramionami i wbiła wzrok w podłogę.

– Poszłaś z tym kiedyś do jakiejś poradni? – zapytałam.

– Nie.

– A komukolwiek powiedziałaś, co przeżyłaś?

– Owszem – potwierdziła z niechęcią. – Opowiedziałam mojemu byłemu, facetowi, który przez te wszystkie lata mnie prał. Którejś nocy, gdy się nawaliłam, poczułam się tak bezbronna, że w końcu się przed nim otworzyłam. Myślałam, że stanie po mojej stronie.

– Ale nie stanął?

– Za cholerę! Wykorzystał to przeciwko mnie. Ilekroć uciekałam po tym, jak mnie pobił, groził, że jeśli nie wrócę, powie mojej siostrze, że jej tata

był pedofilem. Nie chciałam ranić siostry, bo jej Carl nigdy nie tknął. Byłam przerażona, że nie będzie chciała mnie znać, a poza nią raczej nie mam już rodziny. A wie pani, pani doktor, co w tym wszystkim jest najgorsze? – spytała. – Nie to bicie, nie wykorzystywanie. Tylko fakt, że później moja mama znów zeszła się z moim prawdziwym tatą. Byłam wściekła, że to całe cierpienie i znęcanie się nad nami przeszłyśmy na darmo. Na darmo! – wyrzuciła z siebie.

Na chwilę obie pogrążyłyśmy się w milczeniu. Widziałam, że Trudy wciąż nosi w sobie mnóstwo bólu oraz gniewu.

– Wciąż jeszcze jesteś ze swoim partnerem? – zapytałam.

– Nie, w końcu od niego odeszłam. Znalazłam w sobie dość odwagi i na to, by opowiedzieć mamie, co mnie spotkało.

– Co na to powiedziała?

– Czuje się naprawdę winna. Mówi, że nie wiedziała, ale ja sędzę, że nie chciała tego dostrzec. Nie mam o to pretensji. Rozumiem, że też była ofiarą.

Przez jakiś czas nic nie mówiła, patrząc gdzieś w bok, w zadumie. Potem nastąpiło coś, czego nigdy bym się nie spodziewała; na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Najcudowniejsze jest to, że w końcu znalazłam miłość. Prawdziwą miłość. Patrę w przyszłość z nadzieją. Tak się cieszę z tego więzienia.

Z szansy na to, że będę czysta. Wiem, że mi pani nie uwierzy, pani doktor, ale cieszę się, że tu jestem. Mogę przestać udawać. To już za mną.

Potrząsnęła głową i powtórzyła: – To już za mną.

I Trudy ogarnęła ta sama ulga, którą zobaczyłam w jej oczach, gdy usiadła przede mną. Przestała szarpać rękawy, już nie rzucała gniewnych spojrzeń – cała się rozluźniła.

– To moja szansa na uwolnienie się od narkotyków. Na odzyskanie *siebie*.

Pani doktor, pomoże mi pani?

To była muzyka dla moich uszu.

– Oczywiście, że pomogę. Ile mamy czasu?

– Osiemnaście miesięcy. Tyle brałam, że popadłam w długi i w końcu wzięłam się za sprzedaż, bo na to drugie wyjście nigdy bym się nie zdobyła.

Wiedziałam, co ma na myśli.

– Chylę czoło przed dziewczynami sprzedającymi swoje ciała, ale ja nie potrafiłabym. Nie po tym wszystkim, przez co przeszłam. Po prostu nie mogłabym.

Ze zrozumieniem pokiwałam głową. Aż za dobrze znałam takie historie.

– Właśnie tak, czapki z głów, ale ja bym nie mogła.

Zabrałam się do stukania w klawiaturę.

– To co zrobimy z twoim metadonem?

Przed więzieniem Trudy miała przepisane siedemdziesiąt mililitrów, a jeszcze doprawiała się heroiną. Niewątpliwie popadła w głębokie uzależnienie. Umówiliśmy się na powolną detoksykację, czasu miała przecież pod dostatkiem. Zapewniłam ją też, że jeśli w jakimś momencie zacznie ją to męczyć, jeszcze bardziej zwolnimy tempo.

Trudy zgodziła się z wdzięcznością.

– Miałam nadzieję, że pani to powie. Nie chcę, żeby to posuwało się za szybko. Mam ponad rok na wyjście z brania.

Już wstawała, żeby wyjść, gdy nagle coś sobie przypomniała.

– Prawie mi to uciekło! – zawołała. – Byłam u psychiatry i ta lekarka zdiagnozowała u mnie stres pourazowy. Co piątek będę chodzić na grupę traumy. To świetnie, bo będą tam też inne panie, które przeszły historie podobne do mojej.

– Cieszę się razem z tobą, Trudy. – Uśmiechnęłam się do niej.

– Zawsze wiele osób przychodziło do mnie ze swoimi problemami, bo jestem otwarta na ludzi. Z każdym porozmawiam. Wysłucham. A teraz w końcu to mnie ktoś pomoże – powiedziała.

Niespodziewanie rzuciła się do przodu i wzięła mnie w ramiona. Przez tę krótką chwilę, gdy się obejmowałyśmy, czułam emanujące z niej szczęście.

To smutne, że Trudy za jedyny swój azyl uznała więzienie, ale widziałam w jej oczach determinację – coś, czego na pewno by w sobie nie znalazła, gdyby nie skazano jej na pobyt w Bronzefield.

– Jesteś uroczą osobą – stwierdziłam. – To niewiarygodne, że udało ci się przetrwać tak potworne udręczenie, a myśl, że w końcu odnajdziesz się gdzieś na swojej łódce, napełnia mnie radością.

Trudy zaniosła się śmiechem.

– Widzę siebie nurkującą w poszukiwaniu małży. Na rufie siedzi mały piesek. – Uśmiechając się do mnie, dodała: – A mój przystojniak jest na plaży, coś tam szykuje.

Wyniosła ten uśmiech za moje drzwi, pozostawiając we mnie trochę tej nadziei. Miałam ponad rok, by pomóc Trudy odstawić metadon, a jeśli połączyć to z pomocą psychologiczną, istniały wszelkie szanse, że opuści Bronzefield bez śladu narkotyków w organizmie i wolna od chęci ponownego sięgnięcia po nie po powrocie na łono społeczeństwa. Postawiłam sobie za cel urzeczywistnienie jej marzeń.

Właśnie wtedy, dokładnie w tamtej sekundzie, uświadomiłam sobie, że ja już znalazłam najszcześniejsze dla mnie miejsce. Nigdy jeszcze, w całym moim życiu, nie miałam tak wielkiej satysfakcji z pracy. Moja wędrówka tutaj malowała się w różnych barwach, ale nie mogłabym się poczuć bardziej spełniona.

Nie tylko miałam nadzieję, że uda mi się zmienić coś w życiu tych kobiet, ale i odnosiłam wrażenie, że faktycznie udaje mi się to. Czerpałam z tego radość i poczucie sensu. Dopóki będę potrzebna i zdolna dokonywać takich zmian, zamierzałam pracować na ich rzecz jako lekarka i powierniczka, a także, na co liczyłam, jako ich przyjaciółka.

Ktoś zastukał w drzwi. Ujrzałam w nich głowę pielęgniarki. Wraz z nią przywędrowały z korytarza krzyki, wrzaski i przekleństwa więźniarek.

– Pani doktor, mam tu następną pacjentkę – powiedziała.

Uśmiechnęłam się.

– Niech wchodzi.

PODZIĘKOWANIA

Im bliżej jestem swoich sześćdziesiątych piątych urodzin, tym częściej znajomi pytają mnie, kiedy planuję skończyć z pracą. Odpowiedź jest zawsze ta sama: gdy przestanie mnie ona cieszyć. Sęk w tym, że nie wydaje mi się, by miało to kiedykolwiek nastąpić!

A gdy jednak nieodwołalnie dotrę do kresu mojej drogi zawodowej i wspomnę to życie pełne spotkań z setkami najcudowniejszych, fascynujących ludzi o przeróżnych życiorysach oraz troski o nich, pomoże pogodzić mi się z tym świadomość, że ta podróż była naprawdę wspaniała.

Dziękuję za to Trudy i tak wielu niezwykłym kobietom, które miałam szczęście napotkać i bliżej poznać przez ostatnie kilka lat w Bronzefield.

Trudy przyszła do mnie pożegnać się przed przeniesieniem jej do otwartego więzienia, już po skutecznym odtruciu, przeistoczona w piękną i pewną siebie kobietę. Na końcu naszej wspólnej wędrówki uściskałyśmy się. Szepnęła: „Byłaś cudowna, bez ciebie nigdy bym tego nie zrobiła”. Czuję, że od czasu do czasu może udawało mi się odrobinę ulepszyć komuś życie. Ogromnie jestem wszystkim wdzięczna za ten dar.

Chcę także podziękować mojemu wspaniałemu mężowi Davidowi za jego niekończącą się miłość, wsparcie i wiarę we mnie. Moim ukochanym synom Robowi i Charliemu za radość, uczucia i poczucie celu, które wnoszą w moje życie, a mojej najdroższej siostrze Laurie za dożgonne wspomnienia i łączące nas więzy.

Wiele słów wdzięczności należy się również Susan Smith i Rachel Kenny za ich wsparcie i fakt, że przekonały mnie do tego projektu.

Chciałabym też podziękować Ruth Kelly i Guyowi Adamsowi za to, że pomogli mi opowiedzieć moją historię, a Kate Fox i Benowi McConnellowi, moim redaktorom, za nieustające słowa zachęty oraz wskazówki.

Poznałam wspaniałych ludzi, dzięki którym moje życie zawodowe stało się bogatsze. Szczególnie wspomnieć tu należy Paulę i Siobhan, dzięki którym praca w Huntercombe sprawiała mi taką frajdę. Jas i Denise, z którymi dzieliłam dobre i złe chwile w Scrubs. Harriet i Daynę z Bronzefield, które zacie się nade mną litowały i pomagały zapisywać rozdziały tej książki, gdy moim palcom brakowało sił.

I wreszcie dziękuję mojej cudownej przyjaciółce Vanessie za to, że przez minione dwadzieścia dwa lata cierpliwie wysłuchiwała moich opowieści i zachęcała mnie do napisania tej książki.

A do Was kieruję podziękowania za jej przeczytanie.